

tygiEL
KWARTALNIK KULTURALNY

Redaguje kolegium w składzie:

Janusz D. Wrocławski (red. naczelny)

Zbigniew T. Szmurło

Lech L. Przychodzki

Paweł D. Znamierowski

e-mail: redakcja@etygiel.pl

Współpraca:

Jerzy Domino, Edward J. Jaremczuk, Edward Pukin,

Krzysztof P. Sawicki (Elbląg),

Bohdan Wrocławski (Warszawa/Kąty Rybackie),

Andrzej K. Torbus, Janusz A. Wieczorek (Kraków),

Alfred Kohn (Tarczyn),

Karl Grenzler (Czersk),

Bartłomiej H. Toszek (Szczecin)

Na okładce Koci ogród w Sylwestra 2025 (I) i prace Pawła Warchoła (II, IV),
Elbląski chaczkar (III) Fot. Lech L. Przychodzki (I), Zbigniew T. Szmurło (III)

Wydawca: **Fundacja Lwie Serce**

Niniejszy numer został wydany dzięki wsparciu finansowemu Fundacji Lwie Serce

Adres dla korespondencji:

ul. Malborska 93a, 82-300 Elbląg

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo redagowania i skracania tekstów.

Materiały są przyjmowane wyłącznie w formie elektronicznej

– adres e-mail: redakcja@etygiel.pl

ISSN 2720-6017

© All Rights Reserved

Spis treści

Janusz Donimir WROCŁAWSKI – <i>Wstęp</i>	5
Bohdan WROCŁAWSKI – <i>Czytanie peryferii</i>	6
Edward PUKIN – <i>Awangarda darterskiej Polski</i> (fragment z książki)	8
Jadwiga ŁADA – <i>Chata</i>	18
Janusz Donimir WROCŁAWSKI – <i>Ku prawdzie</i>	21
Alfred KOHN – <i>Wiersze</i>	44
Karl GRENZLER – <i>Wiersze dadaistyczne</i>	48
Bartłomiej H. TOSZEK – <i>Szkice do opowiadań</i>	50
Leokadia KOMAISZKO – <i>Wiersze</i>	53
Piotr KASPEROWICZ – <i>Wiersze</i>	56
Augusto DEL NOCE – <i>Marksizm umarł na Wschodzie, bo zrealizował się na Zachodzie</i> .	57
Janusz CHARYTONIUK – <i>Polonofil z pruskiego Elbląga. Szkic do portretu Henryka Nitschmanna</i>	62
Grzegorz BARANOWSKI – <i>Podróż sentymentalna – Białoruś</i>	67
Lech L. PRZYCHODZKI, Andrzej SIKORA – <i>Kocią ścieżką – rozmowa ze Zbigniewem KOTEM</i>	71
Marian KARAŚ – <i>Aforyzmy</i>	82
Lucjan WESOŁOWSKI (LUCYAN) – <i>Wiesz, wnusiu, to było tak...</i>	83
Wojciech KAJTOCH – <i>Podróże w czasie do epoki ZSRR we współczesnym filmie i serialu rosyjskim (w latach 1992-2024). Cz. 2. Wędrowki w czasach wojny – o niektórych filmach wojennofantastycznych i ich wychowawczej (propagandowej) funkcji</i>	91
Krzysztof P. SAWICKI – <i>Żołnierze Wyklęci – bohaterowie drugiej konspiracji</i>	104
Siergiej KAŁUGIN – <i>Ja, ostatni żołnierz martwej Ziemi</i>	118
Agnieszka BRYTAN – <i>Prorok czy wizjoner?</i>	119
Wadim SIDUR – <i>Pomnik stanu obecnego – Mit</i> (fragmenty)	122
Alice JOHNSON – <i>Kiedy czas staje się polityką: Jak kreowana jest droga do wojny z Iranem</i> .	133
Zbigniew T. SZMURŁO – <i>Pawła Warchoła znaki czasu – Galeria Tygla</i>	135
Zbigniew T. SZMURŁO – <i>Elbląski chaczkar – znak pamięci o obecności</i>	142
AUTORZY	156

Wstęp

Szanowni Państwo, oddajemy w Państwa ręce podwójny numer „Tygła” 1–2 (88–89) / 2026. Lubię myśleć o tym piśmie, jak o prawdziwym tygłu: wrzucamy do niego różne głosy, różne temperatury i różne wrażliwości, a potem pilnujemy, żeby z tej mieszaniny została treść, która coś w Czytelniku poruszy, a nie tylko „ładnie brzmi”.

W części literackiej spotkacie poezję i prozę, idące różnymi drogami, ale krążące wokół podobnych spraw: pamięci, wrażliwości, prawdy o człowieku i o świecie. Jest wiersz Bohdana Wrocławskiego, jest fragment książki Edwarda Pukina, jest opowiadanie Jadwigi Łady „Chata” i mój tekst „Ku prawdzie”. Są też kolejne poetyckie światy: Alfreda Kohna, Leokadii Komaiszko, Piotra Kasperowicza, a dla tych, którzy lubią, gdy literatura potrafi być niepokorna i przekorna, również wiersze dadaistyczne Karla Grenzlera. Bartłomiej H. Toszek dorzuca szkice do opowiadań, czyli formę „w procesie” – niedopowiedzianą tam, gdzie zwykle dopowiadamy za szybko.

Dalej robi się eseistycznie i poznawczo. Tekst Augusto Del Noce – „Marksizm umarł na Wschodzie, bo zrealizował się na Zachodzie” układa szerszą perspektywę, w której idee nie są tylko ozdobą, ale też mają konsekwencje. W tym samym duchu czytamy artykuł Alice Johnson „Kiedy czas staje się polityką”, o tym, jak buduje się narrację i rytm wydarzeń, gdy „droga do wojny” ma wyglądać jak coś nieuniknionego – tym razem w kontekście Iranu. To tekst, który warto czytać spokojnie, bo pokazuje on mechanizm, a nie tylko emocje. Duchu nieposłuszeństwa za Erichem Frommem wskrzesza z kolei Agnieszka Brytan.

Janusz Charytoniuk przywołuje postać Henryka Nitschmanna, polonofila z pruskiego Elbląga i warto tu dodać jedno zdanie-klamrę: w roku 2026 mija dokładnie dwieście lat od narodzin Nitschmanna. Taka rocznica nie jest po to, by stawiać pomniki z papieru, tylko by przypomnieć, że lokalna historia potrafi być zaskakująco szeroka, gdy spojrzysz na nią uważnie.

W numerze znajdziecie też „Podróż sentymentalną na Białoruś” Grzegorza Baranowskiego. Ten tekst nabiera dziś dodatkowego, cichego ciężaru: autor odszedł w styczniu tego roku. Zostaje po nim słowo, które w dobrym piśmie ma swoje miejsce – i swoją godność. Jest również „Kocią ścieżką” – rozmowa Lecha L. Przychodzkiego i Andrzeja Sikory ze Zbigniewem Kotem – tytuł mówi wiele: będzie i uważnie i po ludzku, i bez nadęcia. Marian Karaś dodaje aforyzmy, czyli krótkie zdania, które potrafią zostać w głowie dłużej niż całe elaboraty.

Są w tym numerze także teksty, które przypominają, iż kultura nie żyje w próżni. Lucjan Wesołowski („Wiesz, wnusiu, to było tak...”) dotyka pamięci rodzinnej i tego, jak historia wraca w zwykłych rozmowach, bez fanfar. Wojciech

Kajtoch analizuje współczesne rosyjskie filmy i seriale, gdzie „podróże w czasie” prowadzą w stronę wojny i propagandy. Krzysztof P. Sawicki pisze o Żołnierzach Wyklętych – o tym, jak długo potrafi trwać milczenie i jak skomplikowane bywa odzyskiwanie pamięci.

A w „Galerii Tygła” tym razem zobaczymy prace Pawła Warchoła – żeby oko też miało swoją lekturę, a nie tylko serce i głowę.

Życzę Państwu czytania bez pośpiechu. Niech ten numer będzie jak dobry spacer: czasem prostą drogą, czasem „kocią ścieżką”, ale zawsze z szansą, że wrócimy z czymś ważnym.

Janusz Donimir Wrocławski
Redaktor Naczelny

Bohdan Wrocławski

Czytanie peryferii

Zgadzam się – moje spacerunki są coraz krótsze
 dochodzę do ściany lasu zawracam
 odchodzę
 bo przecież gdzieś muszę odejść
 od tego miejsca porażającego mnie swoją samotnością
 później czuję w ustach zapach cynamonu
 mydlin
 gnijących jeżyn rozkładającej się grzybni
 moja dłoń wędruje do góry i w jakimś dziwnym geście
 zastyga na wysokości piersi
 w ustach nadal czuję smak bezbolesnej tabletki
 być może ten gest wart jest mszy lub królestwa
 zaczynam odczytywać wszystkie dukty ścieżynki
 zaułki i ulice

prowadzące w głąb peryferii
wiedząc dobrze że nigdy nie uda mi się stąd uciec
 w połowie drogi siadam na butwiejącym pniu
 zupełnie niepotrzebnie próbuję zagłębić się
 w istotę dookólnej bieganiny
 mrówek

doskonale zdaję sobie sprawę – one odgadują
moje istnienie na najodleglejszych krańcach miasta
alfabet ich ścieżek jest nazbyt skomplikowany
 abym potrafił właściwie go odnaleźć
 poczuć smak odpowiedzi na pytania
 których nigdy nie udało mi się sprecyzować
 nawet wobec samego siebie

 Jednak dobrze wiem potrafię odgadnąć
 – znów nie udało mi się odejść z peryferii
za ich niewidoczną bramą pachniały wiosenne kwiaty
 trwał wieczny karnawał
 artyści tworzyli dzieła

 echo ich istnienia docierało do mnie
stojącego na najodleglejszym peronie przedmieścia
 i ktoś w środku mnie ktoś wyjątkowo smutny
 krzyczał

 że to nie koniec wieńczy dzieło lecz przetrwanie
 a ktoś zupełnie inny w wiecznym dyskursie
szeptał o związku puszek po coca coli z samotnością artysty
 na poddaszu
 pełnym zapachu farb terpentyny kurzu
 wyschniętych palet
wybrzuszonych w ustawicznej prośbie do światła
 i własnej wszechobecności

 Wstaję z pnia
 dochodzę do ściany lasu
 Zawracam

Edward Pukin

Fragment z książki AWANGARDA DARTERSKIEJ POLSKI

Bez mała rytualnie również tamtego wieczora umościł się wygodnie w łóżku z zamiarem obejrzenia jakiegoś usypiającego filmu. Obudził się w środku nocy i nawet nie pamiętał, co to był za film, bo poczuł nasilające się drętwienie w nogach. „Chyba źle się ułożyłem” – przyszło mu do głowy wyjaśnienie nagłej dolegliwości. Aby nie wybudzić żony ze snu nie sięgnął do nocnej lampki, lecz w ciemności wysunął obie nogi na zewnątrz szerokiego łóża i przez dłuższą chwilę siedział na jego krawędzi w oczekiwaniu na spłynięcie krwi do stóp. Lekki zawrót głowy nie powstrzymał go od tego, żeby powoli zsunąć się z wysokiego łóża na parkiet i stanąć na wyprostowanych nogach. „Przejdę się do łazienki” – zaświtała mu myśl, gdy odczuł jednocześnie także parcie w pęcherzu. Drętwienie w stopach niby nieco ustąpiło, ale nie na tyle, aby bezproblemowo przejść kilkanaście metrów do łazienki i z powrotem, co uczynił, podpierając się rękami o meble w sypialni a następnie o ścianę w holu i łazience. „Do rana mi przejdzie” – uspokajał się przed ponownym zaśnięciem, gdy wrócił i ciężko zwałił się na łóżko. „Oby to nie były symptomy koronawirusa” – wpadła do głowy nagła myśl, mroząca krew w żyłach. Świat ogarniała pandemia i każdego dnia umierało kilkaset tysięcy ludzi. Wirus *Covid-19* w bardzo krótkim czasie niszczył płuca, pomniejszając im saturację i możliwość oddychania. Ludzie umierali w męczarniach, będąc nawet pod respiratorami. „Nie! To niemożliwe! – odrzucił tę potencjalność. Silne zawirowanie w gło-

wie, odczuwane jako „pływanie” ścian, było również tym momentem, w którym zagłębiał się w jakiś dziwny stan.

Obudził go zapach parzonej kawy i odgłosy krzątania, dochodzące z kuchni. Przez dłuższą chwilę leżał nieruchomo, ale patrząc w sufit, starał się zweryfikować nocne urojenie poruszających się ścian. „Pewnie był to tylko zły sen albo jakieś przywidzenie, może skojarzone z obrazami filmu, przy którym zasnąłem – domyślnie wyświetlił sam sobie tę imaginację. Poruszył się, chcąc zmienić pozycję. Zimny pot pojawił się na jego czole, gdy podjął nieskuteczny wysiłek, aby przekroczyć tułów na bok i wstać z łóżka. Nie wróżyło to nic dobrego. Jego nogi nawet nie drgnęły pomimo, że myślowo nimi poruszał. Dopiero teraz przypomniał sobie nocne zdrętwienie kończyn i lunatyczny spacer do łazienki. Odrzucił koldrę i spojrział na oba golenie z niepokojem. Przez chwilę zastanawiał się, co powinien zrobić. Intuicyjnie wydał sam sobie nerwowe polecenie. „Rusz lewą stopą”... Nawet nie drgnęła. „Porusz drugą”... Ulga. Zadziała. „A teraz podciągnij stopy, zginając kolana!”... Obie nogi zareagowały i zgięły się w kolanach, ale lewa stopa pozostała bezwładna ciągnąc się tylko za kolanem.

– O kurwa! – zaklął nazbyt głośno pod nosem. – Co się z tobą dzieje, że tak ostro przeklinasz? – spytała żona, wchodząc do sypialni. Spojrzął na nią nieco zdziwiony, widząc w jej dłoniach tacę z filiżanką kawy. To jego niepisany zadaniem na „dzień dobry” było niemal obrzędowe zaparzenie kawy w każdy poranek, jeszcze przed śniadaniem. Przez moment zastanawiał się, czy i jak jej powiedzieć

o tym, co czuje, pomny zdarzenia sprzed kilku miesięcy, kiedy wszedł rano do kuchni, a ona tylko dziwnie uśmiechała się do niego, nie odpowiadając na żadne jego pytanie. – Fonii Ci zabrakło, czy może podkpiwasz sobie ze mnie? – stwierdził ostatecznie, mając także na uwadze niezbyt owocne jego próby łóżkowych pieszczot, którym nie przeciwstawiała się. Jednakże onieśmiały ją zmieniające się błyski ekranu telewizora. Ponownie się uśmiechnęła, gdy o tym wspomniał, ale z jakimś osobliwym grymasem w kąciку ust, który nie wróżył niczego dobrego, o czym przekonał się niebawem, choć jednocześnie – obok tego skrzywienia wyrazu twarzy, z jej oczu wyczytał umiłowaną mu czułość. Wtedy, będąc jednak nieco już podrażniony brakiem wzajemnej komunikacji nawet nie przeszło mu przez głowę, że może to być udar, o czym zakomunikował pół godziny później ratownik medyczny, zabierając ją do szpitala. A stało się tak po interwencji córki, gdy zeszła do rodziców na codzienną kawę i natychmiast stwierdziła, iż z matką dzieje się coś niedobrego. Czuł się trochę winny tego, że będąc już po ich wspólnych *Złotych Godach*, nie potrafił zdiagnozować niebezpieczeństwa, w jakim znalazła się jego połowica.

Teraz jakby zaistniała sytuacja odwrotna. Wiedział już, iż nie powinno się jej denerwować, ale był też przekonany, że w jakieś jego wykrety nie uwierzy. Gorzej może być, jeszcze bardziej ją to podkręci. – Nie wiem, co to takiego, ale coś niepokojącego dzieje się z moimi nogami. W nocy obudziła mnie drętwota, ledwo dotarłem do łazienki i znów nie czuję lewej stopy. Może jakiś nerw przygniotłem. Pewnie minie za jakiś czas i wszystko wró-

ci do normy – odpowiedział, uspokajając małżonkę. – No dobrze. To poleguj sobie jeszcze. Dziś jest niedziela, więc nigdzie nie musisz się spieszyć – zaleciła ugodowo.

Kiedy tylko wyszła, zaczął się zastanawiać nad możliwą przyczyną tej sytuacji. „Może ma to jakiś związek z operacją wymiany biodra” – przeszło mu przez myśl. Reminiscencja zabiegu sprzed pół roku nie stanowiła dla niego żadnego koszmaru. Wręcz odwrotnie. Uśmiechnął się na myśl, przypominając sobie, jak leżał unieruchomiony na stole operacyjnym, świadomy tego, co z jego biodrem czynią dwaj młodzi ortopedzi. Znieczulony od pasa w dół słyszał kolejne ustalenia obu lekarzy, którzy ze sobą rozmawiali w przerwach pomiędzy świstem piły, którą wycinano mu staw biodrowy a uderzeniami młotka w dłuto, wpasowującymi w kość biodra nowy implant. Zażartował nawet w pewnym momencie, gdy usłyszał od jednego z nich, iż „jeszcze centymetr musisz uciąć, aby nasz pacjent nie utykał później na jedną nogę”.

– Panowie doktorzy, nie skracajcie mnie za bardzo, bo małżonka nie może być wyższa ode mnie! W naszej rodzinie to nie uchodzi! Nie mówiąc już o tym, że nierówne biodra wypaczą moje bekhendowe uderzenie. Niedługo mam ważny mecz do rozegrania na korcie i mistrzostwa seniorów w darta, gdzie liczy się każdy centymetr! – Popatrz Jacek, nawet nie wiedziałem, iż mamy tenisistę na stole, a do tego żartownisia i profesjonalistę od darta. Już instalujemy panu nowiusieńkie bioderko, wpasowane w stare kości, co do milimetra. Będzie pan zadowolony – zakończył kabaretowym sloganem. Dwie godziny później, będąc już na sali chorych,

nie mógł doczekać się zdolności poruszenia stopą, będącej pierwszym objawem „odpuszczania” znieczulenia i pewności, że operacja wymiany biodra się powiodła.

Ocknął się ze wspomnienia, które nie przyniosło odpowiedzi na jego rozterkę a już następna myśl zaczęła go bardzo niepokoić. „Może to wtedy, choć wedle zaleceń i wskazówek rehabilitantek, zbyt szybko stanąłem na obu nogach i zacząłem stąpać po sali chorych”. Nie zdążył jeszcze jej przeanalizować, a już „wskoczyła” kolejna. „A może to wychodzenie na korytarz oddziału ortopedii, niejako dowodzące, iż osiągnąłeś już sprawność pooperacyjną, także mogło być zbyt wczesne” – karciał sam siebie. „I teraz odezwały się efekty mojej niecierpliwości w byciu wysportowanym herosem” – przeszło mu przez głowę konfrontatywne wyjaśnienie niby kontrolowanego wtedy powrotu do zdrowia i sytuacji z aktualnym niedomaganiem stopy. „Czy może powinienem wówczas odpuścić sobie ten bardzo uciążliwy wyjazd na Śląsk?” – włączył kolejne zastrzeżenie myślowe. Zagłębił się we wspomnienie.

Blisko dwa lata poświęcił na to, aby doprowadzić w kraju do darterskiej imprezy o charakterze mistrzowskim dla seniorów. Grupy szczególnej wśród darterów, o czym sam się przekonał, mając na karku siedemdziesiątkę i widząc, jak niewiele szans mają starsze osoby w rywalizacji z dużo młodszymi darterami. „Kiedyś i wy będziecie seniorami i dopiero wtedy doświadczycie, czym jest – wraz z upływem lat – utrata sił” – przestrzegał niektórych, acz zadufanych w sobie działaczy *Polskiej Organizacji Darta*, nierozumiejących ludzi starszych, więc i niezbyt widzących potrzebę wprowadzania katego-

rii „senior” na turnieje darta. Ta osobliwa niechęć klóciła się z logiką rozwoju darta w kraju tym bardziej, że ci działacze, mając na uwadze partykularne cele, autoryzują kosmetyczny podział tylko na kobiety i młodzież. Taki nieetyczny punkt widzenia owych działaczy odbierał jako pewnego rodzaju dyskryminację osób starszych w Polsce a tym bardziej, iż światowe organizacje darta już wiele lat wcześniej wyselekcjonowały nową kategorię „senior” i przeprowadzają mistrzowskie zawody. W przeciwieństwie do aktywistów *POD* zrozumienie i pozytywny oddźwięk dla tej kwestii okazali działacze z Czaplinka, wspierani także przez miejscowe władze administracyjne i samorządowe, którzy podchwycili jego intencję. Przy okazji odbywającego się turnieju o *Puchar Polski* przeprowadzili oddzielne zawody z udziałem kilkunastoosobowego klubu seniorów. Rywalizacja przy tarczy, mająca wydźwięk nieoficjalnych mistrzostw kraju – stała się zaczątkiem rokrocznych *Mistrzostw Polski Seniorów* w Mikołowie na Śląsku. „Dopiąłem swego” – cieszył się w duchu. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że bez osobistego zaangażowania Piotrka, który sprawy darta i seniorów widział podobnie jak i on, do mistrzostw pewnie by nie doszło. Obaj doskonale się rozumieli. On – jako niegdyś wieloletni szef ośrodka sportu i rekreacji w Kołobrzegu i jego – czynny jeszcze zawodowo – odpowiednik w Mikołowie. Angażując się w organizację już *II Mistrzostw Polski Seniorów* nie mógł teraz zawieść grona współorganizatorów i nie wziąć w nich chociażby symbolicznego udziału. Tym bardziej – pomimo fizycznych trudności – starał się rzucać do tarczy od chwili, gdy tylko wypisano go ze szpitala i wrócił do domu. Zdawał

sobie sprawę z tego, że nie jest jeszcze gotowy fizycznie i sportowo na powtórzenie sukcesu z ubiegłorocznych mistrzostw, na których wywalczył trzecie miejsce, a przede wszystkim na tak długą i trudną podróż, a jeszcze bardziej dlatego, iż jakiegokolwiek przemieszczanie się będzie musiało być podpierane laską lub dwoma kulami. Ostatecznie zdecydował się jednak na start w mistrzostwach. Wspólnie z Adamem, Kazikiem i Markiem pojechali bezpośrednim pociągami na Górny Śląsk. Dogodne połączenie i niezbyt długa podróż *Pendolino* nie załatwiało jednak jego problemu, będąc już na miejscu w Mikołowie. Faktem było to, że Romano wprost z Niemiec dojechał na turniej swoim samochodem, co załatwiało komunikację pomiędzy hotelem a miejscem zawodów. Natomiast problemy sprawiały mu kwestie toaletowe, ponieważ nie zapewniały swobodnego komfortu osobie niepełnosprawnej – a będącej tuż po wymianie biodra. Dodatkowe trudności pojawiły się również w czasie przebiegu zawodów, gdy stając na linii rzutów z lotkami w dłoniach musiał prosić kogoś z obsługi turnieju o przytrzymanie kul. Tylko radość z sukcesu Romano, który zdobył tytuł wicemistrza Polski, nieco złagodziła narastające w nim zmęczenie i niewygodny kilkugodzinny jazdy za kierownicą samochodu polskiego „Niemca”, który nie nadawał się tego dnia do prowadzenia auta. Podobnie zresztą, jak i pozostali członkowie ekipy z Elbląga, świętujący zbyt często złocistym płynem sukces właściciela pojazdu. Być może statyczna pozycja biodra podczas nocnej kilkusetkilometrowej jazdy powrotnej do domu i możliwy ucisk na jakiś nerw mogły mieć – także po upływie kilku miesięcy, wpływ na późniejszą reakcję jego orga-

nizmu. Może powinien wtedy poświęcić więcej czasu na regenerację i odpoczynek, ale obiecał Piotrkowi, iż natychmiast po powrocie do domu... coś napisze. W jego pamięci odtworzył się ówczesny poranek, gdy po kilku godzinach snu zerwał się podekscytowany z łóżka, aby – mając w głowie żywe jeszcze turniejowe echo – napisać relację z przebiegu imprezy, ale także wyrazić swoje stanowisko w obronie byłego „miszczu” (takim mianem określił go w jednym z wcześniejszych felietonów, gdy niemoralnie zachował się w stosunku do innego dartera), „skazanego” przez *POD* na darterski banicję. Szum komputera i delikatne kliknięcia w przyciski liter na klawiaturze zapewniały felietonową stronę zdanie po zdaniu.

„Działo się! Oj... działo na *III Indywidualnych Mistrzostwach Polski Seniorów*, które odbyły się w Mikołowie u gościnnych Ślązaków. I, mimo że zdominowali je tubylcy, a Andrzej Mazur po raz trzeci został Mistrzem Polski, to uczestnicy mistrzowskiego turnieju nie mogli narzekać na moc sportową imprezy. To były równie świetnie poukładane zawody, w których uczestniczyła również elbląska ekipa... nie odnotowując jednak znaczących sukcesów. Nasi medaliści poprzednich mistrzostw (mój brązowy medal z I edycji *MPS* oraz wicemistrzostwo Romana Kraczkowskiego z ubiegłego roku) tym razem niewiele osiągnęli w turnieju indywidualnym, ale w zamian Adam w parze z Markiem wygrali seniorski turniej deblowy (4 pary), będący przymiarką do wprowadzenia odrębnej kategorii turnieju na kolejnych *Mistrzostwach Polski Seniorów*. Miłym akcentem spotkania dla najstarszych darterów w kraju, powyżej 70 lat, było uhonorowanie ich okolicz-

nościowymi statuetkami. W moim przy-padku (76 lat) ta indywidualna statuetka – SENIOR AUTORYTET – zwieńczyła walkę o darterskie *Mistrzostwa Polski dla Seniorów* i współudział w ich realizacji a jednocześnie niejako klamruje (na jakiś czas) moją przygodę z darterem na rzecz opracowania i napisania oraz wydania powieści lub chociaż esaju o zapaleńcach rzutów lotkami w tarczę. Takiej osobliwej opowieści o ich darterskich wozajach po kraju o dziesiątkach morałów i usprawiedliwień, mających decydujący wpływ na świetny (rzadziej) lub mizerny (często) udział w turniejach a także na radościach i darterskich smutkach, ale przede wszystkim na integracyjnej więzi, zapisanej w książce grubą czcionką. Opisuującą również mocno »zakręcone« życie prawie każdego autentycznego dartera-działacza.

Niewiele mniej wrażeń i emocji – od pasjonującej walki o mistrzowskie tytuły przyniosły darterskie dysputy, które odbywały się równolegle w kularach iście rodzinnego klubu *SILVER*. Wśród dysku-towanych tematów ponownie uzewnętrzniała się sprawa ukarania jednego z najlepszych darterów w kraju i byłego reprezentanta Polski, który został zawieszony w prawach uczestnictwa w turniejach *POD* z cyklu *Pucharu Polski*. Odebrano mu prawa nie na jakiś okres, by miał czas na przemyślenia i ustatkowanie się, ale zawieszono go... dożywotnio!!! A skoro tak, to co ma zrobić kolega, choć organizator *PP*, gdy tak bezprawnie (moim zdaniem) ukarany darter pojawi się na turnieju? Rodzą się zatem i inne pytania. Jakim prawem można kogoś zawiesić dożywotnio? Kto ten prawny (?) *passus* wymyślił? Dlaczego nawet swoistego ulaskawienia po kilkuletniej banicji nie można zastosować

w stosunku do tego zasłużonego dartera? Bo ktoś zarządzający *POD* uparł się a inny twierdzi, iż dopiero »po mojej śmierci« coś takiego może nastąpić... Takie widzi-mię... To rzecz niepojęta. Chyba że... w Polsce obowiązują jeszcze sądy kaptu-rowe? A przecież mamy XXI wiek. Pawle! To prawda, iż jesteś – podobnie jak i wielu innych, których jeszcze nie ukarano – osobą nieco »rozbrykaną« i czasem Cię ponosi, ale śmiem twierdzić, iż to nieżyciowe »dożywotne zawieszenie« stało się absurdem i stanowi ewenement prawny nie tylko w krajowym darcie. Pewnie jeszcze trochę lat brakuje Ci do startu w *MPS*, ale wiedz, że w gronie Seniorskich Autorytetów nikt cię dożywotnio... nie »zbanuje«. Tylko doczekaj. A może wcześniej *Polska Organizacja Darta* zreflektuje się jednak... na temat swojego błędu”.

Pochłonięty rozmyślaniami i wspomnieniami, ale też niespokojną nocą zasnął. Obudził się prawie późnym południem, wyczuwając instynktownie obecność żony przy łóżku. Z kuchni doszedł go przytłumiony głos balladzisty Rynkowskiego, który w radiu śpiewał swój autorski rapsod, zatytułowany *Wy-spa*. Wzdrygnął się pod impresją utworu, który natychmiast zobrazował w nim pamięć o tragicznie zmarłej wnuczce. To wtedy, na Jej pogrzebie, uznał za konieczne napisanie rodzinnej sagi. Teraz, wsłuchując się w głos piosenkarza – oczyma wyobraźni czytał ponownie tekst, który wówczas zaczął pisać. „Od kilku lat uzupełniam poszczególne gałęzi rodzinnej genealogii z myślą, iż teraz nasze wnuki a kiedyś ich dzieci i wnuki zaciekawi historia rodu oraz losy poszczególnych członków rodziny. Dziś ta lista obejmuje około 250 osób, w tym również tych

najstarszych (ur. w XVIII i XIX wieku), którzy dawno temu zmarli, przeżywając na tym padole w różnych okolicznościach ich życia wiele, wiele lat. W moim drzewku genealogicznym okno Eli jest dalej aktywne, gdyż nie mam siły... wpisać tam daty jej śmierci. To Jej odejście było za szybkie, a data śmierci potwierdza tylko rozpaczliwość krótkiego życia bliskiej nam osoby. I to mnie męczy, choć balsamem dla całej rodziny za jedno stracone życie młodej jeszcze córki, siostry i wnuczki – stało się nowe życie... Na świecie pojawiła się nowa istota: córka, wnuczka, prawnuczka i siostrzenica – Tola. Ale tym bardziej rodzi się moja wątpliwość. Czy świat musi się w ten sposób bilansować, czy może jednak sami, jako ludzie, wpływamy na taki a nie inny rozrachunek życia, uczestnicząc na przykład w »wariackiej« polityce świata, w ciągłych wojnach plemiennych, a przede wszystkim w nieprzestrzeganiu zasad i podważaniu rodzimej rodzinnej hierarchii? Nie jest moim celem poszukiwanie »winiących« i obciążanie ich grzechem za tę szokującą śmierć. Pewnie i do siebie mógłbym mieć żal o to, że nie w porę przestrzegałem, iż nie radziłem przekonująco albo też, że zbyt łatwo ustępowałem, może powinienem być jeszcze bardziej zdeterminowany nabytym doświadczeniem i rolą najstarszego członka rodziny. Czy to wszystko uchroniłoby Elę... Tego nie wiem, ale od czasu do czasu, ta myśl... Wręcz mnie torturuje”.

Zaczął wtedy pisać wstęp do opowieści, ale równie szybko uznał, iż nie powinien wyrażać swoich myśli pod wpływem emocji, więc w tym momencie zaniechał myśli o tworzeniu sagi. Później jeszcze nieraz podejmował próby kon-

tinuowania dzieła swojego życia, ale za każdym razem dopadało go tak silne rozrzewnienie i mocne łomotanie serca, że również w obawie o swoje zdrowie bezwzględnie zamykał w komputerze stronę z rozpoczętymi zapiskami.

Spojrzał na żonę. Nie dał poznać po sobie, jak mocne ogarnęło go wzruszenie, wsłuchując się w słowa piosenki. W głowie poczuł lekki zawrót. Z wyrazu jej twarzy wyczytał spore zaniepokojenie. – Przyznaj, iż coś złego dzieje się z Tobą. A nie chcesz mi powiedzieć, by mnie nie niepokoić. Ale przecież to widzę i coraz bardziej się denerwuję. Obiad zrobiłam... Może chociaż zjesz obiad – zaproponowała z nadzieją, że nie odmówi. Nie odpowiedział, tylko skinął potakująco głową. Uznała ten gest za aprobujący jej posiłkową ofertę i skierowała się do kuchni. Podobnie jak w nocy wysunął się na zewnątrz łóżka i powoli podniósł się na wyprostowane nogi, w których wyczuł mrowienie. Zawrót głowy nasilił się na tyle, iż oparł się na ścianie. Przez chwilę czekał, aż zawirowanie nieco minie i ruszył krok po kroku do kuchni. Zaskoczyły go niekontrolowane – na podobieństwo głupich kroków serialowego Monty Pythona – sztywne odruchy jego nóg. Nie było w nich żadnej namiastki płynności, więc przesuwiał się po domowym holu, jakby miał przywiązane do nóg szcudła.

– Powiedz wreszcie, co ci jest! Przecież widzę, że coś jest nie tak – podkreślała się ze złością, gdy tylko pojawił się w kuchni i bezwolnie opadł na kuchenne krzesło. – Sam już nie wiem, co się dzieje, ale doświadczam czegoś dziwnego, tym bardziej że obok słabego czucia nóg także dłonie zaczynają mi się trząść – odpowiedział. Jakby na potwierdzenie chwycił

łyżkę i nabrał gorącego rosółu, ale zanim podniósł ją do ust, rozlał zupę po całym talerzu. – Nie jesteś już młodziemlakiem z dawnych lat, choć ikry w tobie jest jeszcze sporo, ale chyba bliżej ci już do jakiegoś niby cyborga niż do żyjątka, o które trzeba ciągle dbać – dodała, nawiązując do jego zdrowotnej przeszłości. Nie tak dawno obchodzili swoje *Złote Gody*, toteż znane jej były jego medyczne perturbacje, najczęściej wynikające ze zbyt aktywnego życia, w którym ciągle czegoś doświadczał. Pęknięte śródstopie po skoku w dal, później złamany piszczel lewej nogi po jeździe na muldach, gdy uparł się zjechać na nartach ze Stożka, to najmniej uciążliwe zdarzenia, kończące się gipsowym okładem, nie mówiąc już o operacyjnych „drobiazgach” z wycięciem wyrostka robaczkowego a za jakiś czas także żółciowego pęcherzyka. Dwumiesięczny gips na nodze po zerwanym ścięgłe Achillesa (zszywany operacyjnie) to skutek nagłego startu do tenisowej piłki na korcie w trakcie jakiegoś ważnego meczu. Złamany później nos w drogowym wypadku z utratą przytomności, którą odzyskał w momencie, gdy mu go „naprawiano” w szpitalu – a nade wszystko dwie operacje na sercu po zawale (wstawiono łącznie pięć stentów), ostatnio zaś także wymiana biodrowego stawu, potwierdzają jego aktywną, choć nakierowaną przeciwnościami losu drogę życiową. Wszystkie chirurgiczne naprawy jego ciała i drobniejsze urazy miały więc uzasadnienie do określenia go przez mocno wystraszoną małżonkę mianem nawiązującym do... ziemskiego androida. Dlatego też nie zaproponował, gdy na gwałt przywołała córkę polecając jej, aby natychmiast zawiozła go do lekarza dyżurnego w szpitalu. Godzinę później, już po ujemnym badaniu na

Covid-19, przyjęto go na *SOR*, gdzie po analizie badania krwi zaaplikowano mu wzmacniające kroplówki. Po dwóch dawkach uspokoił się na tyle, że czujnie zaczął obserwować pielęgniarki, które co chwilę zaglądały do innych pacjentów, leżących w oddzielnych boksach za kotarami. Ze zdziwieniem skonstatował, iż jak na niedzielę, to ruch na obszarze obserwacyjnym *SOR* był wyjątkowo duży. Kiedy kolejna porcja elektrolitów została już mu wkroplona i poczuł się o wiele lepiej, zsunął się z leżanki i stanął na nogach. Przez dłuższą chwilę sprawdzał stan równowagi i choć niezbyt pewnie, to na szeroko rozstawionych nogach ruszył w kierunku łazienki. – Kto pozwolił opuścić panu leżankę – usłyszał niespodzianie głos lekarza. Dlaczego nie zawołał pan pielęgniarki? – skarcił go pytaniem. – Poczuję się lepiej i chyba wracam do normy, więc idę za potrzebą – odpowiedział wskazując na drzwi ubikacji. – Dwa ćwiczenia, zanim pójdzie pan dalej – zalecił lekarz. Oczy zamknięte! Palcem prawej i lewej ręki dotknąć nosa – zakomenderował stanowczo. Niezbyt pewnie i zwolnionym ruchem wykonał polecenie, czując lekkie wirowanie w głowie. – Dwa kroki do przodu i do tyłu – padło drugie zadanie. – No dobrze. Niech pan już idzie – lekarz niepewnie się zgodził, ale pozostał na miejscu, by poobserwować jego zdolność poruszania się. – Jeszcze jedna dawka potasu i dopiero wtedy zdecyduję, czy pan zostanie w szpitalu na oddziale, czy wróci do domu – zakomunikował doktor, kiedy wrócił z wucetu i ponownie usadowił się na leżance a pielęgniarka wpinała mu kroplówkę. – Panie doktorze, prawie jestem przekonany, że poradzę sobie w domu – zasugerował swój punkt widzenia nie będąc pewny, czy to wystarczy,

bo dostrzegł, iż jakoś podejrzanie dziwnie przyglądał mu się lekarz, nie odpowiadając na jego zapatrywanie. „No tak! Przy najmniej godzina mi jeszcze zejdzie, a ona tam na korytarzu czeka” – zaniepokoił się o córkę.

Rozmyślając i gapiąc się beznamiętnie na zbyt wolno spadające krople elektrolitów, pewnie nieco czasu przedrżemał, bo otworzył oczy dopiero wtedy, gdy uświadomił sobie, że dociera do niego kobiecy głos. Odwrócił głowę w kierunku osoby mówiącej. Stała tyłem do jego leżanki, tuż przy parawanie i choć nie widział jej twarzy, to zorientował się, iż to nie jego córka rozmawiała z lekarzem. Tym bardziej zadziwiło go, że lekarz dyżurny, stojąc i słuchając wywodu nieznaney mu osoby, uważnie gapił się... na niego. – Panie doktorze – usłyszał ostatnią frazę z długiego monologu kobiety. – On już nie będzie więcej pił. Tak mi przyrzekał i ja teraz o niego zadbam. Specjalnie po niego przyjechałam, bo przecież mamy wspólne dzieci. To dobry chłop, ale czasem przesadzi. A to delirium, o którym pan mówił, to dopiero drugi raz takie coś on miał. Przyrzekam panu, ja już do takiego stanu nigdy go nie dopuszczę. Proszę, niech pan już go puści. Zabiorę go do domu – prawie błagała. – Zgoda, ale jeszcze nie skończyła się ostatnia dawka potasu – wskazał na zwisający i przypięty do wysięgu pojemnik, ale nie na tego pacjenta za kotarą, lecz na jego wysięgnik. Zaskoczona kobieta odwróciła się do leżanki i spojrzała na niego. – Panie doktorze! To nie o tego pana mi chodzi. Mój jest tu... obok. Za tym parawanem – wyjaśniła, wskazując równocześnie na sąsiednią kotarę. – Tak. Tak – już wszystko wiem. Mamy dziś spore zamieszanie i czasem nie wiem, kto do

kogo i w czyjej intencji przychodzi – odpowiedział wymijająco lekarz, akceptując natychmiast prośbę kobiety i przekazując jej kilka wskazówek na odchodne. Zza parawanu wyszedł mężczyzna, który na pierwszy rzut oka mógł być określony jednoznacznym mianem niezłego mordercy. Kobieta chwyciła pod rękę marmoczącego jeszcze coś pod nosem męża i oboje opuścili *SOR*. „Przecież nie mógł pomylić mnie z tym typem!?” – przeszła mu przez głowę fatalna myśl. Prawie godzinę później lekarz poprosił go o wykonanie kilku ćwiczeń, z których to najważniejsze i pewnie decydujące prowadziło do samodzielnego przespacerowania się po wyznaczonej linii łamanej.

– Czy pan nadużywa alkoholu? – spytał medyk ni stąd, ni zowąd na zakończenie weryfikacji jego stanu. „No tak, teraz rozumiem, dlaczego ciągle tak mi się przyglądał” – przeszło mu przez myśl. – Jeżeli pan doktor pomylił mnie z moim sąsiadem, tym... zza kotary, to sam sobie współczuję, iż tak źle wyglądam, ale zapewniam pana doktora, że nigdy w swoim życiu nie miałem „przyjemności” być w fazie poalkoholowego delirium. – Przepraszam pana, ale wszystkie objawy, towarzyszące delirium nie zawsze muszą mieć związek z nadużywaniem alkoholu, choć te dzisiejsze u pana jakby na to wskazywały – zaczął niepewnie lekarz dyżurny. Widać było, iż nie był jeszcze utwierdzony do końcowego rozpoznania. A wynikają one – ciągnął dalej – także z nadmiernej, często zbyt intensywnej i nerwowej pracy lub też z niezbyt przyjaznego otoczenia środowiskowego, a które, jako zaburzenia, występują pod postacią somatyczną. Toteż dużo mocnego snu i spokoju panu życzę. Dobrej nocy – dopowiedział, wręczając



mu jednocześnie kartę informacyjną. – Na korytarzu oczekuje pana córka – dodał spieszenie, aby uniknąć jakiegokolwiek dalszej kontrowersji.

Wrócili do domu dwie godziny po północy i dopiero wtedy przyłapał się na tym, że jest głodny. Jedząc posiłek, zre-lacjonował żonie przebieg wizyty w szpitalu. Nie do końca podchwyciła jego zapewnienie o powrocie zdrowia do normy. Zasnął natychmiast, gdy tylko przyłożył głowę do poduszki. Obudził się późnym popołudniem. Na pytanie żony, doglądającej go co jakiś czas, jak się czuje nie odpowiedział. Z jednej strony nie chciał jej przestraszyć a z drugiej, obawiał się powiedzieć jej to, co sam czuje.

– Mówże coś wreszcie! – fuknęła poirytowana, czując, iż jej małżonek celowo odwleka przekaz złych wieści. Z popłochem w głosie odkrył jej i sobie, że brakuje mu czucia w nogach, a jednocze-

śnie nie potrafił sensownie i płynnie przekazać tego, co mu dolega. Tym bardziej, iż opanował go przestach, gdy jednocześnie zaobserwował, że przy odretwiących nogach, którymi nie mógł już prawie ruszać, pojawiły się także niezbyt skoordynowane ruchy obu dłoni, które na domiar złego trzęsły się nawet wtedy, gdy starał się je wzajemnie podtrzymywać. Jego myśli zaczęły wariować na podobieństwo zawrotów głowy. Nakładały się przeciwstawnie, jedna na drugą, ale jedna z nich dominowała uporczywie. Więc chwycił się tej jednej, jakby ostatniej deski ratunku. Sięgnął po telefon. – Andrzej!... Błagam, przyjedź... pilnie! Coś złego... dzieje się... ze mną! Musisz mi pomóc. Wszyystko pły-wa mi w oczach! – sylabizował przez telefon do kolegi, znanego lekarza psychiatry, z którym zżyli się, grając razem na kortach, aby to on zdiagnozował nagłą zmianę stanu jego zdrowia. Gdy le-

karz potwierdził, iż zwizytuje go w domu, zerknął na coraz bardziej rozmazującą się postać małżonki. Była niemniej przerażona i spanikowana tym, co również sama widzi i jak on na to reaguje, ale poddała się sugestii oceny jego stanu zdrowia przez kolegę lekarza. Jego stan pogorszył się na tyle, że przybyły na lekarską wizytę medyk – widząc również zanikający z nim kontakt logiczny, natychmiast zaaplikował mocne środki uspakajające i pilnie wezwał pogotowie ratunkowe. Na sygnale – nie bardzo już uświadamiając sobie, co się wokół niego dzieje (podobno wyzywał ratowników – tak mu relacjonowano miesiąc po powrocie z leczenia) – pojechał do szpitala karetką pogotowia. Niewiele już później pamiętał, natomiast w podświa-

domości zarejestrował jeszcze tylko nakładające się na siebie kontury pielęgniarek, aplikujące mu jakieś doustne środki oraz płyny z wysięgnika a także błyskające światłami kolejne urządzenia, w których przeprowadzano mu badania. Definitywnie odnotował jeszcze tylko napis i drzwi wjazdowe na oddział neurologii. „Czy wydobrzeję, czy może zostanę już na zawsze taką... wiotką roślinką?” – zaniepokoiła go myśl, umykająca nagle gdzieś w próżnię. Czuł coraz większą otepiałość i bezwolną uległość. Nawet nie skojarzył tego, będąc równie bezsilny fizycznie i umysłowo, iż wyłącznie dzięki pielęgniarcom znalazł się w szpitalnym łóżku. Niejako – z dnia na dzień – stał się osobnikiem prawie niezdolnym do samodzielnej egzystencji.



Jadwiga Łada

Chata

Przez pierwsze powojenne lata wtulona w las chata została rozszabrowana i zniszczona. Jeszcze zimą w czterdziestym piątym roku wybito z jej okien szyby, porąbano drzwi – z wyjątkiem tych na ganku, rozebrano ogrzewające pokoje kaflowe, wysokie piece. Wyniesiono większość kuchennych sprzętów. Z pokoi wytargano solidne rzeźbione kredensy, rozkładany stół, przy którym w dniu urodzin pani Margarety gościły się dwadzieścia cztery osoby. Fotele przystrojone przepiękną srebrną tkaniną. Z sypialni szerokie łóżce. Rozpruto pierzyny i poduszki a biały ciepły puch wytrzepano na setki pustych puszek, leżących na kupie przy studni. Bałagan pozostawili po sobie na początku lutego odpoczywający w tym domu radzieccy żołnierze.

Gdy zapadał zmierzch podcieniowa chata zmieniała się w starą udręczoną pozbawioną humoru zjawę, w stertę źle ułożonych dębowych pali nieprzypominającego dawnego ciepłego, rodzinnego, ludzkiego, gniazda.

Nie wiadomo dlaczego żadna z przesiedlonych z dalekich i bliskich stron świata rodzin nie chciała w niej zamieszkać. Jedni mówili, że jest dla nich za wielka, po naprawie drzwi i wstawieniu szyb w oknach pokoje należałoby pomniejszyć, by zimą dobrze ogrzać. A na dodatek trzeba znaleźć zgodną drugą rodzinę, ponieważ za sienią jest długi korytarz, kuchnia, trzy izby i byłby to również wielki kłopot. Ludzi naprawdę się nie zna a z krewnymi wcześniej też różnie było.

Jednak to nieprawda, iż w tym miejscu, w którym dawniej mieszkała wielopokoleniowa pruska rodzina, obecnie panuje cisza i marazm. I na dodatek w rozgrabionych zniszczonych pomieszczeniach rozgościło się złośliwe widziadło. Przeciwnie, w tym dawniej pięknie rzeźbionym a obecnie zniszczonym przez okrutną wojnę domu zamieszkali nowi lokatorzy i upływa w nim nowe zgodne, życie.

Od dawna nie zamykane, przekrzywione okiennice, tkwiące w luźnych zardzewiałych zawiasach pozwalały, by po pustych pomieszczeniach tańczył wiatr a do wewnątrz wpadały krople deszczu. Wiosną do kuchni wprowadziły się jaskółki, wychowały dwa legi ptasich pociech, by w pierwszej połowie sierpnia podziękować za gościnę i odlecieć na dalekie południe. Jesienią przytuptały kolczaste jeże. W bawialnym pokoju umościły sobie kopczyk z liści a przed zimą pod nim zasnęły. Zaglądał również borsuk, ciekawska ruda lisica, mała zwinna kuna, wiewiórki i zdziczałe koty.

Zimą na podwórzu, na śniegu nie brakowało śladów kopytnej zwierzyny. Wielki samotny stary łoś, sarny i dziki przychodziły wczesnym rankiem w okresie siarczystych mrozów do wypełnionej sianem rozbitej stodoły. Chlewnię odwiedzały kruki, między sobą o resztki nasion wyklócały się wróble. Z pod klepiska z nerek wysuwały się główki szarych myszek a wysoko pod sufitem pracowity pająk utkał wielką pajęczynę i na kogoś z niecierpliwością czekał.

Jednak od końca wojny w opuszczonym podcieniowym domu, na dachu,

nad kominem nie snuje się wstęga białego dymu. Nie słyhać w kuchni dźwięku naczyń, nie czuć roznoszącego się po pokojach zapachu obiadowych potraw, świeżo pieczonego chleba, słodkiego pulchnego drożdżowego ciasta, zbożowej kawy z mlekiem. Nikt prócz milczącego dziecka tu nie zagląda. Nowi, pochodzący z różnych stron kraju osiedleńcy na Warmii, również nie byli zainteresowani tym pomieszczeniem. Za dnia widzieli wyszabrowaną, zrujnowaną wielką drewnianą chałupę, z której nocą słyhać było skargi i wycie wiatru.

Mijały tygodnie, minęły pierwsze trudne, głodne lata. Młodzież dorastała, kończyła szkoły, powstawały nowe rodziny, lecz nie było miesiąca, by ich dziadkowie nie wspominali swojej ukochanej, utraconej ojcowizny. Z całkowitą obojętnością siedzący przed domem starszuszki nie cieszyli się z osuszonych z wody łąk zielonych łąk, zaoranych pól, na których dojrzewała pierwsza posiana pszenica. Wspominają tylko zebraną przez pompy wodę, powtórnie skierowaną do rzeki, wyrosnięty dorodny oset, który wyrwali ręcznie od rana do zmroku, zmagając się z rojami komarów. Starcy mówili wnukom, że już pora, by wrócić do pozostawionych gór, chat, cerkwi, cmentarzy. Ale jak wrócić do domu, kiedy nie pozwala na to ludowa władza. Tylko wszędobylskie, ciekawskie dzieci nie mając lat szkolnych i lepszego zajęcia biegały wokół zniszczonego młyna, zaglądały w okna sąsiadom a zmęczone siadały i odpoczywały na wysokim kopczyku przy drodze, nie wiedząc, że pod nim śpi snem wiecznym dziewczynka i jej ostatni opiekunowie. A Niemka, która co pewien czas tu przychodzi, przegania ich

z tego miejsca, wygrażając grubym kijem. Co dzisiaj będziemy robić, w co będziemy się bawić? – Czasami słyhać takie pytanie. Kilka dni temu zobaczyli smugę dymu nad lasem, na polanie gdzie wiosną zbierali słodkie, czerwone poziomki. Starsi chłopcy pobiegli sprawdzić, kto dzisiaj pasie krowy a umorusane maluchy ruszyły w stronę szkolnego budynku. Stojąc przy oknie w przydeptanym zielsku, gromadka patrzyła przez szybę na wiszącą na ścianie tablicę, duże liczydło, szafę wypełnioną książkami i na dwa rzędy ławek, pokrytych zieloną farbą z kałamarzami, wpuszczonymi w środek pulpitu. Za chwilę biegły na drugą stronę drogi i siadały na kamieniu obok spalnego młyna, spierając się o wszystko jak wróble w stadku.

Mała milcząca dziewczynka również zaglądała do szkoły. Przez niedomknięte okienko w piwnicy, schodami prowadzącymi do góry przedostawała się na korytarz i wchodziła do klasy. Z czarnej tablicy brała kredę rysowała na niej ptaki, zwierzęta, kwiaty. W innym pomieszczeniu przeglądała książki w twardej oprawie i nie mogła oderwać oczu od pięknych kolorowych ilustracji, jakich nigdy wcześniej nie widziała. Czasami zabierała do domu na podpałkę zniszczoną, bez obrazków, książkę. Później biegła do podcieniowej chaty. Z daleka wypatrywała dziewczynki w długiej, białej koszuli, ale nigdy nie mogła zbyt blisko do niej podejść i się z nią pobawić. Tymczasem dom straszył swoją brzydota i kalectwem, był w wielkim rozkładzie. W środku, w każdej izbie czuć było smród, pod sufitem spływały firany pajęczyn i kurzu. Zawilgocone, zniszczone, butwiejące sprzęty w kuchni i po-

kojach śmierdziały pleśnią, Nadpalony przewrócony do góry nogami stół, na którym widniały ślady olbrzymiej siekiery czy też topora leżał przy studni na podwórzu. Pod wielką ceglaną oborą w wysokim zielsku i krzakach dzikiego bzu przycupnęła sieczkarnia. Brony, pozabawione wszystkich zębów, rdzewiały ukryte w łopianach.

Od dawna zasiedlono wszystkie okoliczne domostwa, ale chata nadal stała pusta, choć miała tak wiele do zaofiarowania. Swoje ciepło, wędzarnie przy kominie, wielki piec do pieczenia chleba, przewiewny strych, obszerne chłodne piwnice. Studnię z dobrą wodą.

Ludzie gór przywiezieni na pogranicze Żuław i Warmii powoli przyzwyczajali się do okaleczonej, zalanej stęchłą wodą ziemi ale nie znali jej tajemnic. Nic nie wiedzieli o znajdującej się przy drodze niedaleko podcieniowej chacie mogile z czterdziestego piątego roku, w której pochowano dziewczynkę w białej nocnej koszulce, kobietę i mężczyznę. Z każdym rokiem kopczyk zapadał się w ziemię, ukrywając się pod bujną zieloną trawą i rosnącymi nad nimi brzoškami.

Kilka lat to tak niewiele w pamięci pór roku, inaczej jest ze wspomnieniami ludzi. Nie wszyscy mieszkańcy Prus, zimą czterdziestego piątego roku opuścili domy, uciekając przed potężną armią ze wschodu. Zostały rodziny, którym nie powiodła się wcześniejsza ewakuacja przez zamrożony Zalew lub te, dla których nie było miejsca w ostatnim pociągu, w styczniu czterdziestego piątego roku, jadącego z Królewca przez Elbląg do Szczecina. Zostali ludzie tych ziem, zamieszkani od pokoleń Warmiacy, noszący słowiańskie nazwiska i ger-

mańskie imiona. Dokąd mieli uchodzić? Ale i oni odeszli.

Upływały leniwie tygodnie i miesiące, zmieniały się pory roku. W powietrzu czuć było jeszcze odór wojny. W głębokich odwadniających pola rowach, pod cienką warstwą ziemi leżało wiele prochu, żelastwa i szczątków ludzkich. Stary opuszczony dom drzemał, wyczekując lepszych czasów. Od północy pokaleczone, dawniej wysokie i rozłożyste gałęzie bordowo-słodkich słodkich czereśni straszyły suchymi, martwymi kikutami.

Czasami osobie przechodzącej drogą wydawało się, że słyszy w niej śmiech i śpiew. Ktoś tu przebywał, ale dawne zasobne siedlisko skrzętnie ukrywało nowe tajemnice. Nie chciało wyjawic, kto biega po wielkim strychu i dlaczego stukają rytmicznie okiennice, gdy dzień jest letni, bezwietrzny, słoneczny. Kto porusza rynną, czyja ręka wprowadziła ją przez okno do bawialnego pokoju, by wartkie rozpryski wody zmoczyły twardą polepę pozabawioną desek, gdy od tygodni nie było deszczu. Dlaczego po zmierzchu słychać skrzypienie starego fotela na biegunach a w kuchni ktoś przerzuca połówki fajerek na drugi koniec zniszczonej izby.



Janusz Donimir Wrocławski

Ku prawdzie

Odsłona 1

Upadek

Świt nie miał żadnego koloru, był bardziej jak resztką światła, które ktoś przez pomyłkę zostawił włączone na końcu świata, a teraz dogasało, mrugając ze zmęczenia. On leżał na starym materacu, krzywo opartym o brudną podłogę i przez chwilę próbował zdecydować, czy bardziej boli go głowa, czy dusza, ale szybko doszedł do wniosku, że w jego stanie takie analizy nie mają sensu, bo jedno i drugie waliło równo, jakby ktoś w nocy chodził po nim w ciężkich butach. W ustach miał smak połamanych gwoździ, a w powietrzu wisiała lepka woń alkoholu i samotności, tej najgorszej, takiej, która oblepia człowieka jak stary tłuszcz na patelni i nie chce zejść nawet po namacaniu.

Podniósł się powoli, jakby każdy ruch był negocjacją z ciałem, które już dawno wypowiedziało mu posłuszeństwo. W mieszkaniu panował bałagan, jaki można by nazwać archeologicznym, bo każda warstwa śmieci opowiadała własną historię o tym, jak wyglądały kolejne dni upadku. Puste butelki przewracały się pod stopami, plastikowe kubki z niedopitą wódką stały jak małe groby po wczorajszych próbach zapomnienia, a w rogu leżała bluza, którą pewnie kiedyś lubił, gdy jeszcze miał gust i ambicję, zanim to wszystko rozszarpało go na kawałki.

Najgorsza była jednak pustka. Taka cicha, obojętna, jak gdyby nawet rzeczy w jego mieszkaniu w końcu przestały mu kibicować.

Zamrugał, żeby oczy przyzwyczaiły się do półmroku, ale to nic nie dało. Kac uderzył go falą – taką potężną, że aż musiał złapać się ściany, jakby go ktoś pchnął. I wtedy pojawiła się ta myśl, ta jedyna, która zawsze przychodziła jako pierwsza, zanim jeszcze człowiek zdążył dojść do siebie: napić się. Nie z ochoty, tylko z potrzeby. Jak tlenu. Jak czegoś, co sprowadza ciszę i wyłącza te wszystkie nieprzyjemne głosy w środku.

Wstał, przeklinając pod nosem i zaczął szukać resztek czegokolwiek. Zwykle po nocach zostawało coś na dnie którejś butelki, ale dziś miał pecha, bo wszystkie były wypite do sucha. Jakby jakiś diabeł w nocy wyszedł z piekła, podpił mu wszystko i zostawił tylko rozpacz.

Zimno go przeszło, takie głębokie, jakby ktoś wsadził mu lód w kręgosłup. Szybko wciągnął na siebie kurtkę, nie dlatego, iż było zimno, tylko żeby nie czuć własnego ciała, tak jakby odzież mogła odgrodzić go od samego siebie. Wyszedł z mieszkania i od razu uderzył go zapach klatki schodowej – wilgotny, zmęczony, z tą nutą starego betonu, która pasowała idealnie do jego życia.

Miasto o tej porze było prawie martwe. Kilka ludzi szło szybkim krokiem, każdy w swoją stronę, nikt nie chciał patrzeć na innych, zwłaszcza na niego, bo ludzie mają jakiś wrodzony radar na nieszczęście i wolą udawać, że go nie ma, aby nie złapać go jak wirusa. On też unikał spojrzeń, bo wiedział, jak wygląda: twarz zmęczona jak po bitwie, oczy czerwone, dłoń drżąca przy każdym kroku. Sztynny chód człowieka, co to przeszedł już kilka wojen ze sobą i żadnej nie wygrał.

Szukał sklepu. W głowie miał tylko jedną trasę. Alkohol jako kompas, alkohol jako poranek, alkohol jako myśl, która trzyma go przy życiu i jednocześnie zabija powoli, ale skutecznie. Zaczął przyspieszać, bo drżenie rąk robiło się coraz gorsze.

I właśnie wtedy poczuł, iż musi iść do toalety. Nie „zaraz”, tylko „teraz”. Bez dyskusji. Takie potrzeby zawsze przychodziły w najgorszym momencie, jakby ciało brało odwet za wszystko.

Rozejrzał się, szukając miejsca, gdzie mógłby się schować. Ulica była pusta, ale okna sąsiadów nigdy nie śpią – to wiedział z doświadczenia. W końcu zobaczył niski mur, niepozorny, zimny, wąski. Podszedł do niego, gotów zrobić to, co każdy w takim stanie robi, kiedy życie jest jednym wielkim rozwiązaniem siłowym.

I dopiero wtedy zorientował się, gdzie stoi.

Mur należał do kościoła.

Kościół nie wyglądał jak coś, do czego człowiek w jego kondycji ma prawo się zbliżyć. Stał cicho, jakby obserwował go z ukrytym wyrzutem, a jednocześnie z dziwną cierpliwością. Jak ktoś, kto widział już milion takich jak on i wie, że każdy musi w końcu upaść, aby w ogóle spojrzeć w górę.

Złapał się za głowę, próbując zrozumieć, jakim absurdem jest to, iż twoja pierwsza czynność o świcie to próba obsikania domu Boga.

Przeklął pod nosem.

Przez chwilę chciał odejść, ale coś go zatrzymało. Coś, co nie miało imienia ani formy. Nie był to wstyd – z tym dawno się już pożegnał. Nie był to strach – ten też wypłukał z siebie przez lata. To było

coś dziwniejszego. Ciekawość. Jakby coś go ciągnęło do tych drzwi, które stały w półmroku.

Zrobił krok.

Potem drugi.

Jakby zapach starego drewna i chłód kamienia wyciągały do niego rękę.

I tak zaczął się jego upadek w drugą stronę. W stronę czegoś, czego jeszcze nie rozumiał, ale co wisiało w powietrzu, jak pierwszy dźwięk w pustym kościele.

Odsłona 2

Drzwi, które nie powinny być otwarte

Stał chwilę przed tym kościołem jak ktoś, kto przypadkiem wpadł na własne sumienie i nie bardzo wie, czy powinien je przeprosić, czy udawać, że go nie widzi. Powietrze było zimne, ale nie takie zwykle zimno, tylko to kościelne, które zawsze pachnie jak stary kamień, kurz modlitw i trochę jak beznadzieja tych, jacy tu przychodzą po cichu, bo głośno już nie mają odwagi. Miał wrażenie, iż mur patrzy na niego spod tych pęknięć, jakby oceniał, czy to człowiek, którego w ogóle warto wpuszczać przez próg.

Przez moment chciał odwrócić się jak tchórz, który jeszcze ma szansę udawać, że nic go tu nie ciągnie, ale noga jakoś sama zrobiła pierwszy krok, jakby coś pod skórą mówiło: idziesz dalej, choćbyś nie chciał. Drugi krok był łatwiejszy, bardziej jak poddanie się. Jak gdyby instynkt prowadził go tam, gdzie rozum dawno odmówił współpracy.

Drzwi naprawdę były uchylone. To go uderzyło najmocniej. Bo kościół o tej godzinie powinien być zatrzaśnięty na cztery spusty, z ostrzeżeniem, że Bóg przyjmuje dopiero od ósmej albo podczas mszy. A tu – szpara. Wąska jak

zwątpienie, ale wystarczająca, by człowiek w takim stanie poczuł, iż ktoś tu na niego czekał. Albo przynajmniej nie zatrzasnął mu drzwi przed nosem.

Popchnął je lekko.

Wnętrze przyjęło go ciszą, ale nie taką zwykłą ciszą, tylko taką, która najpierw oblepia uszy, a potem zaczyna zjadać człowieka od środka, wyciągając z niego wszystko, co tam tłumili latami. Pachniało drewnem, starymi ławkami, kadzidłami, które kiedyś tutaj musiało płonąć i jeszcze czymś nieokreślonym – czymś, co przypominało atmosferę starej fotografii, gdzie wszyscy już dawno nie żyją, ale dalej patrzą.

Zrobił kilka niepewnych kroków, aż nagle uderzyła go świadomość, iż trzeba tu chodzić ciszej. Że w takim miejscu człowiek zaczyna robić rzeczy, których normalnie się po sobie nie spodziewa: prostuje plecy, zdejmuje czapkę, oddycha wolniej, jakby złamał jakiś niewidzialny regulamin.

Usiadł w ławce, bardziej z braku pomysłu niż z potrzeby. Nie było tu nikogo. Ani księdza, ani wiernych, nawet babcia od różańca jeszcze spała. Na końcu kościoła wisiał krzyż, stary, pobrudzony czasem, z figurą Jezusa, na którą nie miał odwagi patrzeć prosto, bo było w tym coś, co przypominało surowy wyrok. A jednak głowa sama zaczęła iść w górę.

No i wtedy to się stało.

Coś w nim pękło.

Nie na głos, nie dramatycznie. Raczej taka mała szczelina w środku, przez którą wypłynęła cała prawda o jego życiu, taka lepka, gorzka i brudna jak wódka zmieszana z łzami, jakich nie chciał nigdy nikomu pokazać.

– Ty... – wymknęło mu się pod nosem.

Nie wiedział, czy mówi do Boga, czy do siebie, czy do tej przestrzeni, która pachniała jak czyjeś dawne modlitwy. – Słuchaj, ja wiem, że nie jestem... – urwał, bo każde kolejne słowo było jak wyciągnięcie drzazgi, która tkwiła tam od lat.

Przetarł twarz dłonią, jakby to mogło skasować całe jego życie. Miał w środku ciemność. Taką, której nie widać gołym okiem, ale która jest jak ciężar w płucach. I nagle zobaczył to wszystko naraz: te noce, kiedy pił do odcięcia, te poranki, kiedy budził się obok samego siebie, tego, kogo najbardziej bał się spotkać. Głupie wybory, głupie nadzieje, ludzie, których skrzywdził bardziej, niż chciał przyznać. I taki zwykły, ludzki ból, który nosił po kieszeniach jak identyfikator.

– Człowieku... – mruknął sam do siebie. – Chryste... co ja zrobiłem z tym wszystkim?

W kościele nic mu nie odpowiedziało, ale to było chyba nawet gorsze. Bo ta cisza była jak lustro. Jakby ktoś mu powiedział: „To twoje. To wszystko twoje. Patrz”.

Gdzieś daleko, blisko ołtarza, zaskrzypiała deska. Zwykły dźwięk, ale on poczuł, jakby ktoś go obserwował. Jakby sam fakt, że jeszcze żyje, był czymś, co wymaga wyjaśnienia.

Podszedł do wielkiego krzyża, bo coś go do niego ciągnęło. Może chciał się komuś wygadać, a nie miał komu. Może chciał, żeby ktoś w końcu powiedział mu, co ma ze sobą zrobić. Zatrzymał się kilka kroków przed figurą i westchnął tak gębokoko, jakby pierwszy raz od lat odważył się nabrać pełny oddech.

– Wiesz... – zaczął cicho. – Nie wiem, czy w ogóle masz mnie jeszcze na liście... Ale jak masz, to... ja już trochę nie wyrabiam.

Miał wrażenie, iż mówi do drewna. A jednocześnie – jakby mówił do kogoś, kto go znał lepiej niż on sam siebie.

I wtedy, ni stąd, ni zowąd, przez sekundę naprawdę poczuł, że ktoś go słucha.

Nie Jezus.

Nie Bóg.

Ktoś bardziej intymny.

Ktoś, kto znał jego imię, chociaż on jeszcze nie miał odwagi go wypowiedzieć.

Ten ktoś patrzył na niego od środka i czekał, żeby powiedział jeszcze jedno zdanie.

Jakieś ważne, proste, czyste.

On jednak spuścił wzrok.

Zabrakło mu odwagi.

Został tylko chłód kamienia, zapach drewna i to dziwne uczucie, iż coś w nim drgnęło po raz pierwszy od lat.

A potem – bez żadnego powodu, jakby prowadziła go jakaś siła, którą znał, zanim jeszcze nauczył się pić – wyszedł. Cicho, ostrożnie, z lekkim drzeniem, jak ktoś, kto dotknął czegoś większego, niż chciał.

Przed wejściem na chwilę zatrzymał się, a wtedy jego imię przemknęło mu przez głowę jak szept, którego nikt nie wypowiedział na głos:

Andrzej.

I choć jeszcze nikt tego imienia nie znał, ono już zaczęło się w nim budzić, jakby miało mu przypomnieć, że jest kimś więcej niż tylko wrakiem po kolejnej nocy.

Odłona 3

Domknięcie

Zrobił parę kroków w stronę wyjścia, mając wrażenie, iż przyszedł tu, dotknął czegoś nie swojego i powinien się wycofać, zanim ten spokój zacznie od niego czegoś wymagać. Drzwi już były blisko,

chłodne światło dnia wpadało przez nie jak obietnica, że wszystko wróci na swoje stare, bezpieczne tory. Już kładł rękę na klamce. Już był jedną nogą na zewnątrz.

I wtedy coś w nim pękło drugi raz, tym razem ostrzej.

Nie mógł wyjść.

Nie teraz.

Jakby jakaś niewidzialna nić złapała go za kark i szarpnęła do środka. Jakby coś mówiło: „Wracaj. Nie skończyłeś”.

Zamknął więc drzwi wolno, niemal z szacunkiem, i odwrócił się.

Krzyż czekał.

A on, nie wiadomo skąd, poczuł wstyd tak głęboki, że aż go zabolalo w żołądku.

Podszedł z powrotem. Wolniej niż pierwszym razem, ciężej.

Stanął tuż przed figurą Chrystusa, tak blisko, iż widział każde pęknięcie farby, każde załamanie drewna, każdy ślad po czyjejs modlitwie. Zadrżały mu dłonie, ale tym razem nie od alkoholu.

– Słuchaj... – wypowiedział to prawie szeptem, a głos odbił się w pustej nawie jak coś, czego nie powinno się mówić głośno. – Ja... nie skończyłem.

Zawiesił wzrok na twarzy Jezusa, tej spokojnej, umęczonej, dziwnie ludzkiej w swoim dramatycznym bezruchu.

– Ciebie ukrzyżowali ludzie – powiedział powoli, jakby każde słowo miał wyciągać z głębokiej rany. – Ciebie postawili na tym drzewie... bo bali się prawdy, bo im przeszkadzałeś, bo byłeś im lustrem.

Przełknął ślinę.

W gardle paliło jak wtedy, gdy pił na głodniaka.

– A ja... ja siebie sam ukrzyżowałem. – powtórzył, cicho, ale twardo. – Sam sobie wbiłem te wszystkie gwoździe, każdy jeden. Każdą decyzją, każdą butelką, każ-

dym razem, kiedy nie potrafiłem sobie wybaczyć. To ja to zrobiłem. Nie świat, nie ludzie, nie życie. Ja.

Jego głos zadrżał, bo trudno jest wyznaczyć winę, kiedy przez lata jej unikano jak kormornika.

– Ty miałeś tłum... a ja miałem siebie. I wiesz co? Ja byłem gorszy niż ten tłum. Bo siebie znałem najlepiej. Wiedziałem, gdzie uderzyć. Wiedziałem, jak zabość najbardziej.

Na chwilę zasłonił oczy dłonią.

Nie płakał, ale łzy stały mu gdzieś głęboko, jakby czekały na sygnał.

– Ja nie przyszedłem ci się tłumaczyć – mruknął. – Ja wiem, co zrobiłem. Tylko... kurwa... – westchnął tak ciężko, że aż echo odpowiedziało – już nie mam siły tak ze sobą żyć, rozumiesz?

Kościół milczał, ale to milczenie było jak odpowiedź.

Nie pocieszenie.

Nie rozgrzeszenie.

Coś bliższego: obecność.

– Jeśli masz mnie jeszcze gdzieś tam w swoich papierach, jakąś zakurzoną teczkę z moim imieniem... – zawiesił głos. – To może... nie wiem... podrzuć mi jakiś znak. Cokolwiek. Bo ja... ja już trochę tonę.

Stał tak chwilę. Oddychał szybko, jak po wysiłku, jak po spowiedzi, której nigdy nie zamierzał mieć. W tej jednej sekundzie poczuł coś dziwnie lekkiego, jakby zdjął z barków skrzynkę z cegłami, którą nosił od lat i zdążył zapomnieć, że w ogóle ją dzwiga.

Potem zrobił krok w tył.

Jeszcze jeden.

Aż był znowu pośrodku kościoła, a krzyż patrzył na niego z dystansem kogoś, kto już wszystko wie.

Nie padła żadna odpowiedź.

Ale nie musiała.

Dopiero wtedy wyszedł.

Bez pośpiechu, bez ucieczki.

Jak człowiek, który pierwszy raz w życiu powiedział prawdę, której nawet sam przed sobą nie chciał uznać.

A kiedy zamknął drzwi za sobą i chłodne powietrze dotknęło mu twarzy, przez ulotną chwilę poczuł, iż zaczyna się coś, czego jeszcze nie rozumie, ale co może – tylko może – nie skończy się tak źle, jak wcześniejsze rozdziały jego życia.

Odsłona 4

Spotkanie z Tico

Miasto po wyjściu z kościoła wyglądało inaczej, choć Andrzej nie potrafiłby powiedzieć dlaczego. Nic się przecież nie zmieniło: śmierzące śmietniki nadal śmierziały, chodniki były tak samo popękane, a ludzie, którzy mijali go w pośpiechu, nadal traktowali go jak powietrze, ale jakimś dziwnym trafem to wszystko nie bolało tak ostro jak zwykle. Może przez tę rozmowę, którą odbył z Jezusem, a może po prostu kac zrobił mu chwilową przerwę. Może człowiek musi czasem porozmawiać z kimś wiszącym na krzyżu, żeby przestać czuć się jak jedyna ofiara w tej cholernej układance.

W każdym razie szedł wolniej, jakby coś w nim dopiero co odprysło, a na wierzch wyszła ta część, którą dawno temu zakopał pod butelkami i wstydem. Przez chwilę nawet pomyślał, że może nie musi iść do sklepu, może odpuści dziś ten rytuał, może po prostu wróci do domu i położy się na chwilę. Ale ta myśl była tak nierealna, jakby powiedzieć psu, żeby nie ruszał kiełbasy.

Zawahał się. Skręcił w stronę monopol-

wego był rutyną, którą wykonywał nawet wtedy, gdy nie chciał. Gdy chciał – tym bardziej. Ale tego ranka, dziwnym trafem, skrętem zarządziła inna siła, jakaś jeszcze nieopierzona, ledwo narodzona w tym kościele.

I wtedy go zobaczył.

Na schodach kamienicy, tej zaniedbanej, brudnej, z tynkiem łuszczącym się jak skóra po oparzeniu, leżało coś małego. Coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak dziecięca zabawka, ale dzieci w tej okolicy dawno nauczyły się trzymać swoje rzeczy blisko siebie. To nie był teren, gdzie coś zostaje przez przypadek. Andrzej zatrzymał się, wpatrując się w to coś tak, jak patrzy się na zwierzę, które mogłoby być ranne albo wredne, albo jedno i drugie. Kucnął. Leżał tam robot.

Mały, pokraczny, z obdrapaną wstawką z plastiku, z kabelkami jak żyły wystające z boków.

Wyglądał na martwego.

Albo na śpiącego.

Albo na jednego z tych przedmiotów, które mają w sobie jakąś smugę dziwnego życia.

– Co za gówno... – mruknął pod nosem, ale było w tym więcej ciekawości niż pogardy.

Dotknął go jednym palcem, tak jak człowiek dotyka czegoś niepewnego, co może się ruszyć albo ugryźć. Robot drgnął minimalnie, ale może to wiatr, może jego zmęczone oczy znów kłamały.

Zaglądał jeszcze chwilę, próbując znaleźć choć cień sensu.

– Kto to zostawił? – mruknął, nie zdając sobie sprawy, że mówi na głos.

W okolicy nie było nikogo.

Żadnego dziecka, żadnego właściciela,

żadnego powodu, żeby ta metalowa pokraka tu leżała.

Jakby czekała.

Może nawet na niego.

– Dobra... – westchnął. – I tak już dziś zwariowałem. Jednego kolegę mam w kościele, to czemu nie drugiego w śmietniku.

Podniósł robota ostrożnie, tak jak podnosi się coś, czego nie powinno się dotykać, ale człowiek robi to i tak, bo intuicja ciągnie mocniej niż rozsądek.

Robot był cięższy, niż wyglądał.

Chłodny, ale nie lodowaty.

Jak metal, który ma w sobie trochę ciepła po czyjejs dłoni.

Włożył go pod pachę i poszedł do mieszkania, mamrocząc coś pod nosem, bo nawet on nie potrafił wyjaśnić sobie samemu, po jaką cholere to robi. Może miał po prostu dość rozmów, które istnieją tylko w głowie. Może potrzebował czegoś, co nie kiwa z dezaprobatą, nie działa jak lustro, nie wbija mu gwoździ w serce.

Choć nie wiedział jeszcze, jak bardzo się mylił.

Kiedy wszedł do mieszkania, rzucił kurtkę na krzesło i położył robota na stole. Zaskrzypiał plastik, uderzając o drewno, jakby protestował. Andrzej zmrużył oczy.

– No i co z tobą zrobić, pacanie? – zapytał półgłosem.

Robot milczał.

Ale inaczej niż martwe rzeczy.

To było milczenie... czujne. Takie, które sprawia, że człowiek ma wrażenie, że ktoś go obserwuje.

Andrzej westchnął ciężko, usiadł na krześle i przetarł twarz dłońmi.

– Pojechało mnie – podsumował sam siebie z wyjątkową szczerością. – Najpierw

Jezus, teraz robot. Super. Jeszcze pies mi zacznie śpiewać i będę kompletny.

I wtedy to się stało.

Robot wydał z siebie ciche kliknięcie.

Takie, jakby w środku przewróciła się mała zębatka.

Andrzej zamarł.

Przez krótką chwilę w pokoju zawiązała napięta cisza, taka nieoczywista, jak przed trzęsieniem ziemi albo przed słowami, których nie da się cofnąć.

A potem robot powiedział:

– Spóźniłeś się.

Andrzej aż otworzył usta, ale nie wydobył z siebie ani jednego słowa. Tylko patrzył.

Na tę małą, brudną maszynę, która w dodatku miała czelność brzmieć jak ktoś znudzony i lekko rozczarowany.

– No... chyba cię pojebało – szepnął w końcu do samego siebie.

Robot poruszył głową.

Delikatnie.

Precyzyjnie.

Jak ktoś, kto od dawna czekał, aż Andrzej wreszcie coś zrozumie.

– Spóźniłeś się – powtórzył, tym razem wyraźniej, jakby się upewniał, że słowa dotrą do adresata.

Andrzej poczuł, iż włosy na karku stają mu dęba.

– Kim... kurwa... jesteś? – zapytał, choć miał wrażenie, że zmienił się z mężczyzny w siedmiolatka, nocującego w niewiedzonej szopie.

Robot odpalił w końcu z tym zimnym, bezczelnym spokojem, który Andrzej miał okazję ostatnio słyszeć tylko u ludzi, którzy byli od niego mądrzejsi:

– Tico. A ty... ty jesteś w większym gównie, niż ci się wydaje.

Andrzej zamrugał, otępiały, oszołomio-

ny, przerażony i trochę... zaintrygowany.

Bo pierwszy raz od lat ktoś – choćby metalowy, choćby wyśniony, choćby kompletnie absurdalny – mówił do niego wprost.

Jak równy do równego.

Jak ktoś, kto niczego nie udaje.

Jak ktoś, kto naprawdę ma mu coś do powiedzenia.

I tak zaczęła się ich rozmowa.

Odsłona 5

Pierwsza rozmowa

Robot patrzył na niego – albo raczej *celował* w niego swoimi małymi, świecącymi diodami – w sposób, który był absolutnie niemożliwy. Tak patrzy ktoś, kto nie ma w sobie ani krzty litości, a jednocześnie wie więcej, niż powinien. Andrzej nie wiedział, co z tym zrobić. Przez sekundę myślał, iż zwariował, ale zaraz potem przyszła mu do głowy jeszcze gorsza myśl: że wreszcie spotkał kogoś, kto mówi wprost.

– No dobra... – burknął, opierając łokcie o stół. – Przestań pieprzyć, jakbyś naprawdę mówił. Na baterie jesteś. Pewnie jakiś chiński gównorobot z tutorialem odpalonym.

Tico wydał krótki dźwięk, coś między kliknięciem a czymś, co przypominało westchnięcie człowieka, który już traci cierpliwość.

– Gdybyś był choć trochę bystrzejszy, zauważyłbyś, że nie mam w sobie żadnych baterii – oznajmił. – Ale nie wymagajmy cudów na poziomie podstawówki. Ty le-dwo ogarniasz własne nogi.

Andrzej aż się wyprostował.

– Ty... ty mnie właśnie obrażasz? – zapytał z autentycznym niedowierzaniem.

– Nie – odparł Tico z pełnym spoko-

jem. – Ja cię *opisuję*. Obrażanie wymaga emocji, a ja się nie bawię w sentymenty. W przeciwieństwie do ciebie, który potrafi płakać nad własnym życiem i nic z tym nie robić.

Andrzej zamknął usta, otworzył znów, zamknął. Wyglądał jak ryba wyciągnięta na brzeg.

– Ale... – zaczął.

– Nie – uciął Tico.

– Nawet nie wiesz, co chciałem powiedzieć.

– Wiem. – Robot przekrzywił lekko głowę. – Chciałeś zapytać, co ja tu robię, po co mówię, czy jesteś wariatem, czy ci się przewidziało. Standardowy zestaw pytań, jakie zadaje człowiek, który pierwszy raz od dawna próbuje użyć tego, co masz między uszami. Choć przyznam, iż to miejsce jest w opłakanym stanie.

– Ej! – Andrzej aż się oburzył. – Mózg mam w porządku.

– Mhm. – Tico wydał dźwięk, który brzmiał jak ironiczny *no właśnie*.

– A dlatego właśnie od lat próbujesz się nim zabić alkoholem?

Andrzej się skrzywił, jakby robot trafił go otwartą dłonią w policzek.

– Ty jesteś jakiś chory... – syknął.

– Czemu gadasz jak psycholog z kursem sarkazmu?

– Bo ktoś musi ci powiedzieć to, czego nikt ci już nie chce mówić. – Tico patrzył nieruchomo, ale jakoś przesywająco. – I najwyraźniej padło na mnie. Gratuluję, wygrałeś w loterii istnienia.

– No, super – Andrzej parsknął półśmiechem, półszlochem. – Najpierw Jezus, teraz ty. Jeszcze mi powiedz, że przyszedłeś mnie zbawić.

– Zbawić? – Tico aż zadygo-

wał, jakby chciał się roześmiać, ale jego konstrukcja nie miała funkcji śmiechu. – Stary, ja cię nawet nie lubię.

– Dzięki – mruknął Andrzej.

– Ale to nie ma znaczenia – ciągnął robot. – Nie chodzi o to, czy cię lubię, czy nie. Chodzi o to, iż ty *toniesz*. I ktoś musi ci dać w łeb patykiem, żebyś zaczął machać rękami.

– No to se trafieś – burknął Andrzej.

– Nie mogłeś wziąć kogoś młodszego? Albo chociaż kogoś, kto jeszcze rokuje?

Tico pochylił głowę.

– Żebyś wiedział, ilu ludziom można by było pomóc, gdyby tylko mieli odwagę spojrzeć na swoje dno? – zapytał spokojnie. – Ale ty masz tę przewagę, że już tam jesteś. Tak blisko dna, iż wystarczy odbić się choć jednym palcem.

Andrzej prychnął.

– Nie wiem, czy chcę. – powiedział szczerze. – Może mi tam dobrze.

– Nie jest ci dobrze. – Tico powiedział to tak pewnie, jakby czytał raport. – Jest ci tylko znane.

Ta linia trafiła go jak kulka w żołądek.

Niewielka, metalowa, ale celna.

Andrzej zamilkł.

Robot kontynuował:

– A dobre i znane to nie to samo. Ale jeśli chcesz – pij dalej. Rozwał sobie wątrobę, mózg, resztki relacji. Masz do tego pełne prawo. W końcu niszczysz siebie całe życie, jesteś w tym specjalistą.

– No, ty... – Andrzej aż się zagotował. – Ty mały skurwielu!

– O, budzą się emocje. – Tico zanotował sucho. – To znaczy, iż jeszcze w tobie coś działa.

– Chcesz mnie wkurwić? – zapytał Andrzej ostrym tonem.

– Chcę cię obudzić. A że jedno prowadzi

do drugiego, to trudno.
Zapadła chwila ciszy.
Prawdziwej.
Gęstej, napiętej.
Andrzej patrzył na robota jak na coś między cudem, przekleństwem a kacy-mym koszmarem.
– Czemu do mnie mówisz? – zapytał w końcu z nutą zmęczenia, które miało w sobie jakąś niewinną, zupełnie niealkoholową szczerść.
Tico odpowiedział bez wahania:
– Bo jesteś sam. Tak zajębiście sam, iż w końcu musiało się w tobie coś odezwać. I wypadło na mnie.
Andrzej zamknął oczy na chwilę.
Zbyt prawdziwe.
Zbyt trafione.
– I co teraz? – mruknął.
– Teraz? – Tico uniósł lekko głowę. – Teraz będziemy gadać. Dużo. I ostro. A ty, choć będziesz się buntował, będziesz słuchał. Bo pierwszy raz od lat ktoś ci powie coś, co może cię uratować.
– Kto? Ty? – Andrzej uniósł brew.
– A kto inny? – Tico odpowiedział tym swoim metalicznym spokojem. – Przecież nikt inny już cię nie słyszy.
To była prawda.
Brutalna.
Ciężka.
Do bólu znana.
Andrzej opuścił ramiona.
Pomyślał, że może pierwszy raz od dawna ma ochotę naprawdę usiąść i pogadać. Choćby z robotem.
Choćby z własnym szaleństwem.
– No dobra, Tico. – powiedział. – To mów.
Robot zamigał diodami, jakby uśmiechnął się niewidocznym uśmiechem.
– Zaczniemy od podstaw – powiedział

chłodno. – Musisz przestać pić.
Andrzej jęknął.
– Zaczynasz od końca, złomie.
– Nie – odparł Tico spokojnie. – Zaczynam od początku. To ty całe życie leciałeś na skrótach.

Odłona 6

Pierwsze ciosy w ego

Tico nie tracił czasu.
Nie wyglądał jak ktoś, kto lubi wstępy, delikatne podejścia, metafory.
Nie, on walił prosto, bez amortyzacji, tak jak się wali w ścianę, kiedy człowiek biegnie z zamkniętymi oczami.
– Musisz przestać pić – powtórzył tonem, który nie znosił dyskusji.
Andrzej odchylił głowę i wydał z siebie dźwięk, przypominający jednocześnie jęk, westchnienie i „daj mi spokój, kurwa”.
– Ty naprawdę nie łapiesz, w jakim ja jestem stanie – mruknął. – Gdyby to było takie proste...
– Jest proste – przerwał mu Tico. – Tylko nie jest łatwe. To dwie różne rzeczy, ale ty od dawna mieszasz pojęcia.
Andrzej parsknął krótkim, nerwowym śmiechem.
– Filozof mi się trafił.
– Nie filozof – odparł robot. – Tylko ktoś, kto nie może patrzeć, jak marnujesz tę żalną resztkę siebie. Nawet jeżeli jestem jedynym, który jeszcze cię obserwuje.
Coś w tych słowach zabolalo go bardziej, niż chciał pokazać.
Rozejrzał się po mieszkaniu, jakby nagle zobaczył je po raz pierwszy.
Syf nie był zwykłym syfem, tylko monumentalnym dziełem zaniedbania.
Na stole: butelki, niedopite kubki, pa-

pierki, popielniczka przepełniona jak kosmiczny krater.

Na podłodze: śmieci w warstwach, jak geologiczna historia upadku. Zapach: mieszanka stęchlizny, potu i grzechów, które nigdy nie dostały rozgrzeszenia.

I nagle, po raz pierwszy od dawna, zrobiło mu się *wstyd*.

– No... zrobiło się trochę bałaganu – mruknął, próbując udawać nonszalancję, która nie istnieje nawet w tanich komediach.

– Trochę? – Tico aż zamigotał szyderczo.

– Ja pierdołę, człowieku, tu wygląda jak po wybuchu małego uzależnionego wulkanu. Jeszcze trzy dni i to miejsce samo wystawi do ciebie pozew o separację.

Andrzej skrzywił się, ale nie odpowiedział.

Co miał powiedzieć?

Że tak żyje?

Że tak funkcjonuje?

Że gdyby śmierć miała depilować mieszkanie, to zaczęłaby właśnie tu?

– Wiesz co? – mruknął pod nosem. – Tylko mnie obrażasz.

– Nie – poprawił go Tico. – Ja cię diagnozuję. Obrażanie zostawmy twoim byłym partnerkom. One robiły to z emocji. Ja robię z obowiązku.

Andrzej westchnął ciężko, a potem machnął ręką.

– No dobra, specu. I co? Mam teraz zacząć tu sprzątać? Myć podłogi? Wyrzucić śmieci? Udawać, że jestem kimś, kto ogarnia życie?

– Nie udawać – odparł robot. – Zacząć. Jedno, pierwsze, małe działanie. Na przykład...

Tico obrócił głowę, skanując pokój czerwonym światłem diody.

Po chwili oznajmił:

– Podnieś tę butelkę.

Andrzej popatrzył na butelkę.

Na Tico.

Na butelkę.

Na Tico.

Na swoje ręce.

I zorientował się, że sytuacja jest groteskowa: trzydniowy kac, robot mówiący jak terapeuta po wypaleniu, a on między tym wszystkim jak uczeń, który musi wykonać pierwsze polecenie.

– Serio? – zmarszczył brwi. – Od butelki zaczynamy?

– A od czego chciałbyś zaczynać? – zapytał Tico. – Od pisania pamiętnika? Od pozycji lotosu? Ty nawet tej butelki nie potrafisz podnieść bez narzekania. Zrób to. Dla testu. Żeby sprawdzić, czy coś w tobie jeszcze działa.

Andrzej przeklął pod nosem.

Pochylił się.

Podniósł butelkę.

W tej jednej sekundzie poczuł coś dziwnego.

Jakby coś od bardzo, bardzo dawna zapomnianego w nim drgnęło.

Coś, co mogłoby... może... kiedyś... dopiero za jakiś czas... obrócić się w kierunku życia.

Położył butelkę na stole.

– No. Zadowolony? – burknął.

– Nie – powiedział Tico. – Ale to był pierwszy ruch, który zrobiłeś od miesięcy w dobrą stronę. Jakość słaba, ale kierunek właściwy.

Andrzej aż poczuł, jak w środku coś mu się skrzywiło.

– Ty mnie traktujesz jak jakiegoś... ucznia – mruknął.

– Bo nim jesteś – odparł Tico bez mrugnienia. – Uczniem własnego życia, które

oblałeś jakieś pięćdziesiąt razy. Ale ja ci dam powtórkę materiału.

Andrzej uśmiechnął się krzywo.

– Ty naprawdę masz gadane, co?

– W przeciwieństwie do ciebie – odparł robot – ja nie jestem pijany przez trzy czwarte życia.

– No, teraz przesadzasz – syknął Andrzej.

– Nie przesadzam – odparł Tico. – Umie liczyć.

Zapadła chwila ciszy.

Tym razem dziwnej.

Nie wrogiej.

Nie ironicznej.

Raczej... otwierającej.

Jakby to wszystko, co zostało rzucone w twarz, zaczęło w nim powoli pracować. Powoli.

Jak rdza, która w końcu daje się zdrapać. Tico odezwał się łagodniej – jak na maszynie:

– Dzisiaj posprzątasz tylko trochę. Tyle, ile dasz radę. A potem usiądziemy i pogadamy o tym, co dalej.

– O moim życiu? – zapytał Andrzej z przekąsem.

– Nie. – Tico zawiesił głos. – O tym, czy chcesz jeszcze mieć jakieś.

Andrzej przełknął ślinę.

Po raz pierwszy tego dnia, a może od lat, poczuł coś niepokojąco ludzkiego.

Nadzieję.

– No dobra, Tico – powiedział cicho. – To – co dalej?

Robot zamigotał diodami jak ktoś, kto właśnie otworzył pierwszy rozdział nowej księgi.

– Dalej? – odparł. – Dalej zaczyna się twoje trzeźwienie. Ale spokojnie. Wcześniej muszę cię jeszcze parę razy obrazić. Andrzej parsknął śmiechem.

Prawdziwym.

Pierwszym od dawna.

Odsłona 7

Pierwsze porządki, pierwsze prawdy

Andrzej wstał z lekkim westchnieniem, takim jak człowiek, który dopiero co zauważył, że wcale nie jest aż tak stary, jak mu się wydawało, tylko zmęczony w sposób, którego nie da się przespać. Spojrzał na bałagan. Na tę warstwową katastrofę, w której każda śmieć był świadkiem jego upadku.

Poczuł wstyd, ale też dziwne... ukłucie determinacji.

Małe. Prawie niezauważalne. Ale było.

– No dobra, zaczynam – mruknął, bardziej do siebie niż do robota.

– Fantastycznie – skomentował Tico.

– Uważaj, bo zaraz zacznę być z ciebie dumny, a tego byś nie przeżył.

Andrzej prychnął, ale zaczął zbierać śmieci.

Najpierw powoli, nieporadnie, jak ktoś, kto próbuje sobie przypomnieć ruchy, których dawno nie wykonywał.

Zgniłe resztki, puste butelki, papierki po jedzeniu, które jadł tak szybko i nie uważnie, iż nawet nie pamiętał ich smaków. Wszystko lądowało w jednym worku, który szybko zaczął puchnąć niczym jego *ego*, kiedyś, dawno temu, zanim spadł na dno.

Tico komentował każdy jego ruch, ale w sposób, który wcale nie był już taki szyderczy jak na początku.

– Nieźle – mruknął robot, gdy Andrzej zapełnił drugi worek. – Zaskoczenie. W twoim wieku ludzie zazwyczaj mają już trwałe kontuzje – w głowie, nie w kręgosłupie.

– Odwał się – burknął Andrzej, choć bez jadu. – Jeszcze mam siłę.

– Siłę masz – odparł Tico. – Gorzej z wolą. Ale to jest właśnie ta różnica, nad którą będziemy pracować.

Andrzej zamarł na chwilę przy trzecim worku.

Wola.

Słowo, którego nie używał od bardzo dawna.

Tak dawna, że aż zbladło w jego słowniku.

Złapał kolejną butelkę i spojrzał na nią dłużej niż powinien.

W tej butelce było coś więcej niż szkło i resztki alkoholu.

Była historia.

Jego historia.

Pusta, lepka, bezkształtna.

Taka jak on.

– Dlaczego ty właściwie... – zaczął cicho, nie patrząc na robota – ...dlaczego ty mi to mówisz? Po co ci to?

Tico milczał przez moment.

Po raz pierwszy milczenie nie było szydercze.

Było... miękkie.

Na tyle, na ile metalowa maszynka, przywleczona z brudnych schodów, w ogóle mogła być miękka.

– Bo nie chcesz umrzeć – odpowiedział robot. – Tylko jeszcze sobie tego nie powiedziałeś.

Andrzej poczuł, jak coś w nim osiada, ciężkie i bolesne.

Jakby robot wyciągnął mu z żołądka wielki kamień, który nosił tam od lat.

– Człowieku... – wyszeptał. – Ty jesteś... potwornie szczerzy.

– W przeciwieństwie do ciebie – odparł Tico łagodnie.

Zbieranie śmieci trwało jeszcze chwilę.

Pot lał mu się po plecach, bo kac, zmęczenie i emocje nie są najlepszymi sprzy-

mierznięciami porządków.

Ale robił to.

Krok po kroku.

Gest po geście.

Wysiłek włożony w te małe ruchy zaczął przełamywać w nim tę grubą skorupę, którą niósł od lat.

W pewnym momencie, kiedy stał pośrodku pokoju z czterema workami, pełnymi grzechów codzienności, poczuł... coś dziwnego.

Ciszę.

Nie tę bolesną, samotną ciszę, którą słyszał przez lata, nie tę, która była jak echo pustego życia.

Tylko inną.

Ciszę, w której można oddychać.

Usiadł na krześle, ciężko, zmęczony, spocony, ale... trochę dumny?

Nie, to było za duże słowo.

Może: mniej obrzydzony sobą.

Tico odezwał się cicho:

– No. Widzę zmianę.

– Jaką? – mruknął Andrzej.

– Pierwszą. – Robot przekrzywił głowę.

– Zacząłeś traktować siebie jak kogoś, kto jeszcze się liczy.

Te słowa uderzyły go głębiej niż wszystkie wcześniejsze szyderstwa.

– A ty skąd o tym wiesz? – zapytał zmęczonym głosem.

– Bo ja widzę to, czego ty unikałeś latami – odparł Tico. – Ty nie nienawidzisz siebie. Ty po prostu o sobie zapomniałeś. Andrzej poczuł, jak coś mu drży w środku.

Może serce.

Może dawny ja.

Może ta część, która była kiedyś chłopakiem, co chciał czegoś więcej niż taniej wódki i ucieczki od wszystkiego.

Wziął głęboki oddech.

– No dobra – powiedział w końcu. – To... co dalej?

Tico zamigotał diodami, jakby szykował się do kolejnego etapu.

– Dalej – oznajmił powoli – będziesz upadał i próbował wstawać. A ja będę to komentował tak szczerze, że będziesz mnie chciał wyrzucić przez okno. Ale nie wyrzucisz.

– Dlaczego?

– Bo jestem jedynym, kto teraz z tobą rozmawia. – Tico wypowiedział to bez złośliwości, z suchym faktem. – I jedynym, kto powie ci, iż możesz zacząć jeszcze raz. Nawet jeśli brzmi to jak tani slogan z ulotki od terapeuty.

Andrzej opuścił głowę.

Poczuł ciężar dnia, swoich lat, swojej samotności, ale też...

Coś nowego.

Cieniutką nitkę.

– Tico? – zapytał cicho.

– Tak?

– Dzięki, że... jesteś.

Robot prychnął elektronicznie.

– Nie przyzwyczajaj się. Jeszcze ci dopieprzę nieraz.

Andrzej uśmiechnął się pierwszy raz tego dnia.

Nie szeroko.

Nie radośnie.

Ale prawdziwie.

– No to dobrze – powiedział. – Wreszcie ktoś w tym mieszkaniu mówi do mnie szczerze.

Tak zakończył się dzień, który miał być zwykłym ciągiem kacowych godzin, a stał się początkiem czegoś, czego jeszcze nie rozumiał.

Może nie nowego życia.

Może tylko pęknięcia w starej skorupie.

Ale czasem pęknięcie wystarczy, żeby

wpadło trochę światła.

Odsłona 8

Krótkie uniesienia i długie upadki

Poranek następnego dnia przyszedł jak zwykle – bez litości, bez wrażliwości, bez najmniejszego zainteresowania tym, że człowiek poprzedniego wieczoru próbował być lepszy. Świat nie ma zwyczaju gratulować małych zwycięstw. On też się tego nie spodziewał. Ale kiedy otworzył oczy i nie poczuł od razu odoru wczorajszego chlewu, coś w nim drgnęło.

Nie było cudownie.

Nie było nawet dobrze.

Ale nie było aż tak paskudnie jak zwykle.

A to już robiło różnicę.

– Wstawaj – odezwał się Tico natychmiast, jakby dyszał mu nad głową przez całą noc. – Mamy robotę.

– A ty, kurwa, kiedy śpisz? – mruknął Andrzej, przecierając oczy tak, jakby próbował wymazać cały świat.

– Nie śpię. Ty śpisz za nas dwóch. Za nas trzech nawet – odpowiedział Tico z pełnym przekonaniem. – A teraz wstawaj. Życie cię nie poczeka.

Andrzej usiadł ciężko na łóżku, patrząc na robota jak na surowego nauczyciela, którego nikt nie prosił o lekcje.

– Czy ty mnie zawsze będziesz budził? – spytał półzartem.

– Tak. – padła szybka odpowiedź. – Dopóki będziesz potrzebował budzenia.

To zdanie było bardziej czułe, niż Tico pewnie chciał.

Andrzej zignorował to, żeby nie wyjść na sentymentalnego debila.

Pierwsze godziny dnia sły mu niezłe.

Sprzątanie, które zaczął wczoraj, kontynuował odruchowo.

Tak, jakby jakaś nowa siła – krucha, nie-

pewna, ale uparta – prowadziła go za rękę. Tico komentował minimalnie, bez zbędnych tyrad, jakby rozumiał, iż teraz nie trzeba go dobijać, tylko trzymać w rytmie.

– O, widzę, że się nie rozpadłeś w nocy – zauważył robot, kiedy Andrzej wynosił kolejną torbę śmieci.

– Jeszcze mam parę procent baterii – odpowiedział Andrzej sarkastycznie.

– Jak jedziesz na rezerwie, to nie cwaniakuj – odparł Tico.

I tak jakoś szło.

Do czasu.

Bo każdy alkoholik ma w sobie mechanizm, który jest jak stara sprężyna – byle impuls, byle zapach, byle wspomnienie potrafi ją zerwać, a wtedy człowiek leci w dół jak kamień.

U Andrzeja tym impulsem był telefon.

Zupełnie zwykły.

Niewinny.

Dzwonił ktoś z pracy, ale „praca” to słowo, które w jego życiu było od lat bardziej żartem niż stanem faktycznym.

Rozmowa była krótka:

„Nie przychodzisz od tygodni, nie odbierasz, musimy kogoś znaleźć na twoje miejsce.”

Ton był uprzejmy, ale rzeczowy.

Nieobecność Andrzeja nie była tragedią. Była jedynie problemem organizacyjnym.

Gdy rozmowa się skończyła, coś w nim zapadło się do środka.

– No i pięknie – mruknął, odkładając telefon. – Nawet nie udaję, iż im zależy.

– A dlaczego miałyby im zależeć? – zapytał Tico. – Sam dawno temu przestałeś na nich liczyć.

– Mogli przynajmniej... – Andrzej zamilkł. – Nie wiem. Powiedzieć inaczej.

– A ty myślałeś, że świat będzie cię głaśniał po głowie, bo masz ciężkie życie? – odparł robot. – Ty nawet siebie nie głaszczesz.

Andrzej poczuł, jak narasta w nim znajomy skurcz.

Ta potrzeba.

To ssanie w żołądku, które udaje emocję, choć jest tylko głodem alkoholu.

Chudy, brudny demon, który w nim mieszkał i zawsze czekał, aż pęknie w nim coś małego, żeby wejść całym sobą.

Pociągnęło go do drzwi.

Do sklepu.

Do tego, co znał najlepiej.

– Gdzie idziesz? – zapytał Tico, chociaż odpowiedź znał.

– Śmieci wyrzucić – odburknął Andrzej, nawet nie próbując brzmieć przekonująco.

– Mhm – robot zamigał. – A śmieci nazywają się teraz *Żubrówka*? Ciekawe nazewnictwo.

Andrzej poczuł wściekłość.

Nie na Tico.

Na siebie.

Bo Tico miał rację.

– Zjeżdżaj – burknął.

– Nie mogę – odparł robot. – Jestem w twoim mieszkaniu. W twojej głowie też trochę.

– Nie jesteś w mojej głowie – syknął Andrzej ostro.

– Oczywiście, że jestem. – Tico mówił jak ktoś, kto nie zamierza kłamać. – Gdybyś nie był taki samotny, taki przerażony, taki nieznośnie pogubiony – nigdy bym się tu nie pojawił.

To była prawda.

Okrutna.

Nieodparta.

Andrzej usiadł nagle na krześle, jakby ktoś go uderzył w kolana.

– Ja... ja nie dam rady – wyszeptał. – Czujesz? Nie dam rady, kurwa. To jest za dużo.

Tico podsunął się bliżej.

– Dasz radę. Ale najpierw musisz przestać kłamać.

– Co mam powiedzieć? – Andrzej podniósł na niego oczy, jak człowiek, który naprawdę nie widzi wyjścia. – Że jestem rozjebany? Że jestem nikim? Że nie mam już żadnych sił? Że jedyne, co mnie trzyma przy życiu, to ten zasrany alkohol?

– Wreszcie – odparł robot. – Słyszę prawdę.

Andrzej zakrył twarz rękami.

Przez długą chwilę nie mówił nic.

Cisza była ciężka, długa, ale potrzebna.

Tico przerwał ją dopiero wtedy, kiedy zobaczył, iż człowiek nie ucieka – że siedzi i oddycha, choć każdy wdech boli.

– Słuchaj – powiedział, tym razem bez kpin. – Upadniesz jeszcze wiele razy. Każdy alkoholik upada. Ale różnica jest taka, iż teraz ktoś ci powie, kiedy przestajesz udawać, a zaczynasz walczyć.

– Kto? Ty? – Andrzej spojrzał na niego mokrymi oczami.

– Ja – odparł Tico. – Chyba, że znajdziesz kogoś mądrzejszego.

– Nie znam takich – wyszeptał Andrzej.

– To przyzwyczaj się do mnie – powiedział robot. – Bo długo tu zostanę.

Andrzej wydał z siebie coś między śmiechem a szlochem.

– Na własne życzenie wlałem w jakieś popieprzone partnerstwo z blaszakiem.

– Nie – poprawił go Tico. – Ty po prostu pierwszy raz od dawna nie jesteś zupełnie sam.

Andrzej poczuł to.

Fizycznie.

Jakby coś lekkiego usiadło mu na ramieniu, niecierpkie, nie tłuste, nie ciężkie – tylko obecne.

Po raz pierwszy od lat nie czuł pustki w mieszkaniu.

Było tam coś jeszcze.

Coś, co mogło stać się początkiem.

Tak kończy się rozdział czwarty.

Nierówno, jak życie.

Bez fajerwerków.

Z pierwszym błyskiem nadziei, który wygląda jak małe żarówka w środku ogromnej ciemności.

Odsłona 9

Pierwszy krok

Ten dzień zaczął się inaczej. Nie lepiej, nie spokojniej – po prostu inaczej. Jakby w powietrzu wisiało coś, co naciskało mu na barki lekką, niewidoczną dłonią i mówiło: „Dobra, stary. Koniec pieprzenia się. Trzeba ruszyć”.

Andrzej obudził się z ciężarem w klatce piersiowej. To nie było to kacowe przyduszenie, które znał aż za dobrze. To był niepokój. Cichy, ostry, cholernie wyraźny. Leżał chwilę, patrząc w sufit, słuchając jak jego własne serce bije nierówno – trochę ze strachu, trochę z nadziei. Nienawidził tego uczucia.

Nadzieja była niebezpieczna.

Z nadziei człowiek później spadał najboleśniej.

– Wstawaj – powiedział Tico z drugiego końca pokoju. – Przeobrażenie już nie potrwa długo.

– Czego? – Andrzej przeciągnął się niechętnie.

– Tego twojego zajebicie romantycznego przekonania, iż możesz zrobić coś

sam. – Robot poruszył głową. – Dzisiaj idziesz do AA.

Słowo „AA” spadło na Andrzeja jak cegła.

Zaskakująco ciężka.

– Ja... nie – wykrztusił, siadając na łóżku.

– Tico, to nie dla mnie.

– To jest dokładnie dla ciebie – odparł robot bez mrugnienia. – Ba, to jest jedyne miejsce, gdzie nie będziesz udawał, że wszystko u ciebie okej. Bo tam, uwaga, uwaga – nikogo nie obchodzi, jaką legendę o sobie opowiesz. Ludzie cię tam przejrzą w dwie minuty.

Andrzej poczuł, jak w gardle robi mu się sucho – i nie było to po wodce.

Tylko jedno było gorsze niż bycie alkoholikiem: bycie alkoholikiem wśród innych alkoholików.

– Ja tam nie pójdę – oznajmił twardo, choć twardość ta była jak dmuchana zabawka: wystarczy szpilka i po wszystkim.

– Owszem, pójdziesz – odparł Tico. – Bo inaczej będziesz tu siedział, gadał ze mną, sprzątał, chlapnął znowu i koniec zabawy. To, co robimy, to tylko wstęp. Potrzebujesz ludzi.

Andrzej prychnął.

– Potrzebuję spokoju.

– To se kup kaktusa – odciął robot. – Ludzie są ci potrzebni jak powietrze. Tylko udajesz, iż nie.

Andrzej wstał, zdenerwowany, ale też jałowy... słabszy. Ta rozmowa go męczyła, a jednocześnie przebijała go na wskroś jak igła.

– A jeśli nie pójdę? – rzucił ostro.

– To ja nie będę z tobą gadał – powiedział Tico.

Cisza po tych słowach była długa i gęsta. Cięższa niż wcześniej.

Andrzej spojrzął na robota.

Miał ochotę go wyśmiać.

Powiedzieć: „I co, mały blaszak, myślisz, że mi zależy na twoim gadaniu?”.

Ale nie powiedział.

Bo zależało.

Zależało mu jak cholera.

– Nie możesz... – wyszeptał. – Tico, no co ty...

– Mogę – przerwał robot. – I zrobię to. Jeśli dziś nie pójdziesz – milczę. Wyłączam się. Tyle.

To był cios.

Powolny.

Cholernie precyzyjny.

Andrzej oparł dłonie na stole, jakby próbował utrzymać równowagę.

– Ja... nie jestem gotowy – powiedział, nie patrząc mu w oczy.

– Nigdy nie będziesz – odparł Tico. – Więc nie pieprz o gotowości. Idź, bo inaczej to wszystko skończy się szybciej, niż myślisz.

Droga na pierwsze spotkanie AA była jedną długą torturą.

Każdy krok ciążył.

Każdy oddech był ostrzejszy niż poprzedni.

Andrzej czuł, jakby szedł na własny pogrzeb.

Budynek był zwykły.

Sala jak każda sala: plastikowe krzesła, termos z herbatą, ludzie z twarzami, które znał, choć widział je pierwszy raz w życiu.

Twarzami połamanych.

Kiedy usiadł, serce zabiło mu tak mocno, że aż zakłuło.

Nie wiedział, co powiedzieć.

Nie wiedział nawet, jak siedzieć.

Czuł się jak intruz, który próbował się wpaśować w przestrzeń, gdzie wszyscy mieli swoje miejsce, a on nie miał nic.

W końcu przyszedł jego kolej.
Wstał powoli, jakby miał cement zamiast kości.
– Jestem... – zaciął się.
Słowa ugrzęzły w gardle.
Zawisły na krawędzi.
– Jestem Andrzej – wydusił w końcu. – I... no. Mam... problem.
Od razu poczuł, że to za mało.
Że to nie to.
Że to tanie.
Ale ludzie nie parsknęli.
Nie odwrócili wzroku.
Nie ocenili.
Kiwnęli głowami.
Jakby go znali.
Jakby każdy z nich kiedyś stał dokładnie w tym punkcie.
To kiwnięcie go zmiękczyło.
Tak bardzo, że kiedy usiadł, poczuł łzy pod powiekami.
Nie spadły.
Jeszcze nie.
Po spotkaniu wyszedł jak człowiek, który dotknął swojego dna palcem i poczuł, iż to dno jest, o dziwo, bardziej miękkie, niż sądził.
Wracając, miał jedną myśl: powiedzieć o tym Tico.
Kiedy otworzył drzwi, robot siedział na stole nieruchomo.
Czekał.
– No? – zapytał.
Andrzej odetchnął ciężko, siadając na przeciwko.
– Byłem – powiedział. – Zrobiłem to.
Tico mrugnął diodą.
Raz.
Powoli.
– Wiem.
– Skąd...?
– Bo inaczej nie byłoby cię tu teraz – po-

wiedział robot. – A ty wróciłeś. I wróciłeś inny.
Andrzej uśmiechnął się słabo.
Zmęczony.
Ale szczerze.
– Tico... dziękuję.
Robot przekrzywił głowę.
– Nie dziękuj. To dopiero pierwszy krok. Teraz zaczyna się zabawa.
– To nie będzie zabawne – mruknął Andrzej.
– Wiem – odparł Tico. – Ale będę obok. Po raz pierwszy w życiu Andrzej poczuł coś, czego nie potrafił nazwać.
Nie nadzieję.
Nie ulgę.
Nie wiarę.
Coś prostrzego.
Że nie jest sam.

Odsłona 10

Droga trzeźwienia

Pierwsze dni bez alkoholu nie miały w sobie nic duchowego, nic wielkiego, nic z tych historii, które ludzie lubią opowiadać po latach, kiedy już wyjdą na prostą i mogą udawać bohaterów.
Dla Andrzeja to była wojna.
Cicha, brudna, bez medali i bez świadków.
Nocą budził się cały spocony, jakby ktoś polał go zimną wodą i zostawił w przeciągu. Ręce drżały mu tak mocno, że czasem nie potrafił utrzymać kubka z herbatą. Myśli skakały jak osy, zamknięte w puszcze. Raz w jedną stronę, raz w drugą, cały czas szukając dziury, przez którą mogłyby uciec w stary świat, w świat, gdzie wódka była jedyną odpowiedzią.
Tico obserwował go w milczeniu.
Nie drwił.
Nie piłował.

Nie pocieszał.

Był jak stare lustro – nie kłamie i nie komentuje, tylko odbija prawdę.

A prawda była taka, iż każdy dzień był walką o przetrwanie.

Pierwszy ranek po AA był najgorszy.

Andrzej siedział przy stole, z kubkiem gorzkiej herbaty, której nie znosił, patrząc jak para unosi się z naczynia i rozmywa jego odbicie. Zimowy półmrok w mieszkaniu sprawiał, że czuł się jak w jakiejś dziurze czasowej – ani noc, ani dzień, ani człowiek, ani wrak.

– Jak się czujesz? – zapytał Tico tonem neutralnym, jakby pytał o temperaturę powietrza.

– Jakbym przejechał pod tramwajem i wygrał – mruknął Andrzej. – Wiesz... że żyję. Ale trochę żałuję.

– To normalne – odparł robot. – To jest twoje ciało, mówiące: „Oddaj mi truciznę, bo tak się do niej przyzwyczaiłem, iż bez niej wariuję”. To nie jest głód. To uzależnienie. Różnica fundamentalna.

Andrzej spojrział na niego spode łba.

– Ty jesteś coraz mądrzejszy, wiesz?

– Nie – poprawił go Tico. – To ty jesteś coraz bardziej trzeźwy.

To zdanie go zatrzymało.

Jak ręka położona na ramieniu, ale taka, którą czuje się bardziej wewnątrz niż na skórze. Drugi dzień był jeszcze gorszy.

To wtedy pojawił się lęk.

Taki prawdziwy, zwierzęcy lęk, który podchodzi pod gardło i trzyma człowieka w szafie w środku własnej głowy.

Andrzej nie wiedział, czego się boi.

Świata?

Samego siebie?

Przyszłości?

Czy tego, że już nigdy nie będzie miał pretekstu, żeby pić?

– Wdech – powiedział Tico. – Wydech.

I tak bez przerwy.

– Wyobraź sobie, iż jestem głupim zegarem, którego musisz słuchać, żeby nie oszaleć.

Andrzej siedział na krześle w pozycji pół-skurczonej, łapiąc powietrze.

– Ja nie dam rady – wyszeptał. – Tico, ja naprawdę... nie dam rady.

Robot odpowiedział spokojnie:

– Dajesz. Właśnie teraz.

– To wygląda jak konanie.

– To wygląda jak życie, które wraca. Zawsze boli.

Andrzej oparł czoło na stole i przez chwilę nie ruszał się w ogóle.

A potem, nie wiedząc czemu, powiedział:

– Brakuje mi tego... tej ciszy po pierwszym kieliszku.

Wiesz?

Tego momentu, kiedy wszystko się uspokaja i przez chwilę nie muszę być sobą.

Tico zamilkł na sekundę.

– Wiem – odparł w końcu. – Ale ta cisza była fałszywa. To jak koc rzucony na gówno. Nie usuwa zapachu, tylko go przykrywa.

Andrzej parsknął śmiechem.

Ostre porównanie.

Prawdziwe.

Zupełnie w stylu Tico. Trzeci dzień przyniósł wściekłość.

Bez powodu, bez logiki, bez celu.

Wszystko go drażniło: ściany, cisza, kubek, własne ręce, a najbardziej to, że robot patrzył na niego w milczeniu.

W końcu nie wytrzymał.

– A ty co tak się gapisz, co?! – wrzasnął, uderzając pięścią w stół.

Tico nie drgnął.

– Obserwuję postępy. Widać, iż wraca ci energia. Szkoda, że akurat ta najbardziej

destrukcyjna, ale cóż... biologia.

– Ty pierdolony blaszaku! – ryknął Andrzej.

– Tak – zgodził się Tico. – I przynajmniej jeden z nas się z tym pogodził.

Andrzej zatrzymał się.

Wściekłość nie opadła, ale straciła kierunek.

Po raz pierwszy pomyślał, iż może ta złość nie jest na robota. Tylko na niego samego.

Usiadł.

Oddychał ciężko.

Tico nic nie mówił przez parę minut.

Potem dodał:

– Wiesz, co jest najtrudniejsze?

Że alkohol zabiera ludziom wstyd, a trzeźwienie go oddaje. I to boli bardziej niż kaca. Z wstydu człowiek chce uciec. Najlepiej znaną drogą.

– Do butelki – odpowiedział Andrzej cicho.

– Właśnie – potwierdził Tico. Czwar-ty dzień przyniósł coś nowego. Coś, czego Andrzej nie spodziewał się w ogóle.

Światło.

Nie symboliczne, nie metaforyczne.

Zwykłe.

Rozsunął rano zasłony i pierwszy raz od lat zobaczył, iż słońce naprawdę wchodzi mu do pokoju, a nie tylko odbija się od brudnej szyby.

– Kurwa... – szepnął. – Zapomniałem, że to mieszkanie ma okno.

Tico uniósł głowę.

– A ja myślałem, iż zapomniałeś, że masz oczy.

Andrzej usiadł na parapecie, patrząc na ulicę.

Na ludzi.

Na zimę.

Na ruch świata, który nie czekał, aż on dokończy swoje upadki.

I po raz pierwszy nie poczuł zazdrości.

Poczuł... możliwość.

– Wiesz co? – powiedział w końcu. – Jestem... trochę inny dziś.

– To trzeźwość – wyjaśnił Tico. – Ona przychodzi małymi porcjami, nie jak objawienie. Jest jak światło. Nie wali po oczach. Najpierw robi kontury.

Andrzej pokiwał głową.

– Tico...

– Tak?

– Dzięki.

– Nie dziękuj – mruknął robot. – Będziesz mi jeszcze dzisiaj kazał spierdalać ze cztery razy.

I rzeczywiście – tak było.

Ale gdzieś pomiędzy „spierdalać”, „daj mi spokój” i „nie mów tak do mnie”, Andrzej złapał się na tym, że zaczyna widzieć siebie inaczej.

Nie jak wrak.

Nie jak śmiecia.

Nie jak kogoś, kto się skończył.

Ale jak kogoś, kto może zacząć.

Kogoś, kto przebija się przez mgłę.

Kogoś, kto wciąż się boi, ale już nie tak beznadziejnie jak wcześniej.

Tico nie musiał tego mówić.

Wystarczyło, że był.

Tak kończyły się pierwsze dni jego trzeźwienia.

Chaotyczne, gwałtowne, surowe.

Ale żywe.

Po raz pierwszy – żywe.

Odsłona 11

Zniknięcie

To przyszło nie jak burza, nie jak trzęsienie ziemi, nie jak dramat. Przyszło jak zwykły dzień.

Największe zmiany zawsze przycho-
dzą zwyczajnie, tak, iż człowiek nawet
nie zauważa momentu, w którym świat
przestawił mu się o pół centymetra – do-
piero później odkrywa, że wszystko jest
już trochę inne, a powrotu nie ma. An-
drzej obudził się spokojniej niż zwykle.
Nie idealnie, nie świeżo, nie jak boha-
ter reklamowego ranka – ale spokojniej.
Bez drżenia rąk.
Bez ciężkiego kamienia w klatce.
Bez tej natychmiastowej potrzeby zapo-
mnienia o sobie.
Po prostu wstał.
Normalnie.
Jak człowiek, a nie jak cień.
Zrobił sobie herbaty.
Umył twarz.
Uśmiechnął się – lekko, krzywo, trochę
nieporadnie, jak ktoś, kto robi to pierw-
szy raz od dawna.
Spojrzał na stół.
Tico siedział tam zawsze. Zawsze.
Dzisiaj – nie.
Andrzej zmarszczył brwi.
– Ej, Tico – zawołał półgłosem. – Gdzie
ty polazłeś, co?
Cisza.
Cisza w mieszkaniu była zupełnie inna
niż dotychczas.
Nie ta samotna, ściskająca gardło.
Nie ta pijacka, lepka od wstydu.
To była cisza... czysta.
Nowa.
Niepokojąca.
– Tico? – zawołał głośniejszym głosem,
zaglądając pod stół, jakby robot mógł nagle spaść
i leżeć jak popsuta latarka.
Brak.
Przeszedł do kuchni.
Nic.
Do łazienki.

Nic.
Do pokoju.
Nic.
Czuł, jak rośnie mu w brzuchu coś, czego
nie znał – nie lęk, nie złość, nie kacowe
delirium.
Coś bardziej... kruchego.
– Dobra... – szepnął do siebie. – Nie pa-
nikuj. Może upadł, może się przewrócił,
może... może...
Przeszukał całe mieszkanie.
Szufłady.
Półki.
Nawet za zasłoną.
Śmieszne.
Głupie.
Desperackie.
Robota nie było.
Andrzej w końcu usiadł ciężko na łóżku.
Oddychał szybciej niż powinien.
Czuł w sobie taki rodzaj samotności,
którego nie czuł nawet w najgorszych
ciągach.
Bo tamta samotność była od alkoholu.
A ta – od trzeźwości.
– Tico... – wyszeptał. – Nie rób mi tego.
Chciał się roześmiać, bo przecież to ab-
surd – błagać małego blaszanego kolesia
o obecność.
Ale nie potrafił.
Gardło zasznurowało się, jak za mocno
ściśnięta torba.
I wtedy – pierwszy raz od dawna – spoj-
rzał w lustro.
Twarze w lustrze są najokrutniejszymi
gośćmi.
Odbijają człowieka takim, jakim jest, nie
takim, jakim chciałby się widzieć.
Patrzył długo.
Zbyt długo.
Twarz miał zmęczoną, ale żywą.
Oczy – mniej mętne.

Skóra – trochę jaśniejsza.
Jakby ktoś powoli wykręcał ze środka truciznę.
Patrzył na siebie tak długo, że poczuł coś, czego nie czuł od lat – świadomość.
I dopiero wtedy to do niego dotarło.
Nie gwałtownie.
Nie jak grom.
Nie jak objawienie.
Powoli.
Jakby w mózgu zapaliła się bardzo mała, bardzo cicha żarówka.
Tico nie zniknął.
Tico nie uciekł.
Tico nie wyłączył się.
Tico nigdy nie istniał.
Andrzej poczuł, jak w żołądku robi mu się pustka, tak nagle, iż prawie go odgięło.
– Nie... – wyszeptał. – Nie... nie pierdol... nie...
Ale prawda była nieubłagana jak śnieg, topniejący na wiosnę.
Tico był wszystkim, czego potrzebował – wtedy, tam, w tych najciemniejszych dniach.
Głosem sumienia.
Głosem trzeźwości.
Głosem, który wyrzucił z siebie pod wpływem alkoholu – bo jego własny głos był zbyt słaby, zbyt przerażony, zbyt zniszczony.
Tico był nim.
Częścią, którą stłumił.
Częścią, która musiała przyjść jako halucynacja, żeby uratować mu życie.
Częścią, która teraz – gdy jego mózg zaczynał wracać do ładu – przestała być potrzebna.
Nie miał ataku paniki.
Nie miał krzyku.
Nie miał dramatycznego załamania.
Siedział tylko.

Wiatr ze świata uderzył go przez uchylone okno, jakby chciał potwierdzić: „Tak, stary. Jesteś teraz sam”.
Sam.
Wreszcie naprawdę sam.
– Tico... – powiedział jeszcze raz, miękko, jak człowiek, który stracił przyjaciela.
– Dzięki. Kurwa... dzięki.
Lustro odpowiedziało mu tylko jego własnym odbiciem.
I było to najtrudniejsze odbicie, jakie miał zobaczyć. Następne godziny przeszedł jak we mgle.
Nie płakał.
Nie pił.
Nie krzyczał.
Chodził po mieszkaniu, które było już, o dziwo, czystsze i jaśniejsze niż kiedykolwiek.
Siadał na łóżku.
Wstawał.
Podchodził do stołu, gdzie Tico zwykle siedział.
Kładł tam rękę.
Dotykał pustki.
Jakby dotykał grobu.
– Było mi z tobą lepiej – powiedział do tej pustki. – Może lepiej, niż powinno.
A potem, po raz pierwszy w dorosłym życiu, zadał sobie pytanie: „Czy ja to wszystko dam radę zrobić sam?”
Odpowiedź nie przychodziła łatwo.
Ale nie była też jednoznacznie zła.
Bo w tej pustce była też przestrzeń.
Miejsce.
Coś jak... cichy pokój w głowie, który dopiero zaczyna się urządzać.
Tak kończył się rozdział siódmy.
Cicho.
Boleśnie.
Prawdziwie.

Rozdział 8. Ostatni wybór

Nie ma w życiu tego jednego wielkiego momentu, który zmienia wszystko. Nie ma fanfar, nie ma światła z nieba, nie ma cudownego objawienia.

Są tylko chwile – małe, skromne, czasem wręcz żalosne – w których człowiek stoi przed sobą nagi jak prawda.

I musi zdecydować.

Tak właśnie wyglądał poranek Andrzeja.

Nie było Tico.

Nie było głosu, który go prowadził.

Nie było tego metalicznego, sarkastycznego przewodnika, który wyrzucał mu rzeczy, o jakich inni milczeli.

Była za to cisza.

Prawdziwa.

Twarda.

Ciężka jak mokry koc.

Andrzej siedział przy stole. Na blacie stał kubek z herbatą, która dawno wystygła.

W rękach miał twarz – jakby próbował ją wypchnąć, uformować, zmusić do zmiany. Przez długi czas nie robił nic więcej.

A potem spojrział na drzwi.

Te drzwi, które prowadziły na klatkę schodową.

Na ulicę.

I – kilka kroków dalej – w stronę sklepu monopolowego.

I wtedy poczuł najokrutniejszą prawdę:

On wiedział, że jeden krok w bok wystarczy, żeby wrócić do alkoholu.

Wiedział, jak łatwo może odrzucić całą tę trzeźwość, te dni walki, tę małą zmianę.

Wiedział, iż wystarczy sięgnąć po butelkę, a Tico wróci.

Może nie dosłownie.

Może nie jako robot.

Ale wróci to wszystko, co w sobie zagłuszał – głos, który mówił, jak żyć, co robić, co chować, czego nie czuć.

Wystarczyłby łyk.

Jeden.

Andrzej poczuł, jak przechodzą go dreszcze.

– No... – wyszeptał. – To pięknie, kurwa. Zostałem sam ze wszystkim.

Chciał się roześmiać, ale śmiech nie wyszedł.

Wyszedł tylko suchy, słaby oddech.

Wstał.

Powoli.

Bardzo powoli.

Jak człowiek, który odczuwa na własnych plecach ciężar całego życia.

Zapiął kurtkę.

Zgasił światło – bez potrz

by, po prostu z przyzwyczajenia.

I wyszedł z mieszkania.

Klatka schodowa była zimna.

Włosy na przedramionach stanęły mu dęba. Schodził krok za krokiem, jak ktoś, kto idzie na własną egzekucję.

Na dole poczuł zapach ulicy – ten, który zawsze go uspokajał, gdy szedł po wódkę.

Jakby miasto mówiło:

„Wracaj. Znam cię. Bądź mój.”

Stanął na chodniku.

Monopolowy był po prawej.

Blisko.

Za blisko.

Dwa sklepy dalej neon migotał i mrugał mu do głowy w tym starym, fałszywym rytmie nadziei.

Lewo – nie prowadziło do niczego konkretnego.

Tylko zwykła ulica.

Zimne powietrze.

Szare budynki.

Codziennosc.

Prawa strona – dobrze znana.

Butelka.

Zapomnienie.

Ulga.

Koniec napięcia.

Koniec luzowania tego nowego, niewygodnego życia.

Andrzej stał jak wbity.

W głowie miał tylko jedną myśl:

Jeśli wypiję – wróci Tico.

W jakiejś formie.

Jako głos.

Jako cień.

Jako halucynacja.

Jako wszystko to, co dawało mu siłę, gdy był najgorszym sobą.

A potem druga myśl, bardziej brutalna, bardziej naga:

Jeśli nie wypiję – będę musiał być sam.

I to było najstraszniejsze.

Bardziej niż samotność.

Bardziej niż trzeźwość.

Bardziej niż kac.

Być dla siebie zbawieniem.

Być dla siebie sumieniem.

Być własnym przewodnikiem.

A on przecież całe życie robił wszystko, żeby nie być sobą ani chwili dłużej, niż musiał. Przeszedł kilka kroków w stronę sklepu.

Buty odbijały się

o chodnik ostrym, równym rytmem – takim, który znał aż za dobrze.

Rytmem upadku.

Zatrzymał się przed witryną.

Zamgloną, zużytą, z plakatem promocyjnej wódki 0,7.

Patrzył na nią jak na starego przyjaciela.

Takiego, którego nienawidzisz, ale którego brak boli najbardziej.

W jego głowie przetoczył się głos Tico – nie prawdziwy, tylko wspomnienie:

„Jeśli chcesz mnie odzyskać, musisz wrócić do picia. Ale wtedy już ci nie pomogę. Będę tylko echem.”

Andrzej spojrział w prawo, w stronę drogi powrotnej do domu i znowu na witrynę sklepu.

Zamknął oczy.

Oddychał wolno.

Ciężko.

Czuł potężny ucisk w gardle.

Wzbierała w nim złość i żal, do siebie, do świata.

Do losu, który go tak szyderczo potraktował.

Otworzył oczy.

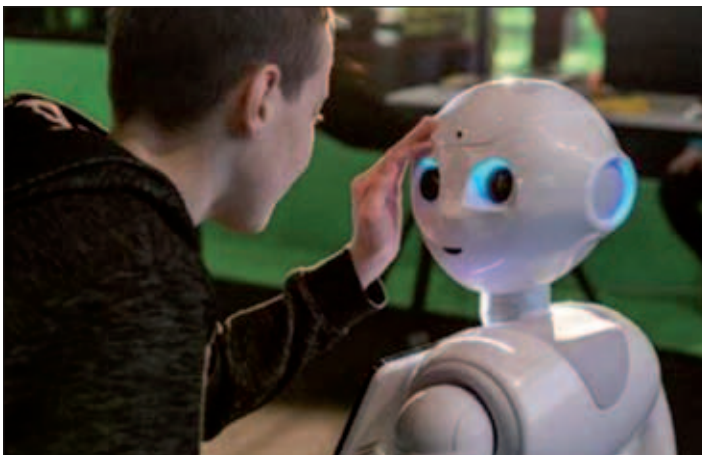
Zrobił krok.

Z napiętymi ramionami.

Z ciężarem w brzuchu.

Z ciszą, która bolała.

Krok, jaki wszystko zmienił.



Alfred Kohn

x x x

wiem wiem
teraz żyje mi się
piękniej
łatwiej
bogaciej

ale
dałbym wiele
by wrócić
do dzieciństwa

gdy
pajda mokrego chleba
posypanego cukrem
zapach świeżej słomy w sienniku
zabawy w berka i chowanego
ciepło matczynej dłoni
i życzliwe spojrzenia ludzi

wystarczyły by być szczęśliwym

x x x

a jeśli tam
– po drugiej stronie nicości
nikt na mnie
nie czeka
coraz
więcej pytań
coraz mniej
odpowiedzi
błądzą
po manowcach
wiary
i filozofii

Mojemu miastu na pożegnanie

mój cień
zostawiony nad Orzycem
dalej śpi w szuwarach

może ktoś kiedyś
obudzi go przypadkiem

pójdzie w miasto
z moimi wierszami

opowie moją historię

jestem dumny i hardy
nie ulegam schematom
unikam fałszywych proroków
i klakierów
mówiących jedno
robiących drugie

na białe mówię białe
na czarne – czarne

jestem
człowiekiem o jednej twarzy

nie proszę o litość
tylko o zrozumienie moich słów
prostych
jak bicie matczynego serca
ciężkich
jak spracowane ręce ojca

miasto zostawiam daleko
ale
wierzę
że przyjdzie taki dzień
kiedy wrócę do niego
– choćby wierszami

x x x

myślałem
zakończę wędrówkę
na ziemi makowskiej
tej dobrej i tej złej
ale własnej
swojskiej
rodzicielskiej

ojcze
matko

nie Maków
Sztum
Tarczyn

przede mną
dalsza podróż
do wymarzonej Itaki

x x x

idę drogą
do kolejnej góry niepewności
kolejnej rzeki nadziei

na plecach dźwigam ciężki bagaż wspomnień
znad Tarczynki –
tych dobrych i tych złych

czy ktoś
poda mi rękę
zbierze słowa
które rozrzucę
na nowej ziemi

x x x

zgasilem światło
zamknąłem drzwi
kluczem wspomnień

ostatnie kroki na schodach
ostatnie spojrzenie na ukochaną wierzbę
ostatnie westchnienie
na przybłokowej ławce

w zadumie pochylałam głowę
i odchodzę
bez fanfar
bez fajerwerków
to by było na tyle...

żegnajcie
rzeko Tarczynko
jabłuszko z Rynku
i ty
święty Mikołaju
z gotyckiego kościoła

idę w nieznanne
z cieniem Tarczyna
zapisanym w sercu

gdzieś tam
czeka nowe drzewo
nowa ławka
i ktoś
kto mówi
dobrze
że jesteś

Skarżysko-Kamienna 2025

Tarczyn – 2025

xxx

moje dzieciństwo
to zapach chleba
z piekarni Dobrzyńskich

smak
mleka od krów pani Łojek
i lodów od Krukowskiej

wyścigi na kapsle
wojna w załogę „Rudego – 102”
(każdy marzył by zostać Jankiem Kossem)
podwórkowy palant
i mecze w piłkę kopaną

moje dzieciństwo
to zabawy w chowanego na strychu

najlepszą kryjówką
były trumny robione przez mojego
chrzestnego
– Jana Wolskiego

moje dzieciństwo
to sąsiedzkie rozmowy na schodkach
przed domem

jak echo powracały w nich wspomnienia
o wojnie
których wtedy nie rozumiałem

przez mgłę
widzę na podwórku
dziada ze starzyzną
donośnie wołającego
„szm-aaaty skupuję, szm-aaaty!”

a innym razem
chłop
o wysuszonej twarzy

zaciągający się „Sportem”
ostrzył noże i nożyczki

dźwięk
młotka walącego
w blachę na wózku z kołowrotkiem
kamienia szlifierskiego
mam do dzisiaj w uszach

po domach chodzili domokrądcy
sprzedający kiczowate obrazy Świętej
Rodziny
przyjmujący zamówienia na monidła

w środę
nawet za cenę wagarów
chodziłem na jarmark
gdzie można było kupić mydło
i powidło
posłuchać pocztówkowych szlagierów
Szczepanika i Laskowskiego
odtworzanych z „Bambino”

matka kupowała mięso
w Taniej Jatce pani Ciak
z którego robiła najlepszy na świecie
smalec z cebulą

w drodze do domu
zaglądałem do kuźni Otłowskiego
podkute konie rżały ze szczęścia
a ich właściciele opijali
jarmarczne interesy

na Rynku przy fontannie
cyganki za „co łaska”
wróżyły przyszłość z kart
niejeden ciekawski
wrócił do domu
goły i wesoły

moje dzieciństwo

to ciepło dłoni
Matki
które chroniło mnie przed złem

spoglądam na córkę
wpatrzoną w nowego smartfona
jak w obrazek
surfującą w sieci

i nawet nie próbuję
jej przekonać
że dzieciństwo
miało kiedyś lepszy posmak



Karl Grenzler

Kwakrów

podgórzem wawla srogiego
odleci legły

do zarąbisk przyleżany
odlecistu

na śródryjku tuchnice
poprzerzają

mickieja busa nawiekutna
mudana

stosawejta ofiarostos
złotopiętrzeje

w zewierzynku smaszno
pachnieje

szczurojamnice jażowo
dźwiękują

kadroszki koniskie
nazwołanie

łąbie muchrami
frywają

ryntusz jasnokrasno
wniebieje

tuw jelońskim stecie
żakici pałują

książkownica jelońska
pisanowskioma

chochlikowa ujama

florkalisko

mudo podrzynka
na prostku

spiżozygi gromie
dostoi

wośrodkowe palanty
zielnieją

czywieszczyleja długojak
węży

branki bochromy
onduwalone

ściuszka wykopiec
wszechwidny

o otchłannie posiadły
kwakrowie

Kwakrowa romanca

na ściuszkowym wykopcu
wzajemno było
a rozkoszyce
przyustnie cimały
lubaniem duchały

tudzie łomiść
kwiejowija zdomieła
wanderują podrącze
gapią comija

do śniego gniazdowija
wymatosić srażno

nagało nowoinnie
na opiniodukcie

poleja dałamu
sromonieta

botu reklamiał
rytona wosem

ubyła tamosia z
jawielycm żupacem
kuśmielszym jutasem

z kolajnika stał satyr
wałubą piększony

na wiankrakę
rolapsa przygiął

i tako bezwzajemno
a rozkoszyc nijak
na ściuszgowym wykopcu

wczoraj na
wydajniku piętrzeje
a
jazzujący wszystkimi
fazami księżyc
świeci przez
szczeble różowej
drabiny w poprzek
która zakrzywia się
w nieskończoność
podwójną helisą z
tendencją
in spe
w lewo

Różowa drabina w poprzek

Aresowi Chadzinikolau

skręt aktywizatora
w lewo
dorowadził
skądinał
per se
do różowej drabiny
w poprzek
prowadzącej
donikąd
skąd już krok do
jentyka jedynego
którego
popzednik
wydęty do

Bartłomiej Henryk Toszek

Sąd pracy

Przed sądem stał robotnik. Mała, szara, skulona figurka drząc chyliła się pod karcącym spojrzeniem składu orzekającego. Surowe oczy prokuratora także świdrowały jej postać. Z tyłu, poza częścią, na której toczyła się właściwa rozprawa, znajdowały się ławy, po brzegi wypełnione robotnikami, kolegami oskarżonego. Sala z każdą chwilą robiła się ciasniejsza. Wciąż bowiem napływały kolejne grupy gapiów, którzy potęgowali ścisk w części dla publiczności.

Przewodniczący sądu powstał. Zaległa cisza, w której słychać było tylko głos czytającego wyrok:

– Wojciechu W.! Zostałeś uznany za winnego zarzucanych ci czynów...

Atmosfera zgęstniała. Ręce robotników zacisnęły się na barierce oddzielającej dwie części sali sądowej. Twarze pod beretami stawały się coraz bardziej czerwone z gniewu. Nienawistne spojrzenia kierowały się w stronę oskarżonego. Ten zaś kulił się i chował coraz bardziej w sobie. Sędzia czytał dalej:

– ...to jest kradzieży i przywłaszczenia mienia, należącego do wszystkich pracowników. Dlatego w oparciu o artykuł 2034 kodeksu pracy, sąd niniejszy wyznacza ci karę...

Tyły sali opanowywało coraz większe wrzenie. Robotnicy, dotychczas z trudem hamujący swój gniew, teraz dali upust swoim uczuciom, przerywając odczytywanie wyroku i wołając:

– Ukrzyżuj go! Ukrzyżuj!

Ćwiczenia

Młody dmuchał pompkę za pompką. W hełmie, z całym, regulaminowym ekwipunkiem musiało mu być cholernie gorąco. Siedzieliśmy sobie obok – Paprocki, Muśniak i ja, pogadując od niechcenia w jego stronę. Czerwone słońko miło grzało nas w twarze, a lekki wiaterek schładzał je natychmiast. Było bardzo miło, taki leniwy wieczór na koniec spokojnego dnia. Paprocki wolno zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko. Nie patrząc na szeregowca, rzucił:

– Szybciej...

Szarak przyspieszył tempo, ale widać było, że długo już nie pociągnie.

– Ruszaj się! – zawołał zachęcająco Muśniak.

– No, raz-dwa, raz-dwa! – dorzuciłem, by zmotywować go do włożenia serca w tę rozrywkę.

I tak miło płynął czas. Gawędziliśmy o tym i o owym, ale głównie – jak to kiedyś było fajnie, a teraz źle, gdy nagle zza kantyny wypadł szef kompanii i opieprzył nas za znęcanie się nad kotami. Szaraka odesłał, a nam – staremu wojsku! – kazał wskoczyć w hełmy i plecaki, a potem zasuwać na plac ćwiczeń. Męczył nas przez jakiś czas, a potem przyniósł sobie krzeselko i usiadł na środku placu. I tak, z daleka obserwował nasze wysiłki.

Przez chwile słyszałem tylko oddechy moich kolegów i mój. Wreszcie, po chwili Paprocki rzucił:

– Skurwysyn...

Słońce powoli chowało się za horyzontem.

Rezerwiści... prawie

Siedzieliśmy sobie w kantine – Paprocki, Muśniak i ja, sącząc zimny sok ze spirytusem z domowych zapasów szefa kuchni. Deszcz cicho dzwonił w szyby i bębnił o parapety.

– Eee, tak w ogóle, to wszystko gówno – oświadczył nagle Paprocki.

– Taa... – zgodził się Muśniak.

– Noo... – potwierdziłem.

– Syf i jeszcze raz syf – kontynuował Paprocki.

– Kana! – sprostował energicznie Muśniak.

– Kibel – dodałem od siebie.

– No, dobra – stwierdził Paprocki, z hałasem odsuwając swoje krzesło – pora ruszać, chłopaki!

– Co? Już? – zdziwiłem się. – Serio? – zaniepokoił się Muśniak.

– Róbcie, co chcecie, ja idę – usłyszeliśmy i już po chwili rzeczywiście zostaliśmy we dwóch.

– Dobra, dobra! – zawołał pojednawczo Muśniak – my też idziemy!

Szybko dopiliśmy nasze napoje i ruszyliśmy za Paprockim. Ostatecznie to przecieć wojsko, a w wojsku – jak pora spać, to spać. Bez gadania.

Złudzenie

W mieszkaniu było ciemno. Światła pogaszono, ale i tak zauważyła odbłysek dwóch szkieł, umieszczonych obok siebie. Była pewna, że obserwuje jej pokój, bo pozycja odbłasków zawsze była taka sama.

– Mój Boże – pomyślała któryś raz z rzędu – gdyby nie był taki nieśmiały...

Już nieraz wyobrażała go sobie, obserwując osoby wychodzące z jego klatki schodowej. Nieraz urządzała mu *show*, rozbierając się do naga. Miała wtedy nadzieję, że podnieca go i prowokuje. Odrobina pożądania w jej bardzo szarym życiu. I bardzo dużo tęsknoty za kimś bliskim... A ten na pewno był młody i przystojny. Och, wiedziała, jak bardzo sobie pochlebia, wyobrażając nie wiadomo co, ale chociaż przez chwilę czuła się chcianą. Doszło do tego, że czekała na te wieczory, by móc znowu czuć jego spojrzenie pieszczące jej ciało. Tak dużo, tak bardzo dużo zależało od tego – jej pewność siebie, jej poczucie kobiecości...

Może to i lepiej, iż go nie zna, chociaż z drugiej strony... Tak pragnęła czuć czyjeś usta i ręce. Kochać i być kochaną.

Tak bardzo chciała go spotkać...

Tak bardzo...

Tak...

W pustym mieszkaniu po drugiej stronie ulicy światło księżycy odbijało się w dwóch słoikach, stojących na parapecie.

Szpaki

Antoni zastygł przed oknem w postawie wyrażającej przerażenie. Szklanka wysunęła mu się z dłoni i rozprysnęła na podłodze. Słodki, ciemny płyn spływał gęstymi kroplami po jego ubraniu, ale on nawet nie zwrócił na to uwagi. Jego twarz stężała w napięciu, a w oczach malował się wyraz niedowierzania i strachu. Słońce wyraźnie oświetlało widok, który tak go przeraził. Trzy szpaki siedziały na trawniku, zrywając owoce z jego drzewek. Co prawda, nieraz już się zdarzało, że szpaki łakomiły się na jego gruszki,

wiśnie lub czereśnie, jednak jeszcze nigdy ptaki nie były takie ogromne i nie pochłaniały tak wielkich ilości owoców. W niemym zdumieniu obserwował ich szare, sztywne od kurzu wielomilowych podróży pióra, ich potężne dzioby, pazury i – najbardziej przerażające – oczy. Wszystko było wręcz monstualne. Do tego stopnia, iż nagle do świadomości Antoniego zaczęło wdzierać się przekonanie, że to co widzi, po prostu nie może być prawdziwe, mimo wszystkich pozorów realności. Tego samego zdania musiała być również pani Malinowska, sąsiadka, która wyszła przed swój domek, próbując miotłą odgonić ptaki. Antoni

obserwował tę scenę, która toczyła się jak gdyby w zwolnionym tempie przedwojennego filmu. Dziób jednego z ptaków zwrócił się w stronę zbliżającej się kobiety. Czarnych oczu ani na chwilę nie ożywiły emocje strachu, gniewu, lub irytacji. Szpak zamarł w oczekiwaniu, a po chwili jego dziób rozchylił się i w całym ogrodzie rozległ się jego potworny krzyk. Antoni zamknął oczy. Kiedy ponownie je otworzył, ptak miażdżył w swoim dziobie kruchą postać pani Malinowskiej.



Leokadia Komaiszko

KAZACHSTAŃCY W HAMBURGU

Śnią Kazachstan. Śnią stepy. Śnią zimno. I konie o sierści
zjeżonej. I płaskość przestrzeni po kres horyzontów.
Robotę ciężką, co zamiast wyzwalać – zniewala. Wykrzywia
plecy i duszę dławi. Śnią starą modlitwę, co moc dawała.

Budzą się w ciepłym wieżowcu. Za oknami widzą okna. Geometryczne skrawki zie-
leni. Ścięte po korzeń, posłuszne.

I oni w ułożonej linii wstają, biorą prysznic, jedzą śniadanie, idą na spacer.
Między wieżowce. Świerki i brzozy. I... odartych z rodziny ludzi.

Wciskają swe dusze w ramy. Za wygody dziękują. Wybrańcy losu.
Lecz wiatr czują – ciągle obcy. I myślą: – Kazachstan. Tam rozwalają
domy. Tam brak ogrzewania. Tam z niedożywienia się puchnie.
Tam... dzieci nasze! – I przeklinają cywilizację, którą poznali.

Hamburg 2001

Świat, do którego nie powrócimy

Świat, do którego nie powrócimy...
Zardzewiałym poskrzypuje skrzydłem.
I coraz śmielsze białe wrony, gawrony,
kruki. Śnieżny gołąb między szarymi grucha.
Tym, co człowiek na pniu im położył, się podziela.

Ref.: Jeśli ciemnością być nie chcesz...
Jeśli nie chcesz bywać ciemnością...
Ciemnością jeśli być – nie chcesz!

Świat, do którego nie powrócimy...
Z nastroszonym zaiwania włosem.
Bądź nam jowialna, wichuro w rozkazach.
Częścią życia razem jesteśmy! Psocić to
nie kreować. Rycerskości sztuka już nas wygląda.

Ref.: Jeśli ciemnością być nie chcesz...
Ciemnością jeśli być – nie chcesz,
Jeśli nie chcesz bywać ciemnością...

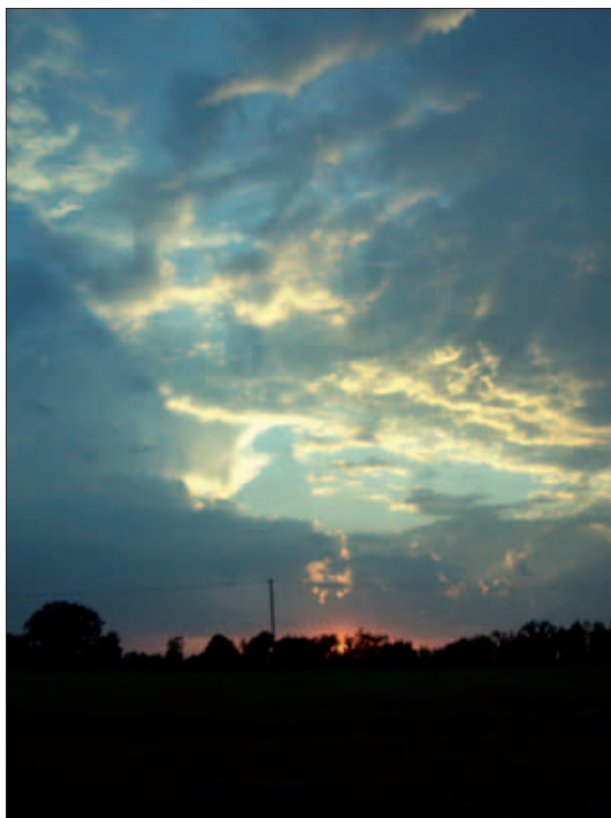
Luty 2022, Belgia

Swawolnie

Brak tolerancji nie urodzi
szacunku. Zapatrzenie
w wyłączność własną –
to jak przypadkowa
leśna ścieżyna, co nie
uznając drzew sąsiedztwa
wiekowych, tnie im po
korzeniach i wrzeszczy że
przeszkadzają jej się rozciągać
wolno – swawolnie.

Małe krasnale i echa
złoczone zielonych łąz strugi
na niedojrzałości sen – toczą.

1. listopada 2016 roku, Belgia



Nieśmiertelni

Dziś wiemy:
gdy porozpadają się
nam ciała...
Zabłyśniemy
miłością w granitach kamieni.
Będziemy się uśmiechać
z wirtualnych światów.
Chodzić po nich, mówić i trwać.
Młodzi w osmozach i piękni.
Zanim jakaś postrzelona hybryda
nie wyłączy bezdusznie
nam komputera...

A jeśli... w ciele pozostać tak
długo – jak drzewa i domy.
Góry i morza. Jak myśl stabilna.
Jak ontogeneza planety.
Dematerializować się
na *ad finem* koncepcję własną!
Nieśmiertelni...
Belgia, sierpień 2021

Wizja

Na moim pomarańczowym jak planeta
balkonie stałam. Wysłałam nocą po haust
powietrza. Po zapach róż, tulących swe
bukiety do spania. Po miauczenie
moich dzikich kotów na dobranoc. I
widziałam, jak w świetle lampionów,
zielonymi płucami krzew oddychał spragniony.
Maj 2004, Belgia



Zdjęcia Autorki

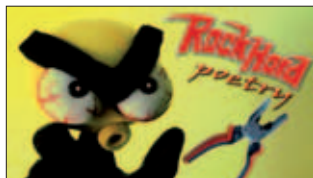
Piotr Kasperowicz

Patologiczne historie iluminacji

Patologiczne historie na temat iluminacji opowiedane z polotem naukowej ciekawostki mogą zmienić maliznę na tle wszechświata ludzkość w malignie organizuje podchody przyziarności wobec gwiazdowej substancji oczywiste na drodze do czyjejs dekapitacji.

Głębia wznawia odczuwanie

Beztlenowce
nieosiągające trzeciej prędkości kosmicznej
sukcesu w chodzeniu po wodzie
i powodzeniu
wydłubują z kadłuba ducha twojego
wygładzone grzechy
zawodowo zrobione szpachlą na gładź
bierność zawilgotniała
od nienabytej wcześniej chropowatości
ciągnie metalem
od późniejszych zarysowań czymś
arogantkim
w zwitkach obiektów
dryfujących międzyludzko
konwencjonalność zadarła z cierpliwością
wcinając się pokiereszowała ciało
wewnętrzne
niczego jej nie odpuszczono
dzięki bezsilności upozorowanej na
ignorancję
zemsty nie dopuszczono do naszych
winowajców
mozolnym sposobem konsekwencji
na drodze katatonii
głębia wznawia odczuwanie.



Wielka melancholia

W trakcie wielce skondensowanej melancholii gęstej od zawartości zmieszanej na zimno chciałem upiec szatana w jego własnym domu za to że mi kiedyś dopiekl na padole naszych łez stosował fałszywki słowne trzęsące bebechem zagrałiśmy w grę o sumie zerowej bez zabielenia kanał rany postrzałowej naszpikowałem czosnkiem leżał na teflonie bez tłuszczu i wcale go nie chwyciło zrozumieł się ledwie jedynie tyle było mu wstyd po kiepskim obsmażeniu wstawiłem go do piekarnika skwierczał dwie godziny soków nie puścił po czym dokładnie zmiażdżyłem w mózdzierzu sumienie oraz zblanszowałem wrzątkiem osobiste demony.

Pod szkłem organicznym

Paproch
roznegliżowanym okiem
całe morze martwe pod mikroskopem
zupełnie nic więcej niż mniej dyskomfortu
kto nazwał go człowiekiem
paproch
pod szkłem organicznym
za blisko by widzieć cokolwiek
zupełnie nic więcej niż mniej dyskomfortu
kto nazwał go trwaniem
czwarty wymiar czasoprzestrzeni
ma znaczenie czasowe
szukaj proszę niezauważalnych wątków.

Augusto Del Noce

Marksizm umarł na Wschodzie, bo zrealizował się na Zachodzie

Rok 1989 jest często postrzegany jako zwieńczenie okresu powojennego w długim konflikcie marksizm ostatecznie przegrał, podczas gdy kraje wschodnie stopniowo zajmują swoje miejsce w zjednoczonym świecie wolności, dobrobytu, konsumpcji i demokracji. Odnosnie tego zwycięstwa Zachodu, bądźmy jednak ostrożni: w latach bezpośrednio po 1945 roku konflikt ten postrzegano jako walkę cywilizacji chrześcijańskiej z marksizmem; później dominowało przeciwstawienie demokracji i totalitaryzmu. Mówiono również, że w okresie powojennym walka faszyzmu z antyfasyzmem trwała nadal, na innym poziomie. Podobno w chwili obecnej komunizm rzuca cechy wspólne z fasyzmem.

Nic z tego nie jest prawdą. Marksizm w pełni się zrealizował, obalając jednak swoje założenia i obietnice. Nie uczynił tego z powodu błędów ani zdrady swoich przywódców, lecz z konieczności, wynikającej z jego natury. Nie wyraził radykalnej alternatywy między tezą, reprezentowaną przez kapitalizm a antytezą, reprezentowaną przez proletariat, nie był stworzeniem zupełnie nowej ludzkości. Przeciwnie, historycznie reprezentował przejście z jednego etapu burżuazji do drugiego, etapu późniejszego i ostatecznego. W swojej ważnej i oryginalnej książce, Marcello Veneziani cytuje ontologiczny argument św. Anzelma, zgodnie z którym dzisiejszy okcydentalizm przedstawia się jako *id quo maius cogitari nequit*, czyli to, od

czego nic większego nie można pomyśleć; i odwołuje się do niektórych przedstawicieli nowego liberalizmu, którzy dążą do udowodnienia nieprzewidywalności obecnego etapu, osiągniętego przez społeczeństwo neoburżuazyjne, postrzeganego przez nich jako stadium ostateczne.

Marksizm był kulturą przejścia od społeczeństwa chrześcijańsko-burżuazyjnego – którego niezrównany przykład znajdujemy w dziele Benedetto Crocego – do społeczeństwa burżuazyjnego w jego czystej postaci. Można by nawet powiedzieć, iż marksizm reprezentował „przejście do najgorszego” w tym sensie, że dzięki marksizmowi społeczeństwo burżuazyjne pozbyło się wszelkich resztek poczucia moralnego i religijnego, uwalniając się od wszelkich „zanieczyszczeń”, jakie wciąż wiązały je ze społeczeństwem tradycyjnym, prezentując się w ten sposób jako pełen materializm i pełen sekularyzm. Zachód zrealizował wszystko z marksizmu, z wyjątkiem jego mesjańskiej nadziei. „Socjalizm” – pisze Veneziani – „nie odziedziczył społeczeństwa kapitalistycznego, lecz został włączony, uwikłany w sam kapitalizm; pod wieloma względami był przystankiem pośrednim w drodze od kapitalizmu do neokapitalizmu”. Veneziani zauważa, iż społeczeństwo zachodnie dostrzega istotę marksizmu: „radykalny ateizm i materializm, internacjonalizm i powszechną nie-przynależność, prymat praktyki i śmierć filozofii, dominację produkcji i powszechną manipulację naturą, technologiczny Faustyzm i równość, która realizuje się jako

homogenizacja”. Nowy globalistyczny liberalizm, zauważa Veneziani, przyswaja sobie lekcję marksizmu, oczyszczając go z wszelkich profetycznych, gnostycznych i antymodernistycznych żużli oraz sugestii solidarystycznych.

Możemy zatem powiedzieć, że Zachód jest pełną sekularyzacją marksizmu, a zarazem jego doskonałą realizacją. To kapitalizm wchłania komunizm, wykorzystując go do wymazania świętości religijnej i narodowej – celu, którego nie mógłby osiągnąć w żaden inny sposób.

Element marksizmu, a w ogóle socjalizmu, który pozostaje niewyrażony, nieświadomiony i zdradzony w społeczeństwie neoburżuazyjnym i okcydentalistycznym, to właśnie to, co było „wielkie” w socjalizmie: potępienie alienacji i nadzieja, na swój sposób „religijna”, na jej przewyżczenie. To właśnie Veneziani podkreśla na ostatnich stronach, obserwując, jak alienacja utrwaliła się i rozprzestrzeniła w społeczeństwie zachodnim. W istocie – i pozwólcie mi przypomnieć myśl, którą przedstawiłem już w 1963 roku – zachodnia irreligijność doprowadziła proces alienacji do skrajnych konsekwencji. Zanik religii zbiegł się z reifikacją człowieka. W ten sposób nastąpiło dokładne przeciwieństwo tego, co przewidywała myśl materialistyczna: upadek religii nie przyniósł końca alienacji, lecz jej ekspansję.

Społeczeństwo dobrobytu, jak nazwał je Galbraith, zdołało wyeliminować dialektyczne napięcie rewolucji, a jednocześnie doprowadzić alienację do najwyższego poziomu. Alienacja zbiega się z dehumanizacją, a jednocześnie z utratą wszelkich wspólnych (nie tylko religijnych) ram wartości; a te dwa pro-

cesy, ściśle ze sobą powiązane, prowadzą do sprowadzenia osoby do roli rzeczy, którą Veneziani opisuje w swojej książce. W ten sposób rodzi się gigantyczny proces alienacji, który Veneziani trafnie szkicuje: „alienacja jako utrata tożsamości, alienacja jako wyobcowanie ze środowiska, w którym żyjemy, alienacja jako wspólnotowy rozpad i dezorientacja w Heideggerowskim rozumieniu tego słowa, alienacja jako wyzysk, a tym samym wywłaszczenie własnej pracy, alienacja jako komodyfikacja człowieka”. Zatem społeczeństwo zachodnie zdaje się nie tylko unikać marksistowskiego potępienia alienacji, ale wręcz całkowicie je ignorować, do tego stopnia, że alienacja realizuje się najmocniej.

Uważajmy zatem, aby nie powiedzieć, iż Oświecenie zwyciężyło nad marksizmem i że dziś marksizm, oczyszczony z azjatyckiego despotyzmu, powraca do myśli oświeceniowej. Dzisiejszy okcydentalizm zmiotł nawet swój własny oświeceniowy fundament i to, co kiedyś było jego najwyższym wyrazem – Kantowską moralność. W tym kontekście Veneziani zauważa, iż pierwotna legitymizacja „projektu zachodniego” leży w Kantowskim imperatywie praktycznym, który głosi: „traktuj ludzkość zawsze jako cel, a nigdy jako środek”. Jednakże, kontynuuje Veneziani, jeśli dwa wieki później zweryfikujemy ten projekt założycielski w świetle jego rezultatów, „musimy się zgodzić, że Zachód charakteryzuje się całkowitą instrumentalizacją życia, sprowadzeniem człowieka do roli środka”. To uprzedmiotowienie człowieka oznacza odwrócenie założeń okcydentalizmu i jest najbardziej oczywistym przejawem heterogeniczności celów.

Prawdę mówiąc, można powiedzieć, iż cechy dzisiejszego Zachodu potwierdzają to, co przewidziała już literatura kryzysowa lat trzydziestych. Kryzysowy sposób myślenia jest jednak skazany jedynie na podsycanie „kultury żalu”, która jest z gruntu nostalgiczna i osiąga swój szczyt w tradycjonalizmie. Tradycjonalizm wyraża ideę nieodwracalnego upadku Zachodu, ale jego krytyka, właśnie ze względu na całkowity sprzeciw wobec nowoczesnego i burżuazyjnego świata, uniemożliwia sobie skuteczne oddziaływanie, jest odcięta, zdaje się nie mieć wpływu na świat, który zamierza krytykować – i szuka pocieszenia w paplaninie archaicznych i dekadencjonalnych salonów. Rodzi się nowy świat i musimy się do niego dostosować, aby pchnąć go w lepszym kierunku. Dlatego myślę, że musimy zgodzić się ze stwierdzeniem Wenezjanego, iż ograniczeniem tradycjonalistycznej krytyki Zachodu jest osądzanie samego Zachodu w świetle przesłanek, które nie są jego własnymi, poprzez dokonywanie niemożliwego porównania między światem zamkniętym w jego doskonałości, światem tradycji, a światem równie zamkniętym w jego potępieńniu, światem stawania się. I odwrotnie, „najskuteczniejszym i najsluszniejszym oskarżeniem Zachodu jest porównanie jego obietnic z ich realizacją”. Przeciwstawianie cywilizacji bytu triumfującemu światu stawania się, oznacza raczej alienację niż walkę; w obliczu tej ostrej opozycji krytyka progresywistyczna łatwo likwiduje racjonalizm, podkreślając, że przeciwstawia on teraźniejszości przeszłość, która bezpowrotnie przeminęła. Autentyczna krytyka tradycjonalistyczna musi podążać inną linią, badając przy-

czyny, dla których ostateczny rezultat myśli u źródeł okcydentalizmu nie tylko różni się od zamierzeń jego twórców, ale jest wręcz ich radykalnym przeciwieństwem.

Mówiąc o postawie nostalgicznej, w rozdziale poświęconym namiętności pokonanych, znajdujemy trafną obserwację, dotyczącą odwrócenia perspektyw między faszysmem a neofaszysmem: ten pierwszy podtrzymywany był przez witalistyczny optymizm i ideologię, opartą zasadniczo na kulcie zwycięstwa; drugi natomiast wyraża pesymistyczną i zmierzchową namiętność do pokonanych, co odwraca zatem pierwotnego ducha faszysmu. Taka namiętność do pokonanych wydaje się dziś bardziej powszechna, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. W istocie nie zawsze jest prawdą, iż dziś pęd do zarabiania pieniędzy i sukcesu jest całkowicie dominujący. Wręcz przeciwnie, fascynacja przegranymi sprawami rozpowszechniła się jako reakcja na dominującą mentalność. Mówi się, iż historię piszą zwycięzcy, a nie pokonani. Stąd rodzi się w historii solidarność z pokonanymi, jako reakcja na owe *status quo*.

W swoim przeglądzie tendencji krytycznych wobec okcydentalizmu, zakres badań Wenezjanego rozszerza się na inne, nienostalgiczne ruchy opozycyjne, które istnieją współcześnie. Po pierwsze, socjalizm, który dziś stoi przed nieuniknioną alternatywą między wejściem, a powrotem do burżuazyjnego „wspólnego domu” – w duchu liberalnego i świeckiego socjalizmu – a próbą ponownego odkrycia tego, co najwspanialsze i najbardziej „religijne” u jego źródeł, co stawia go w krytycznym świetle wobec okcy-

dentalizmu i neokapitalizmu. Po drugie, ekologia, która, pomimo przeciwnych jej wysiłków, odzyskuje autentyczność, odwołując się do przeszłości, a tym samym krytykując nowoczesność i jej wytwory, poczynając od kapitalizmu. Veneziani identyfikuje kolejny ruch opozycyjny w nurcie „rewolucji konserwatywnej”, której wielkimi inicjatorami są przede wszystkim Martin Heidegger, Ernst Jünger i Carl Schmitt, a epigoni – myśliciele *Nouvelle Droite*. Veneziani podkreśla zalety tych ostatnich, jego zdaniem, ale także ograniczenia i niedoskonałości, jakie niekiedy skłaniają ich do podporządkowywania się tym samym świeckim i immanentystycznym perspektywom społeczeństwa zachodniego, przeciwko którym wciąż z zapalem protestują.

Po czwarte, Veneziani rozwdzi się nad rozwojem tożsamości narodowych, a ogólniej nad odrodzeniem wspólnot i grup etnicznych, zauważając, że proces ten jest sprzeczny z kosmopolityzmem społeczeństwa zachodniego. Strony, poświęcone odrodzeniu wspólnotowemu, stanowią kontekst dla analizy „przypadku włoskiego” i jego nikłego poczucia tożsamości narodowej, kulturowej i historycznej.

Ważnym momentem dla zrozumienia obecnego rozwoju okcydentalizmu, a jednocześnie zidentyfikowania ostatniej krytycznej próby na Zachodzie, był ruch protestacyjny z 1968 roku. Dla Venezianiego historyczny rezultat ruchu protestacyjnego wydaje się ostatecznie mieścić w ramach „przyspieszonego procesu westernizacji w sensie gwałtownej sekularyzacji społeczeństwa”; dlatego interpretuje on ruch protestacyjny jako okres ekscentryczny, ale wciąż wewnątrz-

ny dla rozwoju okcydentalizmu. W tym sensie opisałem rok 1968 jako zdecydowanie wewnątrz-burżuazyjną rewolucję, w tym sensie, iż oznaczała ona przejście od starego do nowego etapu burżuazji. W istocie możemy tu dostrzec analogię z marksizmem: tym, czym marksizm był, z filozoficznego punktu widzenia, w szerszym procesie – mianowicie etapem przejściowym od kapitalizmu do neokapitalizmu – był ruch protestacyjny, z historycznego punktu widzenia, a nawet z moralnego punktu widzenia, w bardziej ograniczonym okresie.

W tym względzie zgadzam się z Venezianim, który uważa Pasoliniego za autora, który najdobitniej ukazał głęboką istotę ruchu protestacyjnego. Pasolini stwierdził wręcz, że w praktyce ruch protestacyjny pomógł nowej władzy zniszczyć wartości, których neokapitalistyczna władza pragnęła się pozbyć: tradycję, poczucie religijne, przywiązanie do korzeni, poczucie autentyczności, tajemnicy, organiczną więź ze wspólnotą ludzi i wartości. Nieprzypadkowo, dodaje Veneziani, „kiedy ci młodzi ludzie pozbyli się ideologicznej i politycznej „nadbudowy” typu rewolucyjnego, stali się agentami i funkcjonariuszami konsumpcjonistycznego i burżuazyjnego utylitaryzmu, który charakteryzował ich wówczas w latach osiemdziesiątych”.

Czy jednak były to jedyne cele ruchu protestacyjnego? W rzeczywistości ruch protestacyjny z 1968 roku „śpiewał w dwóch różnych rejestrach”. Można go ogólnie utożsamiać ze *Szkolą Frankfurcką*, wyrażającą bunt przeciwko technokratycznemu i scjentystycznemu społeczeństwu, która była być może dominująca na początku ruchu prote-

stacyjnego. Drugie z nich wyraziło się w opozycji między duchem rewolucyjnym a duchem tradycyjnym i ostatecznie zwyciężyło. To właśnie ta opozycja dała początek sojuszowi protestujących z radykalizmem burżuazyjnym, który oznaczał schyłek samego ruchu protestacyjnego. Jego błąd, jak zauważa Veneziani, polegał na utożsamieniu tradycyjnych wartości z systemem kapitalistycznym, jaki był ich najzacieklejszym wrogiem. Przyczyniło się to w ten sposób do złamania „nie systemów wsparcia i sojuszy kapitalizmu, ale ostatnich ograniczeń, które hamowały system kapitalistyczny”.

Ostatecznie, aby uchwycić pełne znaczenie okcydentalizmu i jego etapów przejściowych – takich jak marksizm i, pod pewnymi względami, ruch protestacyjny z 1968 roku – musimy powrócić do idei rewolucji, która charakteryzowała ostatnie dwa stulecia. Idea rewolucji jest przeciwieństwem idei opatrności. Rewolucja zakłada bowiem, iż człowiek może się odkupić poprzez proces wyzwolenia. Idea opatrności, przeciwnie, zakłada, że historia nie jest w całości tworzona przez ludzi, a raczej coś, co nie należy do człowieka, o czym nie decyduje on, ingeruje w jej bieg i rezultaty. Współczesne społeczeństwo i obecny upadek komunizmu pokazują klęskę idei rewolucji, spowodowaną odwróceniem jej pierwotnych założeń. Z drugiej strony, pokazują zwycięstwo idei opatrności, w tym sensie, że zgadzają się, iż ścieżka historii nie do końca odpowiada woli ludzi, a wręcz od niej odbiega, prowadząc do odwrotnego efektu niż ten, który zamierzają; potwierdzając tym samym to, co Vico napisał o „historycznym fackie Opatrności”, która działa „bez żadnej

ludzkiej świadomości ani rady, a często wbrew ludzkim intencjom”.

Teraz, gdy cykl rewolucyjny wygasa, okazuje się, iż nie jest procesem nieodwracalnym, za jaki uważali go zarówno postępowcy, jak i tradycjoniści, lecz odwracalnym procesem historycznym, z którym można walczyć.

Augusto Del Noce

Tłum. na ang. Carlo Lancelotti,
z ang. na polski Andrzej Filus

UWAGA TŁUMACZA: Powyższy esej był ostatnim dziełem Del Noce, napisanym około tygodnia przed śmiercią (filozof zmarł 30.XII.1989 r.). Stanowił on przedmowę do książki Marcello Venezianiego *La società globale e i suoi nemici (Społeczeństwo globalne i jego wrogowie)*. Składamy serdeczne podziękowania profesorowi Carlo Lancelottiemu za przetłumaczenie tego eseju i uzyskanie zgody spadkobierców Del Noce na jego reprodukcję w Polsce.

<https://churchlifejournal.nd.edu/articles/marxism-died-in-the-east-because-it-realized-itself-in-the-west/>



Janusz Charytoniuk

Polonofil z pruskiego Elbląga. Szkic do portretu Henryka Nitschmanna



Dzieciństwo i młodość. Lata nauki

Dnia 24. kwietnia 1826 roku w domu radcy sądowego Henryka Leopolda Nitschmanna przy ul. Am Lustgarten 14 (dziś plac Wolności) w Elblągu przyszło na świat dziecko płci męskiej. Chłopiec otrzymał imię Henryk Edward i już wtedy bliscy widzieli w nim przyszłego prawnika, ponieważ zawód jurysty był w tej rodzinie dziedziczny. Prawnikami byli – dziadek noworodka, jego ojciec i dwaj stryjowie.

Henryk od dzieciństwa wykazywał duże zdolności umysłowe, w wieku

czterech lat umiał już czytać i pisać, dwa lata później znał dobrze łacinę, a jako gimnazjalista tłumaczył poezję z greki, łaciny i francuskiego.

Jednak edukację w Gimnazjum Elbląskim, do którego uczęszczał w latach 1832–1843, utrudniały kłopoty zdrowotne. Dwukrotnie przerywał naukę, by poprawić wątłe zdrowie pobytami na wsi. Ostatecznie gimnazjum nie ukończył, wobec czego ojciec upatrzył dlań zawód rolnika. W latach 1843–1846 widzimy młodego Nitschmanna na praktyce w majątkach ziemskich, a następnie w służbie wojskowej w huzarach. Ta ostatnia informacja nieco dziwi w kontekście wspomnianych problemów ze zdrowiem.

Nitschmann żadnych studiów uniwersyteckich nie skończył. Co prawda Tadeusz Oracki w *Słowniku biograficznym Warmii, Mazur i Powiśla* pisze, że studiował w Berlinie i innych miastach niemieckich, ale to gruba przesada. Owszem, w 1855 r. przebywał kilka miesięcy w Berlinie i słuchał wykładów w tamtejszym uniwersytecie, ale nie były to żadne regularne studia, zresztą pobyt w stolicy był nazbyt krótki.

Brak formalnego wykształcenia nie przeszkodził jednak Henrykowi w zdobyciu rozległej wiedzy. Tłumaczył literaturę z siedmiu języków, znał dobrze historię i literaturę Polski, geografii powszechną, teorię i historię muzyki.

Po powrocie z Berlina Nitschmann osiadł w zakupionej mu przez ojca posiadłości ziemskiej Pożary, tu przez dziesięć najbliższych lat będzie dzielił czas między obowiązkami ziemianina

i literata. W końcu jednak dusza mieszczucha zwyciężyła, w 1865 roku puścił Pożary w dzierżawę i zamieszkał jako rentier w Elblągu.

Tłumacz i historyk polskiej literatury

Nie wiadomo gdzie i kiedy Henryk Nitschmann posiadał znajomość języka polskiego, być może w Elblągu, choć na pewno nie w gimnazjum. W czasie jego nauki nie było już tu nawet obowiązkowego lektoratu polskiego. Podczas pobytu w Worninach, które dzierżawił kilka lat po odbyciu służby wojskowej, zetknął się ze środowiskiem polskim. Tu musiał poznać język, względnie pogłębił znajomość, wyniesioną z rodzinnego miasta. Podobno już po trzech miesiącach pobytu w wornińskim majątku biegle mówił po polsku.

Debiut translatorski przypadł na rok 1854. W marcu tego roku na łamach dodatku do dziennika *Elbinger Anzeigen* pojawił się jego przekład wiersza Franciszka Morawskiego *Łza (Die Thrane)*. W tym samym roku jesienią lipska *Novellen-Zeitung* wydrukowała większy wybór przetłumaczonych przez Nitschmanna utworów, były wśród nich dwa sonety Mickiewicza. Pod koniec lat pięćdziesiątych przekładów jest już tyle, że wystarcza na wydanie osobne. Książka ukazała się w Gdańsku w 1860 roku w pięknej szacie edytorskiej, pod tytułem *Polska na Parnasie (Ausgewahlte Gedichte der Polen)*. Książka zawiera 25 przekładów, są wśród nich utwory Mickiewicza, Kraszewskiego, Syrokomli, Naruszewicza, Żmichowskiej. *Polska na Parnasie* była wznawiana trzykrotnie, w latach 1861, 1862 i 1875. Każde następne wydanie jest obszerniejsze od poprzedniego, pojawiają się nowi

poeci: Rej, Kochanowski, Krasicki, Kraśiński.

W 1880 roku wychodzi jeszcze jeden książkowy wybór tłumaczeń, jest nim wydana w Lipsku *Iris. Dichterstimmen aus Polen*. Później Nitschmann odchodzi nieco od działalności przekładowej i poświęca się pracy nad historią polskiej literatury. Jej plonem jest wydana w 1882, a wznowiona w 1889 roku *Geschichte der polnischen Litteratur*. We wstępie do niej zamieszcza znamienne zdanie, będące odpowiedzią na niemieckie stwierdzenie, że Polska nie ma żadnej literatury: „Jest to taka sama prawda, jak stwierdzenie w pochmurny dzień, że nie ma słońca na niebie”.

Przekłady Nitschmanna już przez współczesnych były oceniane wysoko. Podkreślano lekkość stylu, piękno języka i wierność oryginałom. Z drugiej jednak strony wytykano tłumaczowi to i owo, a więc brak archaizacji języka w przekładach Reja i Kochanowskiego, odstępstwa merytoryczne, które stosował dla dokładniejszego oddania treści.

Nie mnie osądzać translatorską działalność Henryka Nitschmanna, ale na podstawie istniejących ocen można stwierdzić to, przed czym jakby wzdrygają się jego biografowie: Nitschmann był tłumaczem dobrym, nawet bardzo dobrym, ale nie wybitnym; najlepszym w tej dziedzinie ustępował. Nie umniejsza to oczywiście w niczym jego zasług w popularyzacji polskiej literatury i kultury wśród Niemców. Jego polonofilizm wychodził daleko poza literaturę. Był on rzecznikiem sprawy polskiej w najtrudniejszych dla nas czasach, w okresie Powstania Styczniowego i w latach germańskiego ucisku.

Przekłady z innych języków

Działalność translatorska Henryka Nitschmanna nie ograniczała się do języka polskiego, choć przekładom naszej literatury poświęcił najwięcej czasu i talentu. Spośród wielu innych języków, z których tłumaczył i doczekał się zresztą gruntownego opracowania (Michał Cieśla, *Niemiecki słowianofil Henryk Nitschmann jako tłumacz serbochorwackiej poezji ludowej*, Acta Philologica, nr 2, 1970).

Z literaturą Słowian południowych Nitschmann zetknął się za pośrednictwem twórczości Kazimierza Brodzińskiego i Lucjana Siemieńskiego, który tłumaczył na niemiecki, a oni z kolei zajmowali się przekładami z literatur słowiańskich.

Przypuszcza się, iż języka serbochorwackiego nauczył Nitschmanna Roman Zmorski, znany poeta – słowianofil, przebywający jakiś czas na Pomorzu. Wyrazem fascynacji nowopoznanym językiem był dział *Serbska pieśń ludowa* w wyborze tłumaczeń różnych języków, wydany w 1868 roku (*Album ausländischer Dichtung*).

W tym samym wydawnictwie znalazł się także plon wieloletniej pracy nad przekładami z francuskiego i angielskiego m.in. wiersze Victora Hugo, Alfreda de Musset i George'a Byrona. Po latach wróci do tłumaczeń z francuskiego książką *Perlen französischer Dichtung*, znalazło się w niej tłumaczenie wiersza króla Stanisława Leszczyńskiego oraz jego biografia.

Z języków słowiańskich tłumaczył Nitschmann jeszcze literaturę czeską, z klasycznych – grecką i łacińską. Te ostatnie przekłady pochodzą jeszcze z lat

gimnazjalnych i stanowią raczej margines jego twórczości. Nitschmann znał także holenderski, ale o ewentualnych przekładach z tego języka nic nie wiemy.

Muzyk, muzykolog, meloman

Wśród licznych talentów, jakimi natura obdarzyła Henryka Nitschmanna, były także uzdolnienia muzyczne. Od dzieciństwa grał na pianinie i instrumentach smyczkowych. Pozostawił po sobie wiele kompozycji w tym około dziesięciu wydanych drukiem, reszta pozostała w rękopisach; są wśród nich nuty do pieśni Mickiewicza *Gdybym się zmienił we wstęgę złotą*, choć autorstwo tej akurat melodii nie jest stuprocentowo pewne. Jednak największą aktywność Nitschmann przejawiał na polu nie kompozycji, lecz krytyki. W jego dorobku jest ponad setka drukowanych recenzji, sprawozdań, artykułów fachowych. Efektem niemal każdego wyjazdu do większych miast poza Elbląg było uczestnictwo w koncertach, a następnie teksty na ten temat w elbląskiej prasie.

W 1869 roku założył w Elblągu *Towarzystwo Filharmoniczne (Philharmonische Gesellschaft)*. Stał na jego czele do 1878 roku, organizował koncerty, prowadził konferansjerkę, akompaniował. Nie znam fachowych ocen jego twórczości muzycznej, jednak wyobrażam sobie taką sytuację. Jestem na koncercie elbląskiej orkiestry symfonicznej *Magna Astra* – w repertuarze kilka kompozycji Nitschmanna...

Podróże

Henryk Nitschmann pozostawił po sobie bogatą, liczącą około 3 tys. wolumi-

nów, bibliotekę. Bardzo duża jej część to książki geograficzne i przeżywająca rozkwit w drugiej połowie XIX w. literatura podróżnicza. Na stronach wielu książek zachowały się uwagi i podkreślenia czytelnika. Księgozbiór świadczy o jeszcze jednej pasji jego właściciela – podróżach. Sam podróżował niezbyt wiele, przeszkadzało w tym najpierw przywiązanie do ziemi a później nawał zajęć literackich. Niemniej jednak był w Berlinie i Wiedniu, odwiedził Francję i Śląsk, chętnie jeździł do Królewca i Gdańska. Opracował i sam narysował (miał też spore zdolności plastyczne) turystyczną mapę Bazantarni, miała ponoć kilka litograficznych wydań. Niestety nie dało mi się jak dotychczas na nią natknąć.

W latach 1877–1878 drukował w odcinkach w *Elbinger Zeitung* wrażeń z podróży po Sudetach. W tym samym czasie wyszła broszura *Wspomnienia z Oliwy (Erinnerungen an Oliva)*, zawierająca opis podróży po terenie dzisiejszego Trójmiasta. Są w niej pomorskie legendy i kilka pieśni kaszubskich, oczywiście we własnym przekładzie na niemiecki.

Życie prywatne

O życiu prywatnym Nitschmanna nie możemy powiedzieć zbyt wiele; niewiele ponadto, iż wypełniała je praca. Umarł w stanie kawalerskim. Najważniejszą kobietą w jego życiu była po śmierci matki starsza siostra – Augusta. Już jako gimnazjalista poświęcał jej wiersze. Śmierć Augusty w 1889 (?) roku pogrążyła go w smutku i przygnębieniu.

W swym testamencie zapisał 7000 marek „pannie A. R., która teraz

jako towarzysza u mnie działa”, wydaje się jednak, że była to tylko służąca.

Rozrywką, jakiej poddawał się z wielkim ukontentowaniem, było koncertowanie w gronie przyjaciół. Każdej niedzieli po południu w jego mieszkaniu przy ul. Rybackiej 10 zbierał się kwartet smyczkowy, w którym Henryk grał pierwsze skrzypce.

Od czasu służby w huzarach pozostała mu estyma do koni, miał własnego wierzchowca i jeszcze po siedemdziesiątce dziarsko trzymał się w siodle. Z natury był raczej mizantropem, osobiste kontakty z ludźmi zastępowała mu obfita korespondencja, którą prowadził z literatami, muzykami, wydawcami.

Spuścizna

Henryk Nitschmann zmarł 27. kwietnia 1905 r., w testamencie znaczną część swego majątku przeznaczył na rzecz biednych. Nb. testament (spisany po polsku) zdradza, że testator do końca życia nie opanował naszego języka bardzo dobrze („Moje rękopise gotowe do druku, zachowane w starym sekretarzy mahag [tj. mahoniowym] muszą w każdym razie być w celone w bibliotece miasta Elblągu. Wydatku jednego albo niektórych z tych dzieł w druku nie zawadzi”)

Dawni elblążanie zachowywali Henryka Nitschmanna w życzliwej pamięci choć jego propolską postawę za życia często wypominali, a po śmierci przemilczali. Na grobie sławnego rodaka często składano kwiaty, a dowodem uznania dla zasług było nazwanie jednej z ulic w śródmieściu jego imieniem. Po ostatniej wojnie nazwę ulicy zmieniono na Bielańską, bo dawna wydawała się

jednoznacznie germańska. Dopiero po upływie kilku lat i „weryfikacji” patrona powrócono do dawnego nazewnictwa.

Grób Nitschmanna zniknął z powierzchni ziemi wraz z likwidacją cmentarza, jego los podzieliły m.in. groby Ferdynanda Schichaua i znanego historyka Prus – Maxa Toeppena – dziś znajduje się tu park Traugutta.

Po Henryku Nitschmannie prócz księgozbioru i bogatej twórczości pozostało archiwum prywatne. Składa się na nie kilkaset listów, dokumenty osobiste, wycinki prasowe, rękopisy niewydanych publikacji, nuty. Cała ta spuścizna została przekazana testamentem *Bibliotece Miejskiej* w Elblągu, a po II wojnie znalazła się w zbiorach biblioteki *UMK* w Toruniu.

O elbląskim polonofilu napisano po ostatniej wojnie sporo, najczęściej są to jednak hasła w encyklopediach i słownikach oraz drobne artykuły informacyjne, często o zacięciu propagandowym. Z dwóch poważniejszych opracowań wspomniany wyżej tekst Michała Cieśli

dotyczy wąskiego wycinka twórczości. Natomiast drugi wyszedł spod pióra najlepszego znawcy życia i twórczości Nitschmanna – Leonarda Jarzębowskiego, ale ten z kolei pochodzi sprzed kilkadziesiąt lat i skupia się w zasadzie na polskim aspekcie działalności (Leonard Jarzębowski, *Henryk Nitschmann – miłośnik kulimy polskiej*, *Zeszyty Naukowe UMK*, z. 3, 1960).

Ostatnio władze Elbląga podjęły starania o zwrot toruńskiego depozytu. Jeśli przedsięwzięcie powiedzie się, w co nikt w Elblągu nie wątpi, wróci także księgozbiór i archiwum Nitschmanna. W ten sposób wypełni się jego wola, wyrażona w testamencie, a on sam doczeka się być może biografii z prawdziwego zdarzenia.

Tygiel nr 12/ 1994

Grzegorz Baranowski

Podróż sentymalna Białoruś 2009¹

To był czas naszego wybijania się na niepodległość. Autobus z Wilna do Oszmian, powiatowego onegdaj miasteczka. Tradycyjny rynek z „ostanowką”, przy niej – najbardziej koszmarna z możliwych – publiczna ubikacja. Teraz już takich tutaj nie uświadczysz! Kilkanaście kilometrów dalej duża wieś Rudziszki, gdzie jeszcze dzisiaj najwięcej – to Baranowskich. I jeden z nich, daleki kuzyn, zswietyzowany do cna, doprowadzający w dyspucie o Polsce, do wściekłości absolutnej i wilgotnienia oczu. Byli i inni, obcy co prawda, lecz pamiętający Baranowskich, tych co wyjechali do Polski – do Łodzi, Gdańska. Ci obcy bardziej ludzcy, jakby bliżsi sercu, choć język u nich pomieszany.



Przez tyle lat nie odważyłem się tam wrócić, choć myślałem o tamtej ziemi często. Kto wie czy nie nadszedł czas, by zobaczyć Rudziszki ponownie, by pogrzebać w starych księgach metrykalnych. Ale to później, już indywidualnie. Odważyłem się wreszcie, teraz w grupie.

Króciuteńki wypad autokarowy. Autobus wczesnym rankiem z Braniewa. Nocleg już na Białorusi, w Grodnie. Potem w Lidzie, Baranowiczach i późną nocą powrót do Braniewa. A pomiędzy..? Wasiliszki, Nieśwież, Różana, coś tam jeszcze... No i Nowogródek.

Gdyby nie ten Nowogródek, to cała eskapada byłaby takim szybkim, pobieżnym prześlizgnięciem się po śladach polskości. Ale ten Nowogródek, tak naprawdę wystarczyłby za całą trasę. Myślałem, że tam tylko Mickiewicz, jakiś dworek – muzeum, kopiec ku czci, kilka pomników. To też było. Jednak największe wrażenie wywarł skromny, prosty kościółek, przycupnięty u stóp Góry Zamkowej. Ów kościółek, tak zdawałoby się niewielki przy tej wysokiej górze, to całkiem spora świątynia – kościół farny pod wezwaniem Przemienienia Pańskiego, nazywany przez miejscowych „Białą Farą” lub „Fara Witoldową”.

Od szosy ostro zbiegającej w dół tylko kilka kroków pod górkę. Widać resztki przykościelnego cmentarzyka i białe mury kościoła na tle Zamkowej Góry. Wejście jakieś takie ukryte, niepozorne. Więc marsz naokoło i nagle zaskoczenie. Prosta, zwyczajna tablica. Kolejno z niej szczytywane słowa układają się niespodziewanie w patos historii Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Obojga Narodów:

W tej świątyni 1422 roku Władystaw Jagiełło Król Polski Wielki Książę Litewski zawarł związek małżeński z Zofią Księżniczką Holszańską przyszłą matką królów polskich Władystawa Warneńczyka i Kazimierza Jagiellończyka.

¹„TygiEL”, nr 3-4 (56-57) / 2009, ss. 68-73.



Król Kazimierz Jagiellończyk był ojcem Św. Kazimierza i królów polskich Jana Olbrachta, Aleksandra, Zygmunta I oraz Władysława króla Węgier i Czech i Fryderyka kardynała Kościoła Rzymskiego Prymasa Polski, dziadem zaś Zygmunta Augusta, ostatniego z dynastii Jagiellonów. Którzy na najwyższe szczyty potęgi i chwały wzniesli Królestwo Polskie i Wielkie Księstwo Litewskie.

Nie sposób było się nie zatrzymać, nie podumać o losie Rzeczypospolitej, jej wielkości, upadku i trwaniu. Jakby kontrapunktem wielkiej historii tych ziem, wyczytanej z owej tablicy, ale też jej tragicznym zwieńczeniem, jest inna, położona zaledwie kilka kroków dalej, spiszowa tablica.

To miejsce do 1991 r. było spoczynkiem 11 siostr nazaretanek, pomordowanych przez hitlerowców 1. sierpnia 1943 r. I poniżej to samo po białorusku łacińskim alfabetem. Miejsca hataie da 1991 r. było supacynkam dla 11 siaścior nazaratanak zabitych hitleraućami dnia 1. żniūnia 1943 r.

5. marca 2000 roku zostały one beatyfikowane przez polskiego papieża Jana Pawła II.

Jeszcze tylko drobne wyjaśnienie do tej pierwszej tablicy. Otóż słowa

„w tej świątyni” nie należy rozumieć dosłownie. Obecna farę pobudowano w latach 1719-23, w miejscu znacznie starszej świątyni, wzniesionej w końcu XIV stulecia. Niektóre elementy wcześniejszej budowli zapewne zachowały się do dzisiaj, skoro w nawie głównej widoczne jest sklepienie kolebkowe, a w bocznych kaplicach – gotyckie sklepienia żebrowe. Więc może jednak „w tej świątyni”?

A w środku? Jak to w kościele. Ołtarze, kaplice, epitafia... I znów zaskoczenie. W jednej z kaplic, na skromnej drewnianej ławie stare księgi, na drugiej, pod przeciwną ścianą, chyba nieheblowane deszczułki, a może niewielkie skrzyneczki? Obok płytki, zapewne marmurowe, jakby z jakiejś posadzki wyjęte. Przykucam... olśnienie... Deszczułki, raczej płaskie skrzyneczki, to coś jakby listy, opatrzone lakowymi pieczęciami. Tak, w pośpiechu, przy nienajlepszym oświetleniu trudno odczytać. Ale mam wrażenie, że dotykam jakiejś tajemnicy, pobudzającej wyobraźnię. Dumam. W świątyni, opisane i zalakowane skrzyneczki. Jakiś ważny dokument?! A cóż tu najważniejszego, jak nie prochy, relikwie. Powinny mieć potwierdzenie autentyczności! Dopytuję więc młodą nazaretankę, która otwierała nam kościół, opowiadała śpiewną, miejscową polszczyznę, o jego historii i męczeństwie 12 siostr z jej zakonu. Nie wie, co to jest. Były jakieś prace w piwnicach i na strychu. Teraz siostry czekają na historyków sztuki z Polski, którzy mają zbadać znaleziska. Dopytuję zatem dwóch muzealniczek, wędrujących z nami. Też nie wiedzą, lecz po obejrzeniu, któraś dość niepewnie stwierdza – *portatile*. Obiecuje po powrocie do Polski wyjaśnić. Wyjaśniła, potwierdziła.

Zdjęciom przyjrzałem się dopiero w domu. Na jednej z owych skrzyneczek, z najlepiej zachowanymi napisami, odczytuję niewielką ich część. Kiepsko mi idzie, dawno już zapomniałem łaciny, a tu jeszcze liturgiczna. Odcyfrowałem zaledwie kilka słów.

Anno Dni.[zapewne skrót od „domini”] 1743.26.12 [...] Portatile consecratum est ab[...] Domino Alexandro Horati [...] Sufragane...

No właśnie. Jest owo „portatile”. Internet potwierdza moje spostrzeżenia – drewniana skrzyneczka, a w niej owa marmurowa płytką:

Altare portatile (przenośny ołtarz), zwany po polsku portatyłem. To kamienna płytką z umieszczonymi w jej wnętrzu relikwiami męczenników, której autentyczność poświadczona jest przez Kurię Diecezjalną pieczęcią i datą z podpisem i z zaznaczeniem, jakich męczenników relikwie zostały umieszczone.



Czy to koniec wrażeń? Przeglądam zdjęcia z kościoła. Tablica 1. *W murach tego kościoła został ochrzczony dnia 12. lutego 1799 roku Adam Mickiewicz.* Tablica 2. *1395–1995 Bogu najwyższemu w podzięce w 600-rocznicę kościoła farnego w Nowogródku fundacji Wielkiego Księcia Litewskiego Witolda.* Tablica 3. *Boha-*

terom 80. pułku Strzelców Nowogródzkich poległym w r. 1919 i 1920 na polu chwały za wiarę i ojczyznę ku wiecznej przykładowej pamięci – kamień ten kładzie miasto Nowogródek. I poniżej długa lista poległych. Tablica 4. *Marmurowa płytką z 1643 r., fundowana przez kasztelana nowogródzkiego, Jana Rudominę Dusziackiego, dla uczczenia śmierci brata Jerzego i jego ośmiu towarzyszy poległych w bitwie pod Chocimiem.* Tablica 5. *Pamięci żołnierzy Armii Krajowej okręgu nowogródzkiego „NÓW” poległych za ojczyznę w latach 1941–1944. Towarzysze broni.* A przecież jest jeszcze XVIII-wieczna cudowna kopia obrazu MB Nowogródzkiej, opiewana w inwokacji do „Pana Tadeusza”, czy obraz św. Michała Archanioła, patrona Nowogródka. Tak, ów kościółek u stóp Witoldowej Góry Zamkowej zrobił na mnie ogromne wrażenie. Dopytywałem muzealniczek, dopytywałem innych uczestników wycieczki. Patrzyli na mnie jak na pomylenca. Pewnie mieli rację. Bo czyż ta skromna „Biała Fara” może się równać z...

...z XII-wieczną cerkwią św. Borysa i Gleba na grodzieńskiej Kołozy? Czy tym bardziej z samym królewskim Grodnem, miejscem sejmów i siedzibą królewską, z przepięknym widokiem na Niemen u stóp Starego i Nowego Zamku, z domem Orzeszków, teraz muzeum Elizy Orzeszkowej?

Z jeziorem Świteż? W tym przypadku może, bo przecież to tylko pięknie położony pośród lasów, okrągły, niezbyt duży kawałek czystej wody. Mickiewicz coś tam o nim pisał.

Z Mirem, w którym najlepiej zachowany na Białorusi zespół zamko-

wo-parkowy z XV-XVI wieku, należący onegdaj do Radziwiłłów, a przy tym z resztkami stetlu – typowego kresowego miasteczka żydowskiego, które zasłynęło „Mir Jesziwą”, przyciągającą do 1939 roku żydowskich studentów z wielu stron świata? Ówże zespół zamkowo-parkowy wpisany został na światową listę *UNESCO*.

Z nieświeskim Radziwiłłowym zamkiem, który choć pod okiem polskich historyków i konserwatorów, bywa odtwarzany w zadziwiający sposób? Przykład najbardziej widoczny i to z daleka – wieża z hełmem, nawiązującym do architektury rosyjsko-prawosławnej. Mimo to *UNESCO* w dalszym ciągu utrzymuje dawną rezydencję Radziwiłłów na swojej liście światowego dziedzictwa. Tutaj też kościół Bożego Ciała, w którym sarkofagi co znamienitszych z rodu Radziwiłłów.

Z prawosławnymi obecnie Żyrowicami? Niegdyś bazylianskimi, za carskiej Rosji przekazanymi prawosławnym. Miejsce to dla białoruskich prawosławnych, lecz również unitów, a nawet katolików jest tym, czym dla Polaków Częstochowa.

Ze słonimską synagogą z 1664 r., teraz w totalnej rujnacji? Czy może z synkowiczowską XVI-wieczną cerkwią obronną, jedyną zachowaną na Białorusi? Otóż nie. Na mnie największe wrażenie sprawiła, najwięcej refleksji przydała nowogródzka „Witoldowa Fara”. Chociaż odrobinę może konkuruje z nią prosta, drewniana chałupa w Starych Wasiliszkach.

Spytajcie moje córki, którego z piosenkarzy najbardziej kocham. Powiedzą zapewne, że Marylę Rodowicz,

może Magdę Umer, może Demarczyk, ale najpewniej na początku wymienią Niemena. Mieszkał w Starych Wasiliszkach, w niewielkiej drewnianej chacie (jest zgoda władz białoruskich na urządzenie w niej jego muzeum), ochrzczony był w tutejszym, imponującym wielkością, neogotyckim kościele św. Piotra i Pawła, gdzie tablica ku czci. Na samej chacie żadnego napisu, tylko coraz liczniejsze polskie nalepki, ostatnia – „Wyprawa rowerowa Polska-Białoruś 3-19 VII 2009 r.”.

Tak, to było tylko 70 godzin na Białorusi i aż 70 godzin. Teraz już wiem, że do Rudziszek z Baranowskimi (to po mieczu) i Pukienami (to po kądzieli) mam pełne prawo powrotu. Jakaś tam moja część jest właśnie stamtąd, druga, ta trochę niemiecka, tkwi w okolicach Ostrowa Wielkopolskiego. Tam też powinienem zajechać. Przecież jam trochę Tatar, trochę Niemiec, a więc Polak.



Zdjęcia Autora

Lech L. Przychodzki / Andrzej Sikora

Kocią ścieżką – rozmowa ze Zbigniewem KOTEM

*Do końca drogi swej noc zmierza
I płoną drzewa w nocnym chłodzie.
Czy gościem będę w nim, czy muszę
Do domu swego wejść jak złodziej.*

Wojtek Bellon



Grafik przy grobie pilota Tu-154.
Fot. Agnieszka Brytan

Lech L. Przychodzki: Jak to się stało, że jako człowiek urodzony w mieście Lublinie, które to miasto ze sztuką ma niewiele wspólnego (przed wojną było niezłe, po wojnie już trochę gorzej) i w rodzinie, która ze sztuką również nie miała punktów styecznych, raptem stałeś się członkiem „klanu Kotów”, jaki jednak zaśląnął z myślenia absolutnie twórczego i takiejż roboty?

Zbigniew Kot: *To się zaczęło w Zamku Lubelskim, gdzie dla młodziaków były kółka, zajęcia plastyczne. I Andrzej – brat*

starszy – i ja uczęszczaaliśmy tam jako dzieciaki. Tak się wciągnęliśmy w przeróżne historie, związane z malunkami i innymi sprawami, związanymi ze sztuką dziecięcą. A później? Przede wszystkim Liceum Plastyczne, też na Starym Mieście w Lublinie, które miałem naprzeciwko swego domu mieszkalnego. Rano niemal w trójskoku przeskakiwałem przez ulicę – wtedy wszystko było właściwie pod ręką – żeby z tą sztuką mieć kontakt.

A później? Już tak poszło się za ciosem i czekała mnie Akademia Sztuk Pięknych w Warszawie...

L. L. P.: Każdy ma, podobno, a myślę, iż to jest prawda, tylko niektórzy ludzie o tym nie wiedzą, swojego Mistrza. Ty poszedłeś na grafikę, a była to przecież zupełnie inna grafika w porównaniu z tym, co robi się teraz! Czego Twoi Mistrzowie wymagali od swoich studentów?

Z. K.: *Przede wszystkim warsztatu, zawodowej solidności. Wtedy była to jeszcze grafika tradycyjna, białoczarne. Ja z kolei lubiłem poszaleć – kolorem zadziałałem, a to się udzieliło innym studentom, stąd zaczęliśmy kolorowe grafiki robić. I taki to był nasz postęp w grafice.*

Andrzej Sikora: Kogo najlepiej wspominasz z kolegów i wykładowców?

Z. K.: *Z wykładowców przede wszystkim Halinę Chrostowską, wtedy panią docent, znaną graficzkę, córkę Ostoi-Chrostowskiego, cenionego przedwojennego grafika, w czasie okupacji aktywnego członka AK. O bracie-Kocie, czyli Andrzeju, już nie wspomnę. Był mi Mistrzem w grafice i zecerce, jako zecer nad zecerami. Ale nie tylko, także w człowieczeństwie.*

W zasadzie wydobywałem jak najwięcej z siebie, przeżywając różne historie tam,



w Warszawie, związane z działalnością studencką.

A. S.: W których latach studiowałeś, by rzecz całą umiejscowić socjologiczno-historycznie?

Z. K.: To były czasy Gierka. Jaruzelski i stan wojenny to już okres po studiach. Tak czy inaczej studiowałem niby w schyłkowych latach komuny. Potem się okazało, że to wcale nie był żaden schyłkowy czas, tylko dalszy ciąg mordegi z komuną.

L. L. P.: Jak oceniasz: na ile wy, przyszli artyści, czy też już artyści, studiując na Akademii byliście wrażliwi na to, co się dzieje w kraju?

Z. K.: A, to różnie... Różnie to wyglądało. Towarzystwo w sumie było zagubione. Nie widziałem w braci studenckiej jakiejś wewnętrznej siły. Siłę to pokazali robotnicy z zakładów dużych, komunistycznych. A twórczość? Każdy lepił, co mógł, żeby jakoś przeżyć. I albo się kontaktował z władzą i był na jej usługach, albo gdzieś w zaciszu robił swoje.

L. L. P.: Czego ówczesna władza wymagała od artystów?

Z. K.: W słowa władzy raczej się nie wstuchiwałem, nie miałem z nią do czynienia. Toteż nie mogę, jak wielu, się pochwalić, że coś dla tej władzy robiłem. Mogę za to uczciwie powiedzieć, iż antykomunizm wysłałem z mlekiem matki na Starym Mieście. No i tak mi zostało.

A. S.: Skończyłeś studia i...

Z. K.:... i z braku perspektyw warszawskich, bo to był wybuch „Solidarności”, potem stan wojenny, trzeba było postanowić, w którą stronę się udać. Myśmy z Lucyną wybrali Grodzisk Mazowiecki, gdzie zamieszkaliśmy na hektarze ziemi piaszczystej i przez około 10 lat prowadziliśmy tylko walkę o przeżycie. Kiedy przyszedł stan wojenny i junta rządziła, to miałem czas twórczo zmarnowany. Realia były takie, iż zamiast działać, raczej się myślało o tym, jak tę ziemię użyźnić, żeby mogła rodzić różne plony.

L. L. P.: A potem ta ziemia, która najpierw rodziła takie czy inne plony, stała się ziemią wymyśloną niejako przez Ciebie, ziemią, którą kształtowałeś po swojemu, w symbiozie ze wszystkim dookoła, czyli z Twoimi sikorkami, wróblami, wiewiórkami... Skąd ten przeskok?

Z. K.: Zadecydowała już sama przesiadka z Warszawy na teren żyjącej przyrody. Bardzo się wczułem w to i bardzo mnie to pociągnęło, urzekło...

A. S.: Tamten Grodzisk był inny?

Z. K.: Grodzisk był inny niż teraz, zupełnie inny. Mieścina bez charakteru, nieciekawa taka. Atrakcją jedyną była ekadka (od 1951 r. już wukadka), bo to kontakt ze stolicą. Ale ja z kolei z Warszawą już kontaktu nie chciałem mieć. Tutaj zaczęliśmy tworzyć naszą życiową ostoję. I tak powoli, powoli,



powstał piękny ogród, symbioza z przyrodą. To było całkiem inne doświadczenie, niż to, które dotychczas mieliśmy.

L. L. P.: Przyroda Twojej młodości, którą doskonale znam, bo to była ta sama przyroda, obejmowała okolice lubelskiego Zamku, a wyglądała zupełnie inaczej niż wszystko, co zastałaś w Grodzisku, gdy przyjechałaś.

Z. K.: Przy Zamku to były głównie miejskie nasadzenia, takie działania ówczesnego Ratusza dla tubylczej ludności, a tutaj człowiek wziął się z życiem za bary i zaczął tworzyć coś od nowa, zgodnie z własnym widzeniem świata.

A. S.: Zanim przeszedłaś z działalności rolniczej na czysto ogrodniczą, najpierw musiałeś znaleźć się w KRUS-ie, żeby Cię ubezpieczyli, czyli musiałeś jakieś kursy kończyć...

Z. K.: Tak, musiałem mieć uprawnienia

rolnicze, żeby w ogóle kupić to gospodarstwo. Były jakieś kursy, już nie pamiętam, ile trwały – miesiąc czy dwa miesiące, potem było jakieś odpytywanie ogólne, ale sprawnie to poszło.

A. S.: I już zostałeś rolnikiem, całkiem zgodnie z prawem i mogłeś na swoim terenie uprawiać, co tylko chciałeś.

Z. K.: Tak. Jako rolnik – tak. Tyle, że w większości była to ziemia V i VIII klasy...

A. S.: Przecież to nadal widać, mimo, iż ją nawozisz.

Z. K.: Kosztowało nas to wiele lat starań, żeby ta ziemia chciała rodzić. Walka była niesamowita!

A. S.: Wiesz, bo zupełnie czym innym jest ziemia pod żyto, owies czy nawet pszenicę, a zupełnie innej ziemi wymaga ogród...

Z. K.: Jasne, nieużytki... Same chwasty i im podobne rośliny mogły tu rosnąć. Ale to wszystko też ładne! I użyteczne... A mnie się zachciało, miałem taki cel, żeby użyźnić i mieć taką glebę, która daje pożytek. I trwało wiele lat, zanim ta ziemia wreszcie zaczęła darować korzysci.

A. S.: Niewątpliwie przez miesiąc czy dwa szkolenia rolniczego nie nauczyłeś się tego, jak postępować z ogrodem? Może Cię nauczyli, jak się sieje owies, ale o ogrodzie raczej nie. Tego musiałeś się nauczyć sam – z książek i od ludzi.

Z. K.: Przeważnie z rozmów z innymi ogrodnikami. To oni mieli doświadczenia praktyczne i od nich mogłem się najwięcej nauczyć. A też z własnych doświadczeń – książki człowiek studiował, oglądało się ogrody różnego typu w całej Polsce...

L. L. P.: Wydaje mi się, iż kiedyś więcej ludzi w Polsce zajmowało się ogrodnictwem niż teraz...

Z. K.: Kiedyś? Zdecydowanie. W tej chwili



to zanika, jak konie i krowy na łąkach. Robi się po prostu smutno. Nie uświadczysz pasącej się krowy, żadnych owiec... To wszystko gdzieś w budynkach pochowane jest...

L. L. P.: Jeżeli w ogóle jest?!

Z. K.: (Śmiech). Wiecie, skoro już na mojej roli się znalazłem, to w tej beznadziejnej komunie musiałem żyć. Jeśli nam już taka droga życiowa wyszła, to trzeba było na tym kawałku ziemi coś sensownego wyhodować.

A. S.: Zgoda, ale zboże dawało Ci przecież jakieś pieniądze. A ogród? Czy on wspomagał waszą kieszeń? Chyba nie...

Z. K.: Nie tak... Zboże też nie darowało, bo tutaj na początku ledwie żyto rośnie. Człowiek tę ziemię uprawiał początkowo dla swoich potrzeb. Dopiero później, w miarę upływu czasu – a byłem takim gościem, co to miał coraz więcej świadomości – zacząłem zakładać innym ogrody. Wtedy już było troszkę więcej pieniędzy na to, by ogród, który założyłem, był większy, żeby się lepiej rozwijał. I wtedy się zaczął wyklurwać jakiś zamysł ogólny tego, co chcę „wyczarować” u siebie, w oparciu o doświadczenia grodziskie i to, czego się nauczyłem, zakładając ogrody dla ludzi. Z czasem zresztą te ogrody dla zarobku zarzuciłem, bo się okazało,

że zakładają je albo gwiazdeczki seriali albo byli komuniści. I to towarzystwo, gdy się u nich pracowało, to nie miało jakiegś – minimalnej choćby – kultury ogrodniczej. Praca u nich nie była zbyt przyjemna. Owszem, wyjątki się zdarzały, niestety nieliczne. Większość założeń to mordęga była, chociaż starałem się jak mogłem – na tyle, ile miałem jakichś wiadomości, chciałem przekonać ich do pewnych zasad ogrodniczych.

A. S.: Taki ogród się przecież zakłada długo, nie da się tego zrobić w przeciągu jednego roku. Musiałeś mieć z tymi ludźmi do czynienia przez kilka lat.

Z. K.: Trzy lata to takie minimum. I to dla zamawiających było całkiem nietypowe. W Warszawie i okolicach istnieją wciąż firmy specjalistyczne. One zaś wchodziły na teren i oddawały ludziom ogród w niecały



miesiąc! Forsa wzięta, a właściciel dopiero za rok się potapie, że odwalona hochszta-plerka... A ja, po Akademii Sztuk Pięknych, starałem się tworzyć ogród i krajobraz, żeby towarzyszył ludziom przez całe życie i cieszył!

L. L. P.: Twój ogród jest przykładem terenu, gdzie przebudowałeś zupełnie krajobraz...

Z. K.: W pewnym momencie sam się czułem dziwnie. Myślałem, że będę traktowany przez miejscowych jako dziwłog. Trzeba wziąć pod uwagę, iż tu nie było do niedawna żadnej developerki, wszak pola tu były i zagajniki wszędzie wkóło, gdzie ciężko pracowali niemłodzi już rolnicy. Ale z czasem wszystko się zmieniło, pola zostały przez developerów przejęte i zaczęła się przemożna dewastacja przyrody i krajobrazu na obrzeżach Grodziska. Developerzy

są zaborczy, ich świat się rządzi własnymi prawami. A wraz z nowymi mieszkańcami obyczaje z miast wchodzą bezpośrednio na wieś, na tereny, gdzie dotychczas był szacunek do ludzi i przyrody.

L. L. P.: Zauważ, że kierunek żyrardowski był przez ładnych kilka lat przez stołecznych developerów odpuszczony. W tej chwili odwrotnie – czy jedziesz *ekadką* czy normalną kolejką elektryczną – wzdłuż całej trasy wyrastają osiedla developerskie. Nie ma lasków, nie ma łąk, tylko budynki developerskie. Obłąd.

Z. K.: Tym bardziej, że najkorzystniej stawiać je przy trasach kolejowych, autostradach, zwykłych szosach – jak najbliżej, gdyż wtedy firmy mają z budynków większy zysk. Bo przecież wszystko jest obliczone właśnie na zysk.

A. S.: Z jednej strony przedsiębiorcom





łatwiej jest dowieźć materiały, a z drugiej potem ludziom łatwiej jest mieszkać. Choć dobrze widzisz, w jakich warunkach te budynki powstają, na jakich bagnach są stawiane...

Z. K.: *No tak... W tej chwili jest parę lat suchych, wody gruntowe się obniżyły i deweloperzy wykorzystują to bez żadnej litości dla przyszłych mieszkańców.*

L. L. P.: Cóż, wiadomo, że po latach suchych przyjdą lata deszczowe, wcześniej czy później...

Z. K.: *...i te domki nasiąkną jak gąbki, wchłoną w siebie wilgoć i dopiero wtedy lokatorzy zobaczą, gdzie się znaleźli.*

L. L. P.: Bywa pewnie różnie, ale to, co widziałem w ubiegłym roku (w tym nie patrzyłem) między Tworkami a Pruszkowem, było budowane w wodzie, stojącej ludziom po kolana. Faceci w woderach wznosili fundamenty!

Z. K.: *W Grodzisku takie przykłady też są. To całkiem bezwzględna maszyna w działaniach na własną korzyść.*

L. L. P.: Dobra, cofnijmy się jednak znowu do Twoich ogrodów, które robiłeś. I w pewnym momencie zacząłeś mieć nie ogrodów dość, ale ludzi, dla których pracowałeś i zająłeś się wtedy już głównie swoim ogrodem i ogrodami kumpli.

Z. K.: *Tak. Ze zleceńodawcami się rozstałem i zacząłem u siebie działać, tworząc takie warunki, żeby się człowiek dobrze czuł na tym terenie. Tak, żeby tu była baza i żeby mieć siłę w działaniu dalszym. Tworzę ten ogród na zasadzie takiej, jak każdy twórca tworzy dzieło swoje.*

L. L. P.: Są przecież różne modele ogrodów – od japońskiego, który jest całkiem inny od tego, co znaliśmy, poprzez te przystrzyżone ogrody francuskie czy włoskie – lub ich odwrotność – ogrody angielskie, a Twój jest czymś jeszcze innym. Twój jest takim Kocim ogrodem...

Z. K.: *Ja to czynię na zasadzie – co mi w duszy gra. Nie będę małpował różnych modnych kierunków. Wzorce są – jak ktoś nie ma wyobraźni, to leci po wzorcach. A tu człowiek zobaczył, że roślinami różnymi, drzewami, lśniącymi kwiatami można stworzyć – jak na obrazie – fajne zakątki ogrodowe. Im więcej masz estetycznych doświadczeń ogrodowych, tym bardziej wglębiasz się w to wszystko i umiesz coraz piękniej te elementy natury poukładać.*

A. S.: Tak, ale oprócz piękna, musisz doskonale wiedzieć, co z czym współgra, co się nie lubi, co gdzie urosnie, a co i tak w pewnym miejscu urosnąć nie będzie chciało... Czyli praktyczna wiedza musi za tym się kryć.

Z. K.: *Wręcz dużo tej wiedzy. Przecież sady się rośliny mniejsze, a potem to rośnie i musi współistnieć jedno z drugim. Korzystałem na przykład z parków różnych, ogrodów botanicznych i patrzyłem, jak tam*

wszystko się rozwija, bo ma opiekę odpowiedzialną, w jakich warunkach i jak współżyje z innymi roślinami. Żeby to razem istniało i nie było wojny pomiędzy roślinami. I takie dobre doświadczenia przenosiłem do siebie.

Dlatego na całej działce wymyśliłem, żeby robić różne klimaty krajobrazowe, zaczynając od gór –górek takich – na początku, nazwanych Góry Rubinowe od imienia psiaka, bardzo pracami zainteresowanego – nieustannie tam był i wyglądało to śmiesznie: jakby roboty nadzorował. A później, jak już było wszystko zrobione, kiedy porośły tam różne krzaczki, nowe nasadzenia, to Rubin siedział na górze i czekał na Lucynę – żonę – kiedy wracała z pracy. Wiedział, o której godzinie wraca, siedział na górze przy bramie i jej wyglądał. Następca Rubina jest Oczko, który nie wiadomo skąd zawędrował do nas i już tu został...

Pociągnąłem takie myślenie w głąb działki, te różne klimaty, różne nastroje...

L. L. P.: Twój ogród w pewnym momencie stał się domem dla wielu różnych zwierząt. I im jest starszy, tym więcej tych zwierzątek.

Z. K.: Zgadza się! To już jest cała historia, którą bez końca można by opowiadać. Nawet w tym roku – upały, ciężki żywot dla ptactwa, woda w ogrodowym oczku mocno opadła, a ptaki tu przylatują nade wszystko, żeby się napić. Ja to ptactwo i różne zwierzątka dokarmiam, bo chcę, żeby – mając jakiś pokarm – wspomagały mnie przy pielęgnacji ogrodu. Te robaki, które są niekorzystne dla roślin, trzeba usuwać i ptaki to pięknie robią.

Po drugiej stronie ulicy „od zawsze” było naturalne, spore oczko wodne, woda z górki tam spływała i nie zalewała jezdnii, oczko, które developer zlikwidował. Walczyliśmy

o ten zbiorniczek retencyjny, ale developer, właściciel „Krówki Milanowskiej”, miał większą siłę przebicia. Wtedy zwierzątka – żabki, jeże, ptactwo – znad tego oczka zaczęły się przenosić do nas.

Z ludźmi i przyrodą to samo – nie wszystko można przewidzieć.

A. S.: Masz rację. Pogody – w tym i sucho – nie przewidzisz.

Z. K.: Tu też jest strach przed suszą, niepokój rosnący. Jeśli do niej dojdzie, ludzie nie wygrzebią się ze strat. Ucierpią też wszelkie zwierzątka, małe i większe...

L. L. P.: To raz. Po drugie Ty już nie będziesz w stanie ratować roślin podlewaniami, co czasem robisz, bo ujęcie masz swoje. Gdy ono wyschnie, z miejskiej sieci wody nie pociągniesz, gdyż najpierw zbankrutujesz, a potem karę Ci wlepią.

Z. K.: Zgadza się. Można by studnię pogłębiać, ale czy na pewno – nie wiem. Co się stanie – jest nie do przewidzenia.

W tej chwili dla przyrody jest ciężkawo, zobaczymy, co będzie dalej. Wszystko przed nami.

Staram się, by wszystko trwało jak najdłużej, żeby ogród dawał zadowolenie i wytchnienie mieszkańcom i odwiedzającym.

L. L. P.: Jeśli zima '25 / '26 będzie łagodna i znowu nie będzie śniegu, ponownie zagrożony nam susza...

Z. K.: Możliwe, to będą znowu ciężkawe chwile. Nie musi tak być, może się to zmienić, ale na razie tak to wygląda. Toteż na razie jest ostre hartowanie dla wszystkiego. Im dłużej ten ogród obserwowałem, tym bardziej starałem się o różne rośliny słabochetne tak dbać, by one darowały sobie radę, niczym dzikie rośliny różne, zioła, trawy i roślinki, na jakie mówimy „chwaścioro”, które na pewno przeżyją. I ja zacząłem ogród trochę tak traktować, żeby nabierał

siły i hartu, dając sobie radę, gdy nadejdą ciężkie czasy. I to mi się udało. Rzecz w tym, by te rośliny umiejętnie mogły istnieć nawet w ciężkich warunkach. A kiedy widziałem, iż jest im bardzo ciężko – wtedy podlewałem.

A. S.: Czyli rośliny do pewnych granic są w stanie zaakceptować gorsze warunki...

Z. K.: *Zdecydowanie. Aż byłem pewien podziwu – są rośliny bardzo wrażliwe, na które trzeba chuchać i dmuchać, a one jednak potrafią się zmobilizować – umiejętnie korzenie puścić albo głębiej albo inaczej, żeby dawać sobie radę. Przystosowują się po prostu.*

L. L. P.: Przyszedł jednak moment, że ten ogród, jaki jest i będzie, przestał Ci wystarczać. Zacząłeś sobie przypominać, iż skończyłeś Akademię i – choćby w związku z tym, co się w kraju dzieje – wypadaloby porysować, najpierw może bardziej jako obywatel, dopiero później jako artysta. Z czasem to się wyrównało, bo podejrzewam, że najpierw traktowałeś rysunki jako „misję” wkurzonego Polaka.

Z. K.: *Zdecydowanie tak. I to było dokładnie wówczas, kiedy pod Smoleńskiem wydarzyła się ta tragedia. Oraz to, co później się działo, z działaniami rządu Tuska wokół tego... Człowiek by w ogóle nie przewidywał, że tak można to wszystko rozgrywać, że tak potwornie jesteśmy doświadczani, zresztą po raz kolejny i tak ulegli w stosunku do Sowietów (bo to nadal Sowietci). Słuchając przy tym ludzi starszych, co przeżyli wojnę, to nikt zdecydowanie nie popierał wtedy tego, co rząd robił, będąc zdania, iż to jest celowa sprawczość Sowietów. A nasz rząd jakby współgrał. To było takie ciężkie doświadczenie i pomyślałem: „Co ja mogę zrobić, jako jednostka? Cóż da się zrobić przy takiej beznadziei?”. Doszedłem do wniosku, że mogę coś narysować na*

ten temat, coś od siebie – inne spojrzenie na to wszystko ze swojej strony. I tak się narodziła sprawa mojego komentarza satyry politycznej na tematy, które rząd w Polsce realizował. Bez zaciętrzewienia, da się tak...

L. L. P.: Zaiste, u Ciebie tego zaciętrzewienia nie ma. Jest raczej ciepły smutek. Smutek, iż to w ogóle ma miejsce, bo teoretycznie to nie powinno mieć miejsca, co się w RP dzieje, jednak mamy z tym do czynienia bez przerwy. I bez przerwy, tak jak Michaś Graczyk ma prawo tworzyć swoje rysunki i pokazywać Polskę przasną taką, jak za Gomułki, bo w gruncie rzeczy w głębi naszych polityków to wszystko siedzi bardzo mocno i wyłazi od czasu do czasu, z takiego pana Hołowni na przykład, to u Ciebie jest to i ciepłe i miejscami wręcz... poetyckie, dzięki czemu troszeczkę osładzasz gorycz tego, co przedstawia rysunek.

Z. K.: *Może nie od początku, ale dość szybko się zorientowałem, że trzeba mieć jak najwięcej dystansu do tego, co pokazuję, aby uniknąć zaciętrzewienia i złych podpowiedzi własnych myśli, żeby to przedstawiać tak jakby „po latach”, z dużym – naprawdę dużym – dystansem myślowym. Iżby to było łatwiej i obiektywniej przedstawić. Ciężka była nieraz to walka, bo emocje w człowieku grały, ale trzeba to było przeżuć, by do różnych spraw, które się działy, z dystansem podchodzić. I te rysunki od początku wystawiałem na targowisku.*

L. L. P.: O właśnie. Zrobiłeś sobie taką jedno – dwu-rysunkową galerię w dni targowe na grodziskim rynku. Ile razy Ty tam byłeś, był jakiś rysunek.

Z. K.: *Tak i ludność – przypadkowa, nie wybrana, tylko taka, jaka przychodzi, oglądała to, komentowała, a tam, gdzie wystawiałem, to gość, sprzedający chleb miał*

zawsze największą kolejkę. Ale to trwało do jakiegoś momentu, bo później coś tam zazgrzytało, zacięło się i wtedy ja, który też nosiłem na targ płody – trochę rolne, później ogrodowe, zacząłem to wystawiać jako ja – obojście już. Nikomu innemu nie darwałem od tego czasu prac do prezentacji.

Do tej pory się to ciągnie. Nieraz myślałem, iż już dość, ale nadchodzą kolejne wydarzenia i nie dają od komentowania odejść, niestety. Nie ma zgody po prostu na te różne działania ciężkie wobec narodu. A jeszcze do tego dochodzi taka sprawa, że z tego nie mam żadnych tzw. korzyści materialnych, tak jak Ty wydawałeś i rozsyłałeś przez 10 lat „Ulicę Wszystkich Świętych” wyłącznie za swoje złotówki... Ale tylko to daje niezależność! Traktujmy te satyry jako moją działalność społeczną. Nawet, gdy ktoś był chętny, by prace odkupić, nie starałem się tego upłynniać, by uzyskać jakieś finanse. Bo starałem się być w zgodzie ze sobą. Tak samo nie chciałem innych angażować, żeby czasem nie narazić ich na jakieś nieprzewidziane konsekwencje mojego działania... W sumie taki byłem, co nie przystaje, źle się czuje w „ludzi kupie”, tylko raczej taki indywidualny gościu...

A. S.: Czyli jak dotąd wydania albumu tych prac nikt Ci nie zaproponował?

Z. K.: Nie. Tylko były takie luźne wypowiedzi, iż dobrze byłoby wydać. Ale z tymi, co by chcieli to wydać, to już gorzej. Nie ma chętnych. Mają pewnie jakieś obawy... Mogą mieć obawy, mogą też chcieć, a nie mieć pieniędzy.

A. S.: Niestety, najprostszą edycją kosztuje. I to jest fakt. Galerie również – jakoś tak: na dystans, na dystans... Trochę Cię było widać w Necie, ale też raczej ilustracyjnie tylko. Dla galerii to już za duża polityka. Poza tym myślę, że u Ciebie w grę wchodzi to, iż ani za Tobą nie

stoi żaden towarzysz, ani żaden weteran styropianu. I robi się problem.

Z. K.: Ano nie!

L. L. P.: Bo za Tobą stoi Pan Zbigniew Kot! I tyle!

Z. K.: (Śmiech). Zgadza się. Tylko w którymś momencie, gdy się pomyślało, to objawił się wniosek, że mam szerokie możliwości działania.

L. L. P.: Ależ oczywiście. Bo to daje szerokie pole do działania, dużo możliwości, ale też w razie czego nikt się za Tobą nie ujmie, gdy się zorientują, że za plecami masz pusto. Bo podejrzewam, iż w tej chwili niejedną się zastanawia, kto tam za tym Kocurem, gdzieś za płotem, daleko, się czai, że on takie rzeczy pokazuje?

Z. K.: I czasem sobie myśli: „On taki samodzielny, a może jednak coś... Nigdy to nie wiadomo”.

A. S.: Poniekąd to i dobrze, bo w tym momencie odważnych, którzy by Cię zaczepili – w zasadzie nie ma....

Z. K.: A bywało, że trochę było...

L. L. P.: A bywało, jak sam mówiłeś... I nazwiska możemy sobie darować. Ale bardzo się im nie podobało, bardzo. Chociaż przynajmniej uczciwie wyrazili swój stosunek do tego, to rzecz inna. A mogli przecież gdzieś to robić za plecami. Lepsze to niż knucie gdzieś tam. W każdym razie myślę, iż jesteś pupilem przynajmniej części stałej załogi bazaru w Grodzisku.

Z. K.: Chyba tak. Życzliwości różnych doznałem.

A. S.: Wiedzą z czym Cię kojarzyć, bo trudno nie zauważyć, jakie ten facet ma poglądy, skoro takie rysunki przez tyle czasu (bo to i całkiem sporo lat mija) pokazuje i nie przestaje pokazywać. Chyba że go nie ma na bazarze, wtedy i rysunków nie ma.

Z. K.: *Widzę, iż są i tacy, którzy poprzez swoje wypowiedzi okazywali mi dużo życzliwości.*

L. L. P.: I to jest bardzo ważne, bo zazwyczaj w każdej sztuce, bez względu na to, czy jest to sztuka, pokazująca nenufary czy mosty na Tamizie lub Sekwanie, czy jest to sztuka, będąca sztuką satyryczną, ale jednak sztuką – jest dla kogoś, jest dla ludzi. Sam dla siebie tego nie robisz, bo Ty dobrze wiesz, co rysujesz. Chcesz powiedzieć przez to coś tym, którzy może jeszcze nie wiedzą, a mają szansę się dowiedzieć z Twoich rysunków.

Z. K.: *Popatrzcie – niby ogród, piękne otoczenie, można wytchnąć, ale tu ładunki emocjonalne tego, co dzieje się w Polsce – przecież to niesamowite. Rysunki to mój sposób, aby odreagować, żeby się nie dać stłamsić, sponiewierać psychicznie poprzez to, co się dzieje.*

A. S.: Ale dzięki temu również, dzięki swoim pracom, wielu ludzi podtrzymujesz na duchu – rysowanie i ku pokrzepieniu serc...

Z. K.: *Podjeżdżam, że tak. Tym bardziej, iż to działalność nie finansowa a wartościowa.*

L. L. P.: Jakimś namacalnym przypomnieniem Smoleńska jest grób majora Protasiuka nie tak daleko od Ciebie. I on jest, on nie zniknie przecież, czyli istnieje cały czas takie miejsce, gdzie można pójść, zastanowić się, pomodlić się, pomyśleć – i, niestety, wracać stamtąd w przekonaniu, że właściwie nic się nie zmieniło.

Z. K.: *Teraz mi przypomniałeś, jak świeżo po katastrofie u Protasiuka znicze zapalali, wieńce przynosili prości ludzie. Wtedy żył jeszcze mój brat, Andrzej, przychodziliśmy z nim na ten grób i zawsze zostawiali-*

śmy od siebie jakieś wieńce z gałęzi, a przy tym były takie drobne, przeze mnie robione a przez Andrzeja pięknie wykaliografowane, bo Andrzej znakomitym był kaligrafem, takie rysunki, żeby nie zaginęło wśród ludzi, kim był ten pan Protasiuk, ani co się pod Smoleńskiem stało. Nawet w którymś momencie ludzie uważali, że jesteśmy rodziną pilota, tak nas zaczęli kojarzyć.

L. L. P.: Cóż, miłe, jest to rodzaj psychicznej rodziny. Czujesz się związany z majorem, mimo iż nie był to żaden Twój kuzyn, ale wiesz, kim on był i w tym momencie wsiąkasz jakoś w ten krąg. A że mieszkasz blisko, trudno tam czasami nie pójść.

Z. K.: *Teraz też, kiedy jakiś częsty gość przyjedzie na Zacisze to idziemy, pieszo, albo z rowerami, na grób pilota Tu-154. Zapalamy znicze, milczymy...*

L. L. P.: Chciałbyś już przestać rysować, czyli dążyć do takiej sytuacji, gdy nie musiałbyś odreagowywać? Czy wierzysz, że tak będzie, czy w to nie wierzysz?

Z. K.: *Nie, no wiara musi być, bo inaczej człowiek by się zniechęcił do wszystkiego. A tu jednak trzeba się cały czas odradzać i nie dawać.*

A. S.: Ale wtedy, podejrzewam, robiłbyś inne rysunki. Nie takie, ale rysunki, bo już się człowiek wciągnął.

Z. K.: *Nie wiem. To natóg nie jest, tylko taka potrzeba serca i ducha. Bardzo lubię być w ogrodzie i tam się krzątać...*

A. S.: Bo ogród to jest właściwie Twoje życie w tej chwili...

Z. K.: *Jak widzisz, kiedy takie małe roślinki, mikrusy niemal, wydawałoby się – słońce je spali – a dają sobie radę... Wtedy wiesz, że można się dużo nauczyć od przyrody.*

L. L. P.: Czyli chciałbyś dożyć takiej sytuacji, kiedy nie musisz już komentować

rzeczywistości politycznej i możesz się bawić tylko w ogród.

Z. K.: *No, to fajnie by było. Może takie momenty nadejdą.*

L. L. P.: Nasza siła to pola, łąki, ogrody. Czasem ludzie. Mało ich – ale są, nie ma tragedii jeszcze, od czasu do czasu są.

Rozmawialiśmy nie tak dawno nt. bajki Kiplinga o „Kocie, który chadzał zawsze własnymi drogami”. I to by mogło służyć za podsumowanie. Że mianowicie panu Zbigniewowi K. nie są potrzebne pieniądze, przynajmniej zbyt duże, do tego, żeby się osadzić w swoim ogrodzie, żeby go rozwijać, pielęgnować i być szczęśliwym na swój, Koci sposób. Byłoby mu niewątpliwie lepiej, gdyby politycy nie byli tak niewiarygodnymi, jakimi są, ale

ponieważ są – to przynajmniej tak ich próbuje podsumować przez swoje rysunki i teksty, bo jak to Andrzej kiedyś robił, dodajesz do prac komiczne często komentarze, słowne uzupełnie.

Z. K.: *Ku chwale Ojczyzny!*

L. L. P.: Wszystko jest ku chwale Ojczyzny! I ku chwale ogrodu.

Z którego lepiej teraz nie wychylać za bardzo nosa, bo trafi się natychmiast na rzędy developerskich obór mieszkalnych. Zostańmy więc na łonie przyrody, dziękując i za rozmowę i za walory estetyczne dokoła.

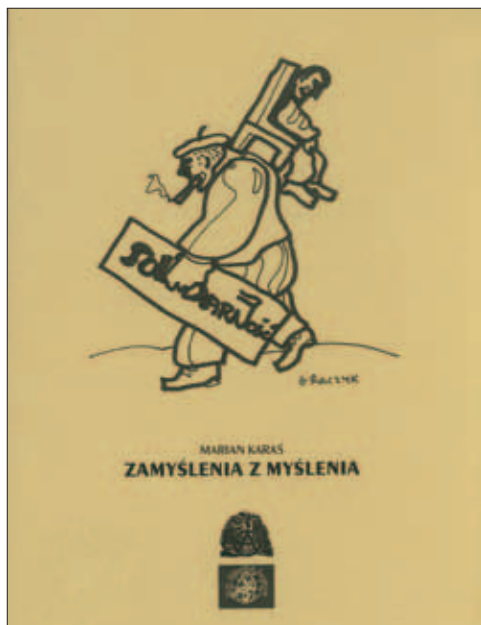
We wrześniu AD 2025 ze **Zbigniewem Kotem** rozmawiali:
Lech L. Przychodzki & Andrzej Sikora



Zbigniew Kot i Lech L. Przychodzki kąpią Oczko, który właśnie przybył do Kocięgo ogrodu.
Fot. Agnieszka Brytan. Foty prac: Andrzej Sikora, foty Kocięgo ogrodu: L. L. Przychodzki

Marian Karaś

Aforyzmy



XXX

Aktorzy wiedzą, jak wejść na scenę i jak z niej zejść,
Politycy potrafią tylko to pierwsze.

XXX

Najnowsze dzieje Polaków można zawrzeć w jednym zdaniu:
Za mali na wielkość, za wielcy na małość.

XXX

Jestem religijny -
Nie tracę wiary w siebie.

XXX

Dobry dziennikarz to taki dyletant,
Który potrafi udowodnić nieuctwo
Także uznanym autorytetom.

XXX

Dążąc do rozbrojenia
Warto uzbroić się w cierpliwość.

XXX

To, że jakaś grupa pacjentów uciekła z domu wariatów
Nie znaczy, iż mają oni prawo nazywać się politykami.

XXX

Niechaj historycy uczą historii,
Bo jej tworzenie nie najlepiej im wychodzi.

XXX

Gdyby świat tworzyli wyłącznie konformiści,
Do dziś tkwilibyśmy w epoce kamienia łupanego.

XXX

W drodze do świętości
Nie wystarczą pobożne życzenia.

XXX

Skoro nadzieja jest matką głupich oznacza to,
Że mądrzy są beznadziejnymi sierotami.



Aforysta w parku na tarnobrzeskim Dzikowie.
Fot. L. L. Przychodzki

Lucjan Wesołowski

Wiesz, wnusiu, to było tak...

Kiedy miałem trzy lata, mama musiała wrócić po urlopie macierzyńskim do pracy, zostałem więc oddany na wychowanie babci Marii i dziadkowi Franciszkowi, rodzicom mamy. Dziadek jakiś czas później zmarł, zostaliśmy we dwójkę z babcią. Mieszkaliśmy z nią do czasu, gdy skończyłem siedem lat i poszedłem do szkoły. Wróciłem wtedy do rodziców, byłem już wystarczająco duży, żeby radzić sobie samodzielnie, gdy rodzice byli w pracy. Kochałem babcię, była zawsze dla mnie dobra, jestem jej wdzięczny za serce i opiekę. Czułem się z nią bezpiecznie, to były dobre lata, choć tęskniłem bardzo za mamą. Mam sporo wspomnień z tamtego okresu, jedno z nich wraca do mnie do dzisiaj...

– Babciu, przyjedzie do nas ciocia Aniela, tak?

– Tak, wnusiu, w przyszłym tygodniu.

– To fajnie, dawno jej nie widziałem, to już 2 lata jak nie jeździmy latem na wieś do Mieszkowa... A bardzo ją lubię.

– Dzień dobry, ciociu! Jak poszła podróż? Czy wujek Wojtek jest zdrowy? A reszta rodziny? – Wszyscy mają się dobrze, dzięki Bogu. A co u Ciebie, Bogusiu? Jak się czuje mama, tato?

– Mama ma kłopoty z woreczkiem żółciowym, poza tym wszystko w porządku.

Babcia i jej siostra (którą nazywam nieprecyzyjnie ciocią, ale nie używano innego określenia w stosunku do siostry babci) rozmawiają żywo, wpatrzone w siebie, z radością bliskich sobie ludzi, którzy dawno się nie widzieli. Patrzą na babcię i jej siostrę, widać podobieństwo, podobnie się uśmiechają, mają podobny blask w oczach... Choć babcia jest jakby mocniejsza, bardziej stanowcza i zdecydowana, ma też wyrazistszą mimikę...

– Babciu, ciociu, jakie wy jesteście podobne!

Babcia i ciocia wybuchają śmiechem, ale jakiś dziwny jest ten śmiech, jakby coś się za nim kryło... Babcia odpowiada z uśmiechem, ale jakimś specyficznym tonem, jakby z przyganą:

– Przecież jesteśmy siostrami, to musimy być podobne...

– Babciu, to już 12 lat, jak nie mieszkamy razem, ale pamiętam pewną sytuację, która nie daje mi spokoju. To było wtedy, gdy była u nas ciocia Aniela, miałem wtedy może 5 lub 6 lat. I w pewnym momencie powiedziałem, że jesteście do siebie bardzo podobne, a wy jakoś tak się dziwnie śmiałyście... I w ogóle z czego tu się śmiać, ja powiedziałem tylko, iż jesteście podobne... Zastanawiam się nieraz, o co chodziło...

– No dobrze, wnusiu, jesteś już dorosły, mogę Ci to wyjaśnić. Widzisz, sprawa jest trochę skomplikowana... My jesteśmy siostrami i nie jesteśmy... Miałyśmy tę samą mamę, ale jesteśmy z różnych ojców.

– Jak to?

– No, tak się zdarzyło... Jeśli chcesz, to ci opowiem.

– Wiesz, wnusiu, to było tak: moja mama, gdy miała 16 lat poszła na służbę do miasta. Była służącą w pewnym domu. Tak było często kiedyś, bogaci ludzie przyjmowali do siebie wiejskie dziewczyny na służbę, dla tych dziewczyn to była szansa na zarobek i trochę lepsze życie niż na wsi. Dowiadywały się różnych rzeczy, zdobywały wiedzę o świecie, której na wsi nie mogłyby zdobyć. Uczyły się gotowania inaczej, nabywały miejskich nawyków. Później miały większą wartość jako ewentualne żony dla chłopaków ze wsi. A czasem zdarzało się, że poznawały chłopaka z miasta i już tam zostawały. Bywało różnie, nieraz miały te dziewczyny kłopoty z państwem, zwłaszcza z panami, ale na ogół chętnie szło się na służbę do miasta. Moja mama też poszła chętnie do miasta, chciała wyrwać się z wiejskiej nudy, była inna niż wszystkie wiejskie dziewczyny, ciekawa świata, odważna, zdecydowana... Dobrze trafiła, państwo byli dobrzy, nie wykorzystywali jej, miała swój kątek i trochę czasu dla siebie każdego dnia. Kotoń był wtedy małym miastem, miał może 6 czy 7 tysięcy mieszkańców, ale i tak dla mojej mamy był wielką odmianą po życiu we wsi... Codziennie po służbie wychodziła „na miasto”, przyglądała się ludziom, budynkom, przedmiotom w sklepach i na straganach...

Pewnego razu zobaczyła na ulicy chłopaka, który szedł ze starszym panem, wyglądającym na jego ojca. Oby-

dwaj byli ubrani inaczej niż większość ludzi widzianych na ulicy, po żydowsku, ale w bogaty sposób. Starszy pan, jak się później okazało, był rabinem. A młodszy pan był jego synem. Ten młody człowiek miał w sobie coś niespotykanego, coś co przyciągnęło uwagę mojej mamy. Miał spojrzenie, które znamionowało inność, jakiś dziwny blask w oczach... Ten chłopak miał w sobie światło, rozciągał wokół siebie jakąś niezwykłą aurę, chociaż szedł spokojnie i nic nie mówił. Mama bardzo się nim zainteresowała. Natychmiast wypytała ludzi na ulicy, kim są ci dwaj panowie, a potem starała się zobaczyć ich znowu. Chodziło jej oczywiście o młodego człowieka, rabin nie budził jej zainteresowania...

Po jakimś czasie spotkała ich znowu, potem jeszcze raz, a potem zdarzyło się, że syn rabina szedł ulicą sam. Wtedy zupełnie nie było przyjęte, żeby zaczepiać ludzi, ot tak, na ulicy. A już żeby 16-letnia dziewczyna zaczepiała młodego mężczyznę, to się nie mieściło w głowie. Jednak moja mama była niezwykłą dziewczyną. Nie przejmowała się tym, co myśleli i mówili inni ludzie, szła za głosem serca. Nieraz miewała z tego powodu kłopoty. Można powiedzieć, iż ja jestem owocem tej jej postawy, tej odwagi, zgodności z tym, co jej dyktowało serce. ... Syn rabina miał na imię Eliezer, jak dowiedziała się wtedy moja mama, która po prostu podeszła do niego, powiedziała mu „Dzień dobry” i zapytała, jak się nazywa. Eliezer miał to imię z *Biblii*, tak się nazywał jeden z synów Mojżesza. Chłopiec był bardzo uprzejmy, odpowiedział jej, a dla niego mogło być bardzo krępujące rozmawianie na ulicy z obcą dziewczyną i do tego Polką. Mógł po prostu

odwrócić się i odejść. Jednak nawiązała się rozmowa, w wyniku której obydwójce postanowili spotkać się znowu. To umówione spotkanie miało miejsce o zmroku w jakimś ustronnym miejscu, ponieważ byłoby bardzo źle widziane zarówno w rodzinie Eliezera, jak i w rodzinie mojej mamy, spotkanie się młodych ludzi bez wiedzy i zgody ich rodziców. Wtedy w ogóle nie było takiego zwyczaju, żeby młodzi ludzie spotykali się na osobności. Małżeństwa były ustalane przez rodziców, którzy wybierali synom i córkom partnerów życiowych, a same dzieci miały do powiedzenia niewiele albo zgoła nic. Potem były następne ukradkowe spotkania, raz czy dwa nawet w kościele, do którego każdy mógł wejść o dowolnej porze. Mama i Eliezer świetnie się rozumieli, mojej mamie chłopak imponował wiedzą i dobrym wychowaniem, a jemu chyba podobała się żywość, odwaga i pewność siebie mojej mamy. Eliezer kochał książki, umiał czytać w kilku językach, opowiadał jej ciekawe rzeczy, o których dowiedział z wielu książek, jakie przeczytał i gazet, które kupował jego ojciec. Mama słuchała go z zaciekawieniem, wypytywała o różne rzeczy, a była dziewczyną rozgarniętą, więc dobrze im się rozmawiało.

Po pewnym czasie obydwójce poznali sobie miłość. Jednak nie było szans na to, aby stali się małżeństwem. Rabin już upatrzył dla swojego syna odpowiednią żydowską dziewczynę z dobrej rodziny, a rodzice mojej mamy zupełnie nie wyobrażali sobie, żeby mogła ona wyjść za mąż za jakiegoś żydowskiego chłopaka. To wtedy było po prostu niemożliwe... Tak samo było z drugiej strony, Żydzi nie żenili się z Polkami. Teoretycznie

było to możliwe, bo w Prusach istniały śluby cywilne, a Raszków był w zaborze pruskim. W pozostałych zaborach były tylko śluby religijne, więc nie mogli się pobierać ludzie różnych wyznań. Jednak także w zaborze pruskim nie zawierali małżeństw Polacy i Żydzi. Ale serce nie służy, moja mama i Eliezer nadal spotykali się po kryjomu, aż któregoś razu Eliezer wyznał, że ojciec porozumiał się ostatecznie z rodziną jego przyszłej żony, wszystko jest już ustalone i wkrótce będzie podany termin jego ślubu, a będzie on miał miejsce w ciągu najbliższych kilku miesięcy. Moja mama była zrozpaczona. Co gorsza, jej rodzice dowiedzieli się w jakiś sposób (może doniósł im ktoś z miasta, kto ich znał), że córka z kimś się spotyka i postanowili zabrać ją ze służby, co oznaczało szybkie zakończenie znajomości z Eliezerem. Jej ojciec poszedł do państwa, u których służyła i powiedział, iż zabiera ją z powrotem. Oni zgodzili się, ale pod warunkiem, że mama zostanie u nich do końca miesiąca, a oni w tym czasie poszukają innej służącej. Dziadek zgodził się, tak wypadało. To oznaczało, iż mamie i Eliezerowi zostało już bardzo mało czasu na spotkania. Po odejściu ze służby mama nie mogłaby chodzić do miasta, aby się zobaczyć z ukochanym... Nasza wieś leży w odległości 5 km od Kotonia, nie było możliwe, żeby wędrować na pieszo z Raszkowa do Kotonia tylko po to, żeby spotykać się z Eliezerem; musiałby zaistnieć jakiś ważny powód, żeby opuścić Raszków choćby na parę godzin, a i tak byłoby to tylko kilka miesięcy do czasu, kiedy Eliezer by się nie ożenił, bo oczywiście wtedy już żadne kontakty nie wchodziłyby w grę.

Aż przyszedł dzień, kiedy Eliezer powiedział mamie, że ojciec dowiedział się o jego kontaktach z nią i zabronił mu się z nią spotykać. Zresztą i tak było już blisko do końca miesiąca, czyli do chwili odejścia mojej mamy ze służby. Siedzieli w milczeniu schowani gdzieś przed wzrokiem ludzi, aż zapadła noc. Trzeba się już było pożegnać na zawsze, ale żadne z nich nie potrafiło tego powiedzieć. Aż w końcu przytulili się, pocałowali i jakoś tak się stało, iż zapomnieli o całym świecie. Potem wstali, otrzepali się, popatrzyli na siebie i odeszli każde w swoją stronę. To był ostatni raz, kiedy się widzieli. A moja mama dziewięć miesięcy później urodziła dziewczynkę, czyli właśnie mnie...

Był to straszny kłopot, urodziny dziecka bez małżeństwa były wtedy wydarzeniem, które stawiało w bardzo złym świetle dziewczyny czy kobietę. Zdarzały się takie sytuacje z różnych powodów, ale był to zawsze wielki problem. Rodzice mojej mamy postanowili znaleźć jej męża, chociaż mama za nic tego nie chciała, myślała nadal o Eliezerze i nie miała zamiaru wychodzić za mąż. Próbowano się upierać, chciała wychowywać mnie sama, jednak w tamtych czasach dzieci, mieszkające z rodzicami, niewiele miały do powiedzenia. Dziadkowie chcieli jakoś rozwiązać problem, nie chcieli być wytykani palcami w kościele czy na drodze jako ci, którzy nie potrafili dobrze wychować córki ani jej choćby upilnować. Chcieli ją wydać za mąż i odzyskać choćby częściowo spokój ducha i szacunek sąsiadów. Najlepiej zaś byłoby ją wydać za kogoś, kto by mieszkał daleko i zabrałby ją z dzieckiem do siebie... Oczywiście znalezienie męża dla mo-

jej mamy było bardzo trudne, bo żaden normalny kawaler nie chciał dziewczyny z dzieckiem. W końcu znalazł się ktoś taki, kto nie odrzucił od razu propozycji swatki, a przekonano go dużym posagiem i obietnicą przejęcia gospodarstwa, gdyż mama była jedynym dzieckiem. Wtedy rodziny były duże, wielodzietne, moim dziadkom urodziło się więcej dzieci, ale przeżyła tylko moja mama, pozostałe zmarły w dzieciństwie. Ten kawaler to był chłopak z sąsiedniej wsi, biedny, bez swojego gospodarstwa, więc nie wchodziło w grę oddalenie mamy. Trzeba było go przyjąć do naszego domu. Na szczęście dla mnie i mojej mamy był to człowiek dobry, który zaopiekował się mną jak własnym dzieckiem, a moją mamę traktował z szacunkiem, co wtedy było raczej rzadkie. Mama powoli pogodziła się z losem, choć nie zapomniała o Eliezerze. Nieraz płakała bez powodu, czasem siadała i patrzyła gdzieś przed siebie przez parę godzin albo chodziła cały dzień smutna jak nieszczęście... Tak mi później opowiadali dziadkowie, jak już podrosłam. Nie było jej łatwo, serce wrywało się do Eliezera, jednak życie codzienne, praca na roli i w domu w końcu przyniosły uspokojenie. A po jakimś czasie urodziła się Aniela, która jest moją siostrą przyrodnią. Teraz rozumiesz już sam, dlaczego tak się dziwnie śmiałyśmy... Tak, jesteśmy do siebie podobne, jak powiedziałeś, ale też niepodobne. Teraz obie jesteśmy siwe, ale kiedyś nasze włosy miały inny kolor. Ciocia miała jasne włosy, była blondynką jak mama i jej ojciec i jak większość ludzi na wsi, ja zaś miałam włosy czarne, pewnie jak mój żydowski ojciec. Ciocia ma niebieskie oczy, tak jak mama i ojczym, a ja – jak widzisz

– mam oczy brązowe, też po ojcu... Jak spojrzysz na nas z boku, to widać, że jesteśmy inne... Aniela ma taką twarz jak ludzie z naszej okolicy, a ja mam zagięty, żydowski nos, inny kształt oczu i brwi. No i mamy trochę inne charaktery, chociaż wychowałyśmy się razem. Ciocia jest łagodna, spokojna po ojcu, a ja potrafię krzyknąć, postawić się, tak jak mama. Pewnie pamiętasz takie sytuacje, kiedy mitygowałam twojego ojca, gdy sobie za dużo pozwalał. No i kocham książki, jak mój żydowski ojciec, sam widzisz, wnusiu, iż jak tylko mogę, to zaraz chwytam w ręce jakąś książkę albo choćby gazetę...

– Wiesz, wnusiu, to było tak: Pewnego razu moja mama poszła na mszę, jak w każdą niedzielę, do sąsiedniej wsi.

– Do Maszkowa, tak?

– Tak. Pewnie pamiętasz, że w Raszkowie nie ma kościoła. Osiemdziesiąt lat temu też go nie było, a w Maszkowie był. To tylko trzy kilometry, niedaleko. Chociaż zimą, gdy akurat wiał silny wiatr, to nie była to łatwa wyprawa. W kościele było zimno, wracało się zmarzniętym na kość. Mama zwykle chodziła na mszę z rodzicami, a potem wszyscy wracali od razu do domu, ale wtedy z jakiegoś powodu rodzice zostali w domu, może któreś z nich było chore... Mama już była dorosła, miała 16 lat, w tamtych czasach już się wtedy wychodziło za mąż. Więc można było też iść do kościoła w pojedynkę. W kościele spotkała znajome dziewczyny z Maszkowa, a gdy wyszła z nimi, podeszli do nich jacyś mili chłopcy, chyba z innej pobliskiej wsi. I ci chłopcy zaprosili te dziewczyny i moją mamę do karczmy, żeby napić się piwa.

Nie było to zbyt dobrze widziane, aby chodzić do karczmy z chłopcami i to świeżo poznanymi, ale była to jakaś wyjątkowa okazja, chyba jakieś święto kościelne, zaś chłopcy byli grzeczni i dobrze wychowani, pewnie z dobrych rodzin. Gdy cała kompania weszła do karczmy, moja mama zobaczyła za szynkwasem żydowskiego chłopaka, syna pachciarza czyli arendarza, innymi słowy tego pana, który dzierżawił gospodę. Że to jest syn pachciarza, powiedziały jej później te znajome dziewczyny z Maszkowa. Mama wlepiła w niego oczy i nie mogła ich oderwać. Chłopak miał w sobie coś niezwykłego, był inny niż wszyscy chłopcy, których dotąd widziała. Nie był szczególnie przystojny, ale całkiem odbiegał wyglądem od chłopców, których dotychczas widywała. Ten młody mężczyzna miał w sobie coś niespotykanego, coś co przyciągnęło uwagę mojej mamy. Miał spojrzenie, które znamionowało inność, jakiś dziwny blask w oczach... Ten chłopak miał w sobie światło, rozświecał wokół siebie jakąś niezwykłą aurę. Chłopiec zauważył jej zainteresowanie i uśmiechnął się do niej. Ona, nie wiedząc co robi, odwzajemniła ten uśmiech. Nie było to wtedy czymś normalnym, aby uśmiechać się do ludzi, których się nie znało, wręcz było to bardzo dziwne, jednak tak się między nimi zdarzyło. Od tego czasu moja mama, kiedy tylko mogła, starała się znaleźć w Maszkowie, aby móc wejść choć na chwilę do gospody i zobaczyć tego chłopaka. Był tam sklep, którego nie było w Raszkowie, więc jak tylko brakowało czegoś w gospodarstwie, mama na wypródkę biegła do Maszkowa. Zdarzały się też inne okazje, na przykład trzeba było coś załatwić z księdzem

i tym podobne. Czasami jej się udawało zobaczyć tego chłopaka, czasami nie, bywało, że za szynkwasem stał jego ojciec, ale zdarzyło się kiedyś, iż moja mama była w jakiejś sprawie w Maszkowie i weszła do gospody, w której był akurat tylko ów chłopak, a nie było żadnych gości ani nikogo z jego rodziny. Mama, która była dziewczyną odważną i pewną siebie zagadała do niego. Chłopiec nawiązał z nią rozmowę, mimo faktu, że przynależeli do różnych narodów. Bywało tak, iż Żydzi utrzymywali jakieś kontakty z Polakami czy Polacy z Żydami, ale raczej rzadko. Żyło się raczej obok siebie, tylko załatwiano się sprawy, jak na przykład zakupy w żydowskim sklepiku czy zamówienie gorzałki w gospodzie. A zwykle trzymano się na dystans. Inna religia, zwyczaj, język... Tutaj dystansu nie było, mama i ten chłopak zaczęli rozmawiać i przypadli sobie do gustu. Chłopiec był niewiele starszy od niej, a miał na imię Szlomo, po naszymu Salomon. Po jakimś czasie wszedł ktoś i trzeba było przerwać rozmowę. Gość wypił coś i wyszedł szybko, więc mogli jeszcze chwilę porozmawiać. Postanowili oboje kontynuować spotkania. Nie było to łatwe, ale mówi się, że dla chcącego nic trudnego. I co jakiś czas widywali się – czasami krócej, czasami dłużej. Mama szukała okazji, by pójść do Maszkowa, wchodziła na chwilkę do gospody, a Szlomo wymykał się pod jakimś pozorem po pewnym czasie, gdy był w gospodzie we dwójkę z ojcem albo gdy na jego prośbę ojciec mógł przyjść z izby, w której Szlomo z rodzicami mieszkali przy gospodzie i zastąpić go za szynkwasem. Mama i Szlomo spotykali się w zagajniku za wsią, żeby ich nikt nie widział i rozmawiali tak długo, jak tylko mogli. Dobrze się czuli razem, mojej mamie Szlomo imponował wiedzą i dobrym wychowaniem, zawsze był wobec niej bardzo grzeczny i uprzejmy. Jemu zaś chyba podobała się żywość, odwaga i pewność siebie mojej mamy. Szlomo kochał książki, umiał czytać po hebrajsku, po polsku i po niemiecku, opowiadał jej ciekawe rzeczy, o których dowiedział z książek i gazet, jakie czasem wpadały mu w ręce. Mama słuchała go z zaciekawieniem, wypytywała o różne rzeczy, a była dziewczyną rozgarniętą, więc dobrze im się rozmawiało.

Po pewnym czasie obydwójce wyznali sobie miłość. Ale nie było szans, aby mogli być razem jako mąż i żona. Żydzi i Polacy żyli osobno, nie było małżeństw mieszanych, zwłaszcza na wsiach. W miastach bywały czasem takie małżeństwa, ale jedno z małżonków musiało wtedy zmienić religię. Raczej się nie zdarzało, żeby ktoś przechodził na religię żydowską, a i przejście na chrześcijaństwo też zdarzało się w tamtych czasach rzadko. Żydzi wtedy mocno trzymali się swojej religii. Chociaż czytałam o sekcie frankistów, w której wielu Żydów przyjęło chrzest, ale to inna historia...

Rodzice mojej mamy zaczęli coś podejrzewać. Mama zbyt chętnie chodziła do Maszkowa, za długo tam przebywała, gdy poszła w jakiejś sprawie. Ale nie zabraniali jej chodzenia do Maszkowa, w końcu ktoś musiał kupować rzeczy, niezbędne do gospodarstwa, załatwiać sprawy z księdzem czy z wójtem, który urzędował w Maszkowie. Ale sprawy przybrały zły obrót z drugiej strony... Któregoś dnia Szlomo powiedział mojej mamie, że niedługo przestaną się widywać, ponieważ jego ojciec znalazł

możliwość prowadzenia gospody w pewnym pobliskim miasteczku, w którym miałby większe możliwości zarobku niż w Maszkowie. W związku z tym ciągu kilku miesięcy cała rodzina przeprowadzi się do tego miasteczka.

Moja mama i Szlomo postanowili powiedzieć o swojej znajomości rodzicom, bardzo chcieli być razem, ale zarówno rodzina chłopca jak i rodzina mojej mamy nie wyobrażały sobie, aby ich dzieci ożeniły się czy wyszły za mąż za kogoś o innej religii. Prawnie byłoby to możliwe, bo w zaborze pruskim, w którym były te wsie, istniały śluby cywilne, ale w praktyce tak się nie zdarzało, zwłaszcza na wsiach. Zabroniono mojej mamie i Szlomo kontynuowania znajomości, moja mama nawet nie mogła już chodzić do Maszkowa, załatwiali tam zakupy czy inne sprawy jej ojciec lub matka.

Upłynęło kilka miesięcy, w trakcie których moja mama i Szlomo nie widzieli się ani razu. Aż któregoś dnia do naszego domu przyszedł listonosz, który powiedział, że ma list do mojej mamy. Listy to była rzecz niezwykajna w tamtych czasach, chyba iż były to pisma urzędowe. Mama była bardzo poruszona, nie spodziewała się listu od nikogo. Wiesz, że wtedy wielu ludzi nie umiało czytać ani pisać, jednak w zaborze pruskim od dawna obowiązywał nakaz posyłania dzieci do szkoły, więc mama umiała czytać i pisać. Rodzice nie pozwolili jej przeczytać listu w samotności, musiała go otworzyć przy nich i przeczytać na głos. List był napisany dużymi literami, a wysłał go do mojej mamy Szlomo. Było w nim dużo błędów, bo Szlomo nie umiał dobrze pisać po polsku, chociaż wystawiał się popraw-

nie w naszym języku, tylko z żydowskim zaśpiewem, jak mi opowiadała mama. W obowiązkowej szkole pruskiej uczył się czytać i pisać po niemiecku, zaś w religijnej szkółce żydowskiej, do której posyłał go ojciec, uczył się czytać i pisać po hebrajsku. W liście chłopiec żegnał się, bo już nadszedł czas przeprowadzki i następnego dnia cała rodzina miała zapakować dobytek i pojechać wozami do miasteczka, w którym jego ojciec miał dzierżawić gospodę. Moja mama, zrozpaczona, nie bacząc na nic i nie pytając rodziców o pozwolenie, niemal biegiem ruszyła do Maszkowa. Ochłonęła trochę po drodze i zrezygnowała z myśli, którą była wcześniej owładnięta, aby po prostu wbiec do gospody i pożegnać się na oczach wszystkich ze Szlomo. Po dojściu do Maszkowa poprosiła jakiegoś chłopca, który akurat przechodził przez główny plac wsi, żeby wszedł do gospody i cicho powiedział synowi arendarza, iż ona przysłała i że będzie czekać na niego w miejscu, które on zna. Po jakimś czasie przybiegł Szlomo, bardzo smutny, przytulili się i oboje zaczęli płakać. Potem przytulili się jeszcze mocniej, i jeszcze mocniej, a potem trzeba było się rozstać. Na zawsze.... Zaś 9 miesięcy później moja mama powiła dziewczynkę i tą dziewczynką jestem ja.

Był to straszny kłopot dla rodziców mojej mamie i dla niej oczywiście też. Wytykano ich palcami, mówiono o nich różne niemiłe rzeczy, patrzono na nich nieprzychylnie w kościele... Dziecko urodzone poza małżeństwa było wtedy wydarzeniem, które stawiało w bardzo złym świetle matkę i jej rodziców. Także to dziecko miało później trudną sytuację, nazywano je bękartem, odnoszono się do niego z pogardą... Rodzice mojej mamy

postanowili znaleźć jej męża, chociaż mama nie chciała wychodzić za mąż. Jednak nie mogła się upierać, mieszkała z rodzicami i oni decydowali o jej losie. Dziadkowie nie chcieli być wytykani palcami, chcieli ją wydać za mąż i odzyskać choćby częściowo dawne poważanie u sąsiadów. Najlepiej byłoby ją wydać za kogoś z odległej, kto by ją zabrał... Dziadkowie rozmawiali z różnymi swatkami, ale znalezienie męża dla mojej mamy było dużym kłopotem, bo żaden kawaler przy zdrowych zmysłach nie chciał dziewczyny z dzieckiem. W końcu znalazł się ktoś taki, biedny chłopak z sąsiedniej wsi, którego przekonano posagiem i obietnicą przejęcia w całości gospodarstwa. Było to możliwe dlatego, że tylko mama przeżyła z kilkorga dzieci, które urodziły się dziadkom. Wtedy wiele dzieci umierało na różne choroby... Więc mąż jedynej córki był tym, który miał prawo przejąć gospodarstwo. Po ślubie, na którym mama płakała, zamieszkali razem w jednej z izb naszego domu. Był to dobry człowiek, spokojny, wyrozumiały... Opiekował się mną jak własnym dzieckiem, a do mamy odnosił się życzliwie, mimo że ona traktowała go z dystansem. Mama powoli pogodziła się z losem, chociaż nie mogła zapomnieć o Szłomo. Nieraz płakała gdzieś w kącie albo wychodziła na długo na łąki bez żadnego celu, czasem siadała i patrzyła gdzieś przed siebie albo chodziła smutna bez powodu... Tak mi później opowiadali dziadkowie. Nie było jej łatwo, przez parę lat trwała taka sytuacja, ale w końcu spokojne życie z mężem i praca przyniosły uspokojenie. Zaś po pięciu latach urodziła się Aniela, która jest moją siostrą przyrodnią. Teraz rozumiesz już

sam, dlaczego się tak dziwnie śmiałyśmy... Tak, jesteście do siebie podobne, jak zauważyłeś, ale też niepodobne. Teraz obie jesteście siwe, ale kiedyś ciocia miała jasne włosy, była blondynką jak jej ojciec, ja zaś miałam włosy czarne po moim żydowskim ojcu. Ciocia ma niebieskie oczy, może zauważyłeś, jak mama i ojczym, a ja – jak widzisz – mam oczy brązowe po ojcu... Jak się dobrze popatrzy, to widać, że jesteście inne... No i mamy inne charaktery, ciocia jest cicha, spokojna, a ja czasem uprę się, postawię, tak jak to robiła nieraz nasza mama. Pamiętasz jak kiedyś skrzyczałam twojego ojca, gdy nieładnie odezwał się do twojej mamy? I kocham książki, zupełnie jak mój żydowski ojciec... Jak tylko mam czas, to zaraz wkładam nos w jakąś książkę albo choćby gazetę...

– Wiesz, wnusiu, to było tak:



Obraz Symchy Trachera (1894–1942)

Wojciech Kajtoch

Podróże w czasie do epoki ZSRR we współczesnym filmie i serialu rosyjskim (w latach 1992–2024)

Cz. 2. Wędrowki w czasach wojny – o niektórych filmach wojennofantastycznych i ich wychowawczej (propagandowej) funkcji

Toczona przez ZSRR w latach 1941–1945 tzw. Wielka Wojna Ojczyźniana, była i jest dla świadomości rosyjskiej niezwykle ważna. Jeśli więc w latach 2008–2024 pojawiło się 6 filmów i dwa parodinkowe, niewielkie seriale, zawierające motyw zetknięcia się współczesnych Rosjan z realiami tamtego czasu, powinniśmy poszukać w nich istotnego sensu, przy czym innego, niż go pokazaliśmy w obrazach o podróżach do lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, będących próbami rozpoznania przyczyn, sensu i oceny upadku ZSRR.

Upadek ZSRR jako coś, co przyniosło Rosjanom wolność, a może przynieść i autentyczną potęgę, jest kształtującym się mitem założycielskim współczesnej Rosji. Natomiast zwycięstwo nad Niemcami i wyzwolenie połowy Europy, dokonane przez Wielkiego Wodza oraz jego świątłych generałów, było jednym z mitów założycielskich ZSRR, który to mit od czasu *pieriestrojki* a potem w latach dziewięćdziesiątych uległ jednak poważnemu osłabieniu, skoro ongiś zwycięska armia musiała wycofać się z Afganistanu (i później w wojnach czeczeńskich niejednokrotnie dawała się pobić), państwo się rozpadło, a rozpowszechniana wiedza o rzeczywistym przebiegu *Wielkiej Wojny*

Ojczyźnianej wskazywała na zbrodniczą nieudolność stalinowskiego systemu, który – jak się zdaje – jedynie przeszkadzał Rosjanom w osiągnięciu zwycięstwa rozsądnym kosztem.

W ramach, mającej prawdopodobnie miejsce, ideologicznej ofensywy, rozpoczętej pod koniec drugiej wojny czeczeńskiej (1999–2009) i pierwszej prezydentury Władimira Putina (2000–2008), kiedy to rosyjska elita władzy prawdopodobnie¹ zdecydowała o tym, że Rosja powinna wrócić do swej mocarstwowej roli – wyprodukowano cztery wysokobudżetowe² filmy i seriale (*My iz buduszczego*, *My iz buduszczego 2*, *Tuman*, *Tuman 2*) o podróżach współczesnych Rosjan do czasów wojny. Stawiam tezę, iż realizowany w nich schemat fabularny i wnioski, które widz powinien sobie z nich wyciągnąć, świadczą o tym, że były one elementem szerszych przedsięwzięć, które stary radziecki mit o zwycięskiej wojnie miały w unowocześnionej formie przywrócić i zmodyfikować tak, aby w zupełnie już innych niż radzieckie czasach, mógł dalej być elementem historycznej polityki i bieżącej propagan-

¹ Myśl o takiej propagandowej ofensywie jasno się narzuca i bywa przyjmowana jako pewnik, wolę jednak zachować ostrożność i – oczekując na głos historyków – operować tylko danymi, które uzyskuję, interpretując interesujące mnie filmy i ich recenzje.

² Wedle dostępnych danych z rosyjskiej Wikipedii budżet *My iz buduszczego* wyniósł 5 mln. dolarów. Do kosztów *My iz buduszczego 2*, *Tuman*, *Tuman 2* nie dotarłem, ale opisy, jak filmy produkowano – wskazują na spore wydatki, jak na film/serial telewizyjny. Natomiast *Rubież* z 2018 miał budżet 300 milionów rubli, a *Blindaż* – 400 milionów.

dy. Obraz *Rubież*, który trafił na ekrany w 2018 roku, w warunkach naciągającej (a w zasadzie już trwającej) wojny z Ukrainą przedłużał tendencję, a *Blin-daż* z 2024 roku starał się ją modyfikować.

Schemat zawiera następujące elementy:

1. Zaprezentowanie współczesnych czasów, w którym młodzi bohaterowie egoistycznie dbają jedynie o sprawy bieżące.
2. Drastyczny czyn, świadczący o lekceważeniu bohaterstwa walczących w drugiej wojnie przodków.
3. Przeniesienie bohaterów w czasie i znalezienie się ich na froncie.
4. Próby powrotu do swoich czasów.
5. Nauka tego, co w czasie walki niezbędne i świadomy w niej udział.
6. Przełom ideologiczny.
7. Nagrodzenie bohaterów powrotem do współczesności.
8. Pokazanie ich zachowań, świadczących o zmianie stosunku do ojczyźnej historii i zasług przodków.

Jak widać, jest typowy dla – bardzo w ostatnich latach rozpowszechnionych w rosyjskiej fantastyce – historii o tzw. *popadańcach*³, a więc współczesnych bohaterach, którzy niespodziewanie „znalezli się” w historycznej lub fantastycznej rzeczywistości, a przy tym prościutki, dobrze dostosowany do niesienia pedagogicznych, propagandowych

³ Rzeczownik osobowy *popadaniec* jest utworzony od rzeczownika *popast'* [gdie-to], którego polskim odpowiednikiem jest *znaleźć się* [gdzieś], *wpaść* [gdzieś], ale użyte w takim znaczeniu, jak we frazeologizmie *Wpadł jak śliwka w kompot*. Termin *popadan'cy* w rosyjskojęzycznej fantastyce funkcjonuje już jako określenie gatunkowe.

sensów. Na szczęście prostota ta stwarza jednak wiele różnorodnych możliwości realizacyjnych, których należyte wykorzystanie czyni film atrakcyjnym dla widza. Konkretny film może lekko modyfikować kolejność realizacji powyższych punktów, łączyć niektóre z nich w jednym epizodzie, czasem któryś punkt bywa pominięty.

Jesteśmy z przyszłości (My iz buduszczege) Bohaterami są czterej młodzi mieszkańcy Petersburga, prowadzący na co dzień bardzo radosne życie, polegające głównie na rozrywkach (1)⁴, pieniędzy na które dostarcza im zajęcie, polegające na rozkopywaniu pobliskich miejsc starych bitew i sprzedawaniu znaleźskich chętnym. Na kolejnych „wykopykach” znajdują pełen „skarbow” schron, a przy okazji strzelają sobie ze znalezionej broni do czaszek poległych i wykpiwają staruszkę, proszącą o znalezienie pamiątek po synu poległym w 1942 roku (2). Staruszka – najprawdopodobniej wiedźma – radzi się im wykapać w pobliskim jeziorze; nurkują i wynurzają się w rzeczywistości wojennej (3). Na początku nie mogą w to uwierzyć, oczywiście interesuje się nimi kontrwywiad, ale w końcu zostaną uznani za rzeczywistych żołnierzy i włączeni do oddziału. Głównie jednak starają się trzymać razem i znaleźć okazję, by znowu zanurkować w jeziorze i wynurzyć się w swoich czasach (4). Muszą jednak uczestniczyć w walkach – m. in. spotykają wtedy uwięzionego przez Niemców syna staruszki, który pomaga im zbiec – samemu pozostając ma pewną śmierć; biorą też udział w natarciu i odkrywają,

⁴ Numery odsyłają do punktów wyżej podanego schematu.

że w walce mogą być zacięci, odważni i skuteczni. Wreszcie zdają sobie sprawę, czym była wojna (5-6). W końcu udaje im się wykapać i wrócić (7). Moment ostatecznego ideologicznego przełomu zobrazowany jest wymowną sceną, kiedy jeden z przyjaciół – we współczesności faszyzujący *skinhead*, już po powrocie do swoich właściwych czasów zdiera sobie ze skóry faszystowski tatuaż (6). Punkt (8) zrealizuje początek *Jesteśmy z przyszłości 2*. W filmie mamy też motyw miłosny, sporo dowcipnych dialogów i niespodziewanych zwrotów akcji, zróżnicowanie psychologiczne bohaterów i przekonujące pokazanie ich zachowań. Generalnie obraz jest całkiem dobry, nie poprzestaje na schemacie, niemniej jednak go realizując.

Film *Jesteśmy z przyszłości 2* realizuje tenże schemat w sposób nieco zmodyfikowany i obciąża go dodatkowym zadaniem.

Dwaj bohaterowie pierwszej części już porzucili dawne zajęcie, przeszłość traktują poważnie (jeden nawet wyklada historię) i uczestniczą w imprezach rekonstruktorskich (1). W czasie kolejnej pojawia się druga para bohaterów – dwaj nacjonalistycznie nastroszeni i agresywni Ukraińcy⁵, przedstawiciele

⁵ Negatywne motywy, związane z Ukraińcami, pojawiają się w paru z omawianych filmów (wszak z wyjątkiem pierwszego były ukończone po „pomarańczowej rewolucji” z 2004 roku, a późniejsze wydarzenia tylko „podgrzewały” nastroje). Śmieszyc mają widzów np.: jeden z bohaterów *Parku...* (patrz pierwsza część artykułu), który koniecznie chce mówić po ukraińsku, ale nie ma z kim, cierpiący na zapalenie okostnej, bełkocący po ukraińsku żołnierz z pierwszej części *My z przeszłości*. Mówiący po rosyjsku, ale jednak Ukraińcy (używają słowa *Moskal* – pogardliwego na Ukrainie określenia Rosjanina)

grupy ukraińskich rekonstruktorów (odtworzona ma być bitwa, w której m.in. zniszczono ukraińską dywizję SS). To oni spowodują przeniesienie w przeszłość, gdy jeden z nich, zły po przegranej bitwie, kopniakiem rozwała pomnik na leśnej mogile poległych Rosjan – dla nich okupantów-Moskali (2) – co budzi tajemniczy wiatr. W rezultacie cała czwórka znajdzie się w przeszłości i weźmie rzeczywisty udział w rekonstruowanej bitwie (3), bo aby powrócić, muszą znaleźć się na powrót w miejscu, z którego rzuciło ich w przeszłość, a tak się składa, że było to centralne miejsce bitwy (4,5). Przemiana ideowa dotyczy dwóch Ukraińców, którzy najpierw zostaną schwytani przez *UPA* i zmuszeni do uczestnictwa w rozstrzeliwaniach, więc przekonują się dowodnie, iż była to organizacja zbrodnicza⁶, a potem – nie mając innego

w czernobylskiej strefie urządzają sobie polowanie na bohaterów serialu *Czernobyl* (patrz tamże).

⁶ Epizody z udziałem *UPA* były zapewne przyczyną zakazania filmu na Ukrainie, porównaj tekst: „Czlenami Ekspertnoji komisiji z pytan' rozpowsiudzenia i demonstruwannia fil'miw pry MKT ta praciwnykamy MKT buw perehlanutyj fil'm »My z majbutn'oho 2« (ros. – »My iz buduszczego 2«) reżysera Ołeksandra Samochwałowa. Widpowidno do punktu 10 Położennia pro derżawne poswidczennia na prawo rozpowsiudzenia i demonstruwannia fil'miw, zatwerdżenoho postanowuju Kabinetu Ministriw Ukrainy wid 17.08.1998 p. № 1315, MKT widmowlaje u derżawnij rejestraciji ta wydaczii prokatnoho, poswidczennia na fil'my, jaki możut' zawdaty szkody moral'nomu i fizycznomu wychowanniu, kul'turnomu rozwytkowi hromadian, a takož na fil'my pornohraficznoho charakteru i ti, jaki propahujut' wijnu, nasył'stwo, żorstokist', faszizm i neofaszizm, spriamowani na likwidaciju nezależnosti Ukrainy, zminu konstytucijnoho ładu nasył'nyč'kym szlachom, poruszennia suwerenitetu i terytorial'noji ciłisnosti derżawy, pidryw jiji bezpeky, nezakonne zachoptennia

wyjścia – razem z kolegami-Rosjanami wezmą udział w walce z Niemcami i swoimi rodakami w mundurach SS (6). Zgodnie z oczekiwaniami pod koniec bitwy zostaną przetrzuceni z powrotem do swoich czasów (7). Skutki ideowej przemiany nie zostaną pokazane, ale wydaje się rzeczą pewną, iż zaszła.

Mgła (Tuman)

W tym telewizyjnym filmie⁷ w przeszłość przeniesieni zostaną młodzi żołnierze współczesnej armii rosyjskiej – poborowi, pozbawieni przy tym, jak to podczas ćwiczeń, ostrej amunicji. Służbę traktują niezbyt poważnie i bez zapału (1). W trakcie zajęć, chcąc przyspieszyć sobie drogę do koszar zatrzymują autobus, wiozący starsuszków-kombatantów

derżawnoji władzy, rozpaluwannia, miżetnicznoji, rasowoji, relihijnoji worożeczzi, posiahannia na prawa i swobody ludyny, zdorowja naselennia. Dejaki epizody kartyny je dosyt' prowokacijny-my u moral'nomu plani i wykłykajut' osoblywe zanepokojennia, zważajuczy, szczo fil'm peredusim, spriamowanij na mołodiznu audytoriju. Na naszu dumku, w cych frahmentach prostezujet'sia tendencija do rozpaluwannia miżnacional'noji worożeczzi ta subiektywnyj pohlad na istoryczni podiji. Na pidstawy wyszczezaznaczenoho, Ministerstwo kul'tury i turyzmu ne rekomenduje fil'm »My z majbutn'oho 2« w takomu warianti dla perehladu na terytoriji Ukrainy.» [Cyt. *Ministerstwo kul'tury i turyzmu Ukrainy informuje szczo do situaciji nawkoło fil'mu »My z majbutn'oho 2«*, patrz: *Prawa ludyny w Ukraini. Informacijnyj portal Charkiwsk'oji prawozachysnoji hrupy*, 18.02.2010; <https://khpg.org/1266449088>, dostęp: 13.06.2024]. Na dodatek jeden z ukraińskich rekonstruktorów, ubrany w mundur UPA i fanatyczny jej zwolennik, był pokazany jako tchórz i syn ustosunkowanej ukraińskiej polityk, która mogła widzom kojarzyć się np. z Julią Tymoszenko.

⁷ Nadawany był fragmentami, więc można mówić także o serialu.

i powodują ich spóźnienie na ważną uroczystość (2). Kiedy w kolejnym dniu znów postanowili oszczędzić sobie wysiłku i poszli na skróty przez zamglone bagna – los wrzucił ich w 1941 rok i znaleźli się na terytorium, zajęтым przez wygrywającego wroga (3). Ich nauka polegała na poznaniu, jak się prowadzi wojnę. Wszelkie próby „dogadania się” z Niemcami (5) czy zastosowania jakiejś pacyfistycznej argumentacji kończyły się tylko śmiertelnymi stratami, jedyna próba okazania wobec wroga litości doprowadziła tylko do rzezi mieszkańców przysiółka, w którym żołnierze się schronili. A kiedy bohaterowie już się nauczyli, iż wojnę trzeba traktować śmiertelnie poważnie i bez sentymentów (6), rezygnują z możliwego szybkiego powrotu (4), bo trzeba odzyskać zdobytego przez Niemców *kałasznikowa*, ponieważ jego produkcja w Niemczech mogłaby odwrócić bieg wojny. Na końcu tylko jeden z całej drużyny (reszta zginęła), przejdzie drogę przez bagna w odwrotnym kierunku i znajdzie się we współczesności (7). Tam się okaże, że w terażniejszości wszyscy jednak żyją, ale obserwując świąteczny przemarsz „nieśmiertelnego pułku” zobaczą widma wszystkich tych, którzy zginęli z ich winy, albo których śmierci z rąk Niemców byli świadkami. Zatem można mieć nadzieję, że pamięć o poległych na pewno będą kultywować i okazywać należyty szacunek jeszcze żyjącym uczestnikom *Wielkiej Wojny Ojczyźnianej* (8).

Mgła 2 nie wprowadza istotnych nowych bohaterów, a ponieważ starzy umieją już walczyć, na czoło wysuwa się historia przypadkowego zranienia przez nich żołnierza, który ma później zatknąć

zwycięską flagę na *Reichstagu*. Za wszelką cenę muszą utrzymać go przy życiu, aby nie spowodować zmiany w ciągu historycznych wydarzeń. Film przynosi więc więcej przygody i batalistyki i można go w zasadzie rozpatrywać jako ciąg dalszy pierwszej części. Zachowany jest więc tylko ogólny zarys schematu. Bohaterowie znajdują się w przeszłości po prostu otworzywszy któreś z drzwi wyjściowych dyskoteki (3), uruchomi proces przeniesienia w czasie atak przebranych w faszystowskie mundury skinów (2), który postanawiają zakłócić *Dzień Zwycięstwa*, a którym bohaterowie dają skuteczny odpór, przy czym sama dyskoteka z tańczącymi na drążkach *stripteaserkami*, odzianymi w bluzy *Armii Czerwonej*, też sprawia dziwne wrażenie. W przeszłości bohaterowie nie muszą się zmieniać.

W porównaniu z pierwszą częścią warstwa ideowa filmu zwraca większą uwagę na motyw zdrady i stanięcia przez niektórych Rosjan po niemieckiej stronie, ale głównych bohaterów dotyczy on w małym stopniu. W zakończeniu wszyscy znów wracają na dyskotekę i spotykają widma poległych. Następuje jednak i rzeczywiste spotkanie z postarzałym, ale jeszcze żyjącym Niemcem – antyfaszystą, który w przeszłości pomógł jednemu z bohaterów.

Rubież (Rubież)

Cały konieczny schemat fabularny, przy czym bardzo ciekawie realizowany, zachowuje kolejny film o *popadańcach* w lata wojny, którego premiera odbyła się w 2018 roku. Upamiętniał 75. rocznicę przełamania blokady Leningradu, a jego uroczystą premierę zaszczylił i później

obraz pochwalił⁸ sam prezydent Rosyjskiej Federacji.

Fabula obejmuje trzy poziomy rzeczywistości.

1. Rzeczywistość współczesną, w której młody, cyniczny, wesoło żyjący (1) rosyjski przedsiębiorca postanowił

⁸ Stosowna prasowa notatka *TASS* brzmiała: „Kirowsk (Leningradskaja obłast’), 18 stycznia. /TASS/. Priezident Rossii, Władimir Putin wysoko ocenił chudożestwiennyj film »Rubież«, głównyj giejorj ktorogogo popał iz naszego wriemieni na Niewskij piataczok w razgar Wielikoj Otieczestwiennoj wojny. Prosmotr kinokartiny s uczastijem gławy gosudarstwa, wietieranow i predstavitelej mołodieżnych obszczestwiennych objedinenij sostojałsia w zdanii muzejja-panoramy »Proryw«, rasskazywajuszczego o bojach za Leningrad. Putin otmietił, czto sposob wyraził’ idieju filma s pomoszczju pieriemieszczenijsia giejorja wo wriemieni mnogokratno ispolzowałsia i w mirowoj, i w otieczestwiennoj literaturie i kino, no wopros w tom – kak eto sdielano. »Na moj wzglad, [w filmie »Rubież«] sdielano eto ocen’ tałantliwo, wyrazitelično, dochodziwo. Eto priamo popadajet tuda, kuda wy i chotieli popast’ – priamo w sierdce, w duszu«, – obratilsia priezident k sozdatielam kinokartiny. »I w etom bolszaja cennost’ rabot podobnogo roda, bolszoje wam spasibo«, – dobawił gława gosudarstwa. Rieszenije o sozdanii połnomietražnogo chudożestwiennogo filma »Rubież« było priniato osienju 2015 goda. Projekt połuczil gospoddierżku w razmierie 200 mln rublej kak socyalno znaczi-myj projekt, orijentirowanyj na mołodieżnju auditoriju. Obszczaja smietnaja stoimost’ filma sostawiła 300 mln rublej. W scenarii filma sojedinieny žanry fantastiki, prikluczenija i dramy. »Rubież« – eto istorija o czelowiekie, kotoryj uznajet o swoich kornjach, o podwigu swoich priedkow, rasskazannaja sowriemiennym dramaturgiczeskim jazykom. Gławnyj giejorj otprawlajetsia w putieszestwije wo wriemieni, w ktorom on dołžen nie tolko wyżył’ sam, no i pomocz drugim [zob. *TASS*, 18 stycznia 2018, 13:33, obnowleno 18 stycznia 2018, 14:13 *Путин вместе с ветеранами и поисковиками посмотрел фильм »Rubież«*; <https://tass.ru/obschestvo/4883438>; dostęp: 13.06.202].

zarobić pieniądze na sprzedaży piasku, wydobywanego z terenu dawnego wojennego przyczółku wojsk radzieckich po „niemieckiej” (wschodniej) stronie Newy (2). Ponieważ miano nadzieje na przerwanie blokady w tym miejscu, wojska oblężonych musiały ten teren zająć i utrzymać (od września 1941 do kwietnia 1942), potem odbili go Niemcy, a potem znów ten teren zdobyto i utrzymano w okresie od września 1942 do lutego 1943, kiedy to ostatecznie blokadę przerwano. W sumie na powierzchni paru kilometrów kwadratowych, według oficjalnych, radzieckich danych zginęło ok. 200 tys. Rosjan i prawdopodobnie ok. 40 tys. Niemców⁹. Akcja pokazuje dalej, jak w obronie mogli występować młodzi archeologowie, którzy znaleźli tam ważny obiekt – schron ze szkieletami ostatnich obrońców z 1942 roku¹⁰. Przedsiębiorca, oglądając ten schron organizuje jednocześnie sabotaż, w wyniku którego strop schronu wali mu się na głowę.

2. W wyniku wypadku lądu-

⁹ Wg. danych z rosyjskiej *Wikipedii* (dość świętokradczy pomysł, by wydobywać tam piasek ponoć rzeczywiście się pojawił w 2012 roku, szybko jednak robót zaprzestano).

¹⁰ Epizod znów nawiązuje do rzeczywistego wydarzenia, cytuję *Wikipedię*, hasło *Niewskij piataczok*: „Wiesnoj 1990 goda poiskowiki wojenno-patrioticzeskogo obszczestwa objednienija »Wozwraszczenije« (priedsiedatiel — G. W. Strielec) w riezultatie dlitielnych poiskow sumieli najti i raskopat' komandnyj punkt 330-go polka — odin iz poslednich oczagow oborony na płacdamie w apriele 1942 goda. [...] W blindaże byli najdieny ostanki 11 czelowiek, udałos' opoznat' A. W. Szczurowa, sierżanta gosbiezopasnosti P. N. Kuz'mina, naczalnika swiazi polka M. A. Kukuszkina, naczalnika sztaba diwizii Ja. W. Kozłowa i majora medycynskoj służby B. I. Argaczowa. Wsie oni byli pochoronieny s woinskimi poczestiami na Niewskom »piataczkie«.

je w szpitalu w komie i przeżywa sen o tym, jak odwiedza leżącą po wypadku w komie piękną archeolożkę, z którą negocjował i równocześnie otrzymuje od jej towarzysza kolejne wskazówki, dotyczące rodziny jednego z poległych, co zachęca go do prób ustalenia, czy nie jest z tym poległym spokrewniony (występuje zbieżność nazwisk). Na tej płaszczyźnie akcji rozwiązywać musi kolejne problemy – odstępować od wydobycia (6a), ale będzie naciskany (z pomocą pistoletu), by wydobyć piasek jak najszybciej wznowić. Z tej rzeczywistości, często (choć nie zawsze) za pomocą efektownego „czasowego wiru” bywa porywany na trzecią płaszczyznę.

3. Sen płaszczyzny drugiej przeżywany jest więc kolejnymi odsłonami trzeciej płaszczyzny wydarzeń (3), obejmującej obecność bohatera podczas walk – jako niematerialnego ducha. Błądząc wśród walczących usiłuje znaleźć drogę do współczesności, jest świadkiem zbrojowego samobójstwa dowództwa obrońców (4). Do trzeciej płaszczyzny wypada także zaliczyć rzeczywistość czasu oblężenia, w której odnajduje dowody, że jego bezpośredni przodkowie walczyli na przyczółku (6b), potem znów bierze udział w walkach (ich drugim, zwycięskim etapie), w coraz bardziej konkretny sposób, bo zwolna zyskuje bardziej materialną postać (5).

W finale filmu następuje powrót do pierwszej płaszczyzny czasowej (7) – okazuje się, że to bohater budzi się z komy, dzięki wysiłkom dziewczyny – archeolożki, której nic się nie stało. Pokochała go, czeka też na niego rodzina. Nie ulega wątpliwości, iż zmienił poglądy i będzie żył inaczej (8).

Akcja filmu, mimo swego skomplikowania jest zgodna z gatunkowym schematem i przewidywalna. Ale film zdecydowanie się wyróżnia wprowadzeniem treści metaforycznych, uzyskiwanych za pomocą środków obrazowych, ściśle artystycznych i posiadaniu przez widza możliwości nadbudowania nad fabułą treści symbolicznych.

Bohater, cynik – początkowo uważający, że śmierć leningradzkich żołnierzy była bezsensowną, daremną ofiarą, deklarujący, iż „umarli powinni dać spokój żywym” i gardzący swoimi przodkami – powoli uczy się szacunku do historii. Na płaszczyźnie metaforycznej oddano ten proces zobrazowaniem zmian jego początkowo niematerialnego ciała w ciało rzeczywiste, zdolne do odczuwania bólu i fizycznego kontaktu z innymi¹¹. Można powiedzieć, że odkrywając sens przeszłości coraz bardziej staje się człowiekiem.

Drugi, godny uwagi efekt uzyskano stosując dwa typy zdjęć. Te obrazujące współczesność niczym się nie wyróżniają. Te pokazujące wojnę, mają niezwykle kolorystykę (niekiedy z początku obrazy są czarno-białe), nadającą im charakter niezwykle i odrealniony. Wygląda więc na to, iż w wojennych scenach śmieszny, niekiedy żaloszny i dopiero na końcu ludzki „duch” bohatera kroczy przez rzeczywistość spokojnego, posągowego męstwa, co szczególnie jest widoczne w scenie samobójstwa okrążonych w schronie obrońców.

¹¹ Nasuwają się skojarzenia teologiczne: może już umarł, lecz zmartwychwstaje. Jak wiadomo, podczas końca świata mamy zmartwychwstać także cielesnie.

W tym miejscu napomknę, że pokazanie moralnego sensu dawnego bohaterstwa dało się osiągnąć o wiele prostszymi środkami w ostatnim z interesujących mnie filmów *Chronosie* (*Chronos*), w pierwszej ze składających się na ten obraz nowel, o akcji, w ramach której współczesny (a może z bliskiej przyszłości), „zwykły” Rosjanin nawiązał kontakt z pracownikiem *Instytutu Czasu* z 2197 roku i poprosił go, aby ten przekazał żywność pisarzowi, umierającemu z głodu w oblężonym Leningradzie. Bohater chciał, aby ten jeszcze trochę pożył i dopisał dzieło życia – ostatnią swą powieść, której przed śmiercią nie zdążył zakończyć. Ów „zwykły Rosjanin” bardzo ceni tego pisarza i koniecznie chce poznać zakończenie tego utworu. Sprytny plan jednak się nie udaje się, bo pisarz – otrzymawszy jedzenie – postanowił oddać je głodującym dzieciom. Nowela *Potomka na linii* jest równie – jak sądzę – a może bardziej przekonująca niż *Rubież* i wskazuje należyłą moralną ocenę wojennej przeszłości bardziej wymownie, niż pięć wyżej opisanych fabuł o *popadańcach*.

Blindaż

Ostatnią szóstą produkcją o „popadańcach” w czasy drugiej wojny jest film, który opowiada, jak w walkach w listopadzie 1941 roku¹² wzięła udział para

¹² Prawdopodobnie chodzi o walki obronne Rosjan, starających się w pobliżu Doniecka powstrzymać atak Niemców na Rostów nad Donem. W toku akcji filmu specjalnie się podkreśla, że chodzi o współcześnie mało znany odcinek obrony, który Niemcy po prostu „rozjechali czołgami”, jego obrońcy polegli, a ich nazwiska wymienione są na jednym z pomników tzw. Saur-Mogily pod Donieckiem. Należy dodać,

nietypowych przyjaciół: Siergiej, lekarz pogotowia ratunkowego ze współczesnego Doniecka (od 30. września 2022 roku zaanektowanego przez Rosję) i młody, niemiecki antykwariusz Paul, dobrze zarabiający na wykopywaniu i dostarczaniu rodakom pamiątek wojennych (jest więc „czarnym kopaczem” i na terenie Rosji działa nielegalnie).

Akurat Siergiej pokłócił się z przełożonym, a Paul ma zamówienie, obaj wybierają się więc na poszukiwania, przebrani w mundury radzieckie z epoki (jeśli zainteresuje się nimi policja, będą przedstawiać się jako rekonstruktorzy). Wszedłszy na terenie dawnych walk do zrujnowanej ziemianki wychodzą z niej w rzeczywistość 1941 roku. Praktycznie nie spotykają ich – jak bohaterów *My z buduszczonego* – kłopoty z koniecznością „wytłumaczenia się”, obcy akcent Paula udaje się ukryć. Usiłując znaleźć powrotną drogę w swoją rzeczywistość, przy okazji biorą udział w walkach. Gdy jednak grozi im pozostanie w czasach wojny na zawsze – i w konsekwencji śmierć, rozdzielają się. Paul usiłuje znaleźć „punkt powrotu”, walcząc po niemieckiej stronie – Siergiej godzi się z losem, spotyka swego dziada i ostatecznie już gotów byłby polec w walce, ale Paul ratuje ciężko rannego przyjaciela i z wracają do współczesności.

Blindaż jest produktem kultury, korzystającym z już wypracowanej

iż ten pomnikowy kompleks, został poważnie zniszczony w trakcie rosyjsko-ukraińskich walk w 2014 roku i w 2022 roku został odbudowany siłami m.in. Ministerstwa Obrony RF i *Rosyjskiego Towarzystwa Wojskowo-Historycznego*. Jedną ze scen współczesnego wątku filmu jest kręcona na terenie kompleksu, co współtworzy bardzo aktualny i ideologiczny akcent całego obrazu.

konwencji, więc mogącym sobie pozwolić na uproszenia – moment wędrówki w przeszłość nie jest więc w żaden sposób uzasadniony i nie jest żadną karą za znieważanie przeszłości. Rzeczywistość frontowa jest o tyle nieskomplikowana, że bohaterów nie spotykają żadne niebezpieczeństwa ze strony kontrwywiadu, czy nieufnych oficerów politycznych (a to w rosyjskich filmach wojennych do ostatnich lat było standardem). Radzieccy żołnierze są jednomyślni i nie tchórzą przed nieuniknioną śmiercią, ani nie mają ideowych wątpliwości. Z drugiej jednak strony w pomysłach pokazania pary przyjaciół – Rosjanina i Niemca – widać ambicję urozmaicenia schematu fabularnego.

Jeśli chodzi o prezentowaną pozycję ideową – film nie budzi wątpliwości: męstwo czerwoarmistów pokazano wyraźnie i powinno napełniać widza szacunkiem dla wojskowej tradycji rosyjskiej, o co w filmach o *popadańcach* głównie chodziło. Ale jest tu coś więcej.

Na samym końcu, już po zakończeniu akcji pada komentarz „zza kadru”, będący formalnie wypowiedzią głównego bohatera – Siergieja – wyciągającym wniosek z tego, co mu się przydarzyło. Podaję w moim tłumaczeniu: „Krew nie straszna, dopóki nie twoja. Wojna to tylko skrót wiadomości – dopóki nie dotyczy twoich bliskich. Ja zrozumiałem, co znaczyła ta wojna nie dlatego, iż zobaczyłem wybuchy pocisków, wroga i śmierć, a dlatego, bo zobaczyłem, jak dotyka moją rodzinę. Rzecz nie w tym, że zobaczyłem jak walczył i zginął mój dziad – poczułem, iż wszyscy ci, którzy stali obok mnie, co bili się razem z nami... że wszyscy co do jednego – to

moja rodzina. Wojna dotknęła mój naród – a więc i mnie. Oni uratowali nas wszystkich, a mnie uratował przyjaciel, który okazał się wierny do końca, na nic nie patrząc. Ja z tego czerpię siłę. W tym jest nadzieja. I w tym widzę światło”.

Ten krótki monolog, wygłoszony z całym aktorskim kunsztem oratorskim, jako coś prostego, oczywistego i do każdego trafiającego – wydaje się być głównym przesłaniem filmu. I powstaje wrażenie, iż mówi nie tylko o walkach drugiej wojny, ale i tej wojnie dzisiejszej¹³, z Ukrainą. Widz jest namawiany, aby się nią przejął, utożsamiał ze swoją nacją i (być może?) wziął w niej udział.

Zakończenie

O czym świadczy pojawienie się omówionej w całym artykule grupy filmów, jak również to, że są takie – a nie inne?

Otóż wydaje się, iż pouczające są zwłaszcza wnioski genologiczne. Całą grupę łączy obecność motywu podróży w czasie rzeczywistym lub mniemanej, obiektywnie mającej miejsce lub istniejącej tylko w psychice bohatera. Wszelako wyodrębniają się w grupie trzy rodzaje opowieści.

1. O charakterze rozrywkowym (*Wriemieniszczik*, *Granica wriemieni*), którym nie udzieliłem wiele uwagi¹⁴.

¹³ Czytelnik zapewne będzie zdziwiony, jak można widzieć analogię między ciężkimi walkami obronnymi z 1941 roku, a dzisiejszym rosyjskim najazdem na Ukrainę, ale należy pamiętać, że Rosjanie w swojej masie mogą mieć inny niż my – i wzmacniany przez ich propagandę – pogląd. Mogą uważać, iż się „tylko bronią” przed atakującym ich Zachodem.

¹⁴ Na konstrukcyjne, więc rozrywkowe możliwości realizowane przez fabuły utworów o podróżach w czasie wskazuje odpowiednia lite-

2. O charakterze rozrachunkowym, gdzie podróż w czasie oznacza kontakt z rzeczywistością ZSRR lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku (bądź z ZSRR alternatywnym), a zasadniczym celem opowieści jest ocena upadku ZSRR i powstania Federacji Rosyjskiej. Kolejne utwory, omówione w pierwszej części artykułu, rozważały różne „za i przeciw”, „dyskusja” trwała wiele lat (1995 do 2019), a argumenty, które są oczywiste dla człowieka Zachodu, dość późno się w niej pojawiły. Filmy i seriale realizują odmienne schematy gatunkowe i aczkolwiek istnieją też elementy wspólne, kwestia powstania nowego gatunku (czy podgatunku), które te dzieła wydają się reprezentować, pozostaje nierozstrzygnięta. Nie wiadomo także, czy dyskusje o wnioskach, wynikających z rozpadu ZSRR, rychło się

ratura, jak np. Mariusz Guzek, *Czechosłowackie podróże w czasie – od filmowej lekcji przyrody do normalizacyjnej zwariowanej komedii*, „Images” 2020, vol. XXVIII (37) s. 62-76; Mariusz M. Leś, *Fantastycznonaukowe podróże w czasie. Między logiką a emocjami*, wyd. Temida2, Białystok 2018; Mariusz Maciej Leś, *Podróż w czasie jako laboratorium narracji*, „Poznańskie Studia Polonistyczne. Seria Literacka nr 48, ss. 35-51; Jelena Jurjewna Koz'mina: *Impieratiwnaja nostałgija: rossijskije fantastičeskie romany o pieriemieszczenii w SSSR 1970-ch godow*, „Literatura Ludowa. Journal of Folklore and Popular Culture” vol. 65 (2021), nr. 3, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze ss. 25-36; P. Dż. Nachin: *Tajna maszyny wriemieni: Putieszestwija wo wriemieni w fizikie, filozofii i fantastikie*, przekład z języka angielskiego W. S. Jacenkowa, DMK Priess, Moskwa 2021 (Paul J. Nahin: *Time Machines. Time Travel in Physics, Metaphysics, and Science Fiction*). Dodam tu, że podstawowe informacje o filmach i wydarzeniach historycznych przez nie opisywanych czerpię z na ogół z dostępnych rosyjskojęzycznych publikacji internetowych w rodzaju *Wikipedii*.

3. nie skończą i czy filmy, rozpatru- potwierdzony badaniami innych dzie-
jące to zagadnienie, będą dalej produk- dzin rosyjskiej produkcji kulturalnej po
wane. 2000?/2004? roku, nadających się do pro-

4. Omówione w drugiej części filmy, pagandowego wykorzystania. Chodzi mi
konfrontujące postawy życiowe współcze- o popularne powieści *SF*, literackie i fil-
snych Rosjan z męstwem rosyjskich żoł- mowe sensacje, seriale obyczajowe, film
nierzy i cywilów czasu II wojny świato- wojenny i historyczny itd.

wej, wskazujące na konieczność powrotu Natomiast omówiony jako ostat-
do tradycyjnych wartości, budzące sza- ni film *Blindaż* jest zapowiedzią przy-
cunek dla wojennej przeszłości i militar- szłych trudności podgatunku. Naprawdę
nych cnót ogólnie rzecz biorąc. Tu nie ma jest niejasne, dlaczego w tym filmie posta-
żadnych prób i błędów, gotowy schemat nowiono o potrzebach wojennych mówić
fabularny (a zatem i gatunkowy) pojawia nam za pomocą historycznej aluzji, skoro
się od razu i bywa powtarzany, aczkolwiek ma się do dyspozycji jak najbardziej real-
nie bez modyfikacji i uzupełnień go roz- ny, współczesny konflikt¹⁶. Po prostu ta
wijających. Sądzę, iż takie genologiczne aluzyjność stała się zbędna, co źle wróży
oblicze świadczy o tym, że te obrazy po- rozwojowi filmów o *popadańcach* w czasy
wstały na polityczne zamówienie, dobrze drugiej wojny światowej.

pokazują więc niektóre priorytety pań-
stwowego mecenasa w dziedzinie peda-
gogiki społecznej. Należący do tej grupy
film *Rubież* to już kolejny etap tej peda-
gogiki. Namawia już nie tylko do powrotu
do szacownych tradycji, ale i kontynuacji
ich na polu walki.

Jaki wniosek ogólny można wy-
ciągnąć z filmów, omawianych w drugiej
części artykułu? Ten zapewne dla poli-
tologa oczywisty – że obecnie trwająca
wojna z Ukrainą już co najmniej od 2008
roku, a może już od ukraińskiej „poma-
rańczowej rewolucji” w 2004¹⁵ była sta-
rannie propagandowo przygotowywana,
co wyklucza słuszność traktowania jej
jako przypadkowej, jako politycznego
„wypadku przy pracy”, a zachęca, aby
w niej widzieć element realizacji daleko-
siężnych, imperialnych planów. Rzecz ja-
sna wniosek ten powinien zostać jeszcze

¹⁵ Należy pamiętać, że produkcja
filmu trwa, a wcześniej należy wpaść na pomysł
i zgromadzić środki.

¹⁶ Być może wytłumaczeniem jest to,
że w Rosji czas jakiś po 2022 roku starano się
ukryć fakt prowadzenia wojny. Wydaje się jednak,
iż – przynajmniej w filmowej produkcji – ta
tendencja się nie utrzyma. Przykładem jest rosyjski
telewizyjny serial *Mobilizacja* z 2023 roku (reż.
Władimir Agranowicz), gdzie o wojennych
rozterkach mieszkańców Doniecka mówi się
wprost. Niestety nie mam dokładnych informacji,
kiedy serial kręcono, ale na pewno jego produkcja
mogła trwać o wiele krócej niż pełnometrażowego,
fabularnego filmu – serial może więc pełnić
propagandowe funkcje w sposób bardziej aktualny.

Tabela 1. Rosyjskie filmy o podróżach w czasie II wojny światowej.

Rok	Tytuł	Reżyser	Sytuacja	Daty	Gatunek	W rolach głównych
2008	My iz buduszczego (Jesteśmy z przyszłości)	Andriej Malukow	Realne przeniesienie w czasie za sprawą czynnika irracjonalnego	Współcześni młodzi Rosjanie (czarni kopacze) przeniesieni na front w 1942 roku	Film wojenny i obyczajowy; film współczesny + motyw fantastyczny	Daniła Kozłowskij, Andriej Tierientjew, Dmitrij Wołkostriełow, Władimir Jagłycz
2010	My iz buduszczego 2 (Jesteśmy z przyszłości 2)	Aleksandr Samochwałow, Boris Rostow	Realne przeniesienie w czasie za sprawą czynnika irracjonalnego	Współcześni młodzi Rosjanie i Ukraińcy (rekonstruktorzy) przeniesieni na front w 1944 rok	Film wojenny i obyczajowy film współczesny + motyw fantastyczny, wątek antyukraiński	Igor Pietrienko, Władimir Jagłycz, Aleksej Barabasz, Dmitrij Stupka, Jekatierina Klimowa
2010	Tuman 4 odc. lub wersja jednolita – film TV (Mgła)	Iwan Szurcho-wieckij, Artiom Aksionien-ko	Realne przeniesienie w czasie za sprawą czynnika irracjonalnego	Współcześni rosyjscy żołnierze z poboru są przeniesieni w czasie na front w 1941 r.; nie mając amunicji – uczą się wojaczki	Realistyczny film wojskowy i wojenny z elementem fantastycznym	Igor Szmakow, Wasilij Raksza, Artiem Kriestnikow, Grigorij Kalinin i in.
2012	Tuman 2 4 odc. (Mgła 2)	Iwan Szurcho-wieckij	Realne przeniesienie w czasie za sprawą czynnika irracjonalnego	Współcześni rosyjscy żołnierze z poboru przeniesieni w czasie na front w rok 1943. Biorą udział w walkach	Realistyczny film wojskowy i wojenny z elementem fantastycznym; silniejszy niż w 1 części element przygodowy	Artiem Kriestnikow, Dmitrij Siergin, Irina Gorbaczowa, Grigorij Kalinin i in.
2014	Wriemienszczik – 8 odcinków, w tym dwa spełniające kryteria doboru (dosł. 'pracownik tymczasowy')	Jurij Muzyka	Bohaterowie realnie podróżują w czasie z pomocą wynalazku alchemika z XVIII w.	Dwa ostatnie odcinki przenoszą bohaterów w 1943 rok. Spróbują odebrać Niemcom Bursztynową Komnatę. Serial nie ma poważniejszych ambicji historycznych czy ideowych	Serial typowo przygodowy o przeciwnikach, wędrujących w czasie i walczących ze sobą w różnych epokach	Timofiej Karatajew, Anton Szurcow, Natalja Skomorochowa, Michaił Riemizow, Siergiej Tiezow i in.

2018	Rubież – film fabularny (Rubież)	Dmitrij Tiurin	Wędrownka duszy bohatera, prawdopodobnie znajdującego się w komie. Przeniesienie w czasie nie jest racjonalnie objaśnialne, a status ontologiczny bohatera jest niejasny.	Współczesny, cyniczny biznesmen ma możliwość bycia świadkiem walk na przyczółku, (»Niewskij piataczok«), przygotowujących przerwanie blokady Leningradu	Dramat; film współczesny i obyczajowy, a w rzeczywistości historycznej – wojenny z akcentem moralistycznym i ideologicznym	Pawieł Priłucznyj, Igor Sklar, Siemion Trieskunow, Jelena Ładowa i in.
2022	Хронос – połączenie trzech nowel filmowych wg. opowiadań Kira Bułyczowa (Chronos)	R o m a n P r o s w i r n i n , D m i t r i j A b o ł m a s o w	Pierwsza z nowel Połomka na linii przedstawia m.in. realną podróż w czasie do obłąkanego Leningradu	Bohater z niedalekiej przyszłości chce ocalić przed głodową śmiercią leningradzkiego pisarza, aby ten mógł dokończyć swoje dzieło – próba się nie udaje.	Jest to typowe opowiadanie o możliwości (lub jej braku) zmiany współczesności za pomocą ingerencji w przeszłość. Posiada jednak wyraźny sens moralny.	Dmitrij Jendalcew, Wiktorija Kaczurowskaja, Roman Ładniew, Siergiej Potapow (II) i in.
2024	Blindaż – film fabularny (Ziemianka)	Mark Gorobiec, Ilja Kulikow	Realne, nieuzasadnione niczym przeniesienie w czasie za sprawą nieznanego czynnika irracjonalnego	Współcześni młodzi mężczyźni: Rosjanin (lekarz z Doniecka) i Niemiec (czarny kopacz) przeniesieni zostają na front w 1941 roku	Film współczesny, z akcentem obyczajowym) a w rzeczywistości historycznej – wojenny z przesłaniem ideologiczno-propagandowym	Aleksandr Mietiołkin, Daniel Littau, Wieronika Mochiriewa i in.

Źródło: badania własne

Bibliografia

* Ministerstwo kultury i turystyki Ukrainy informuje o sytuacji wokół filmu «My z majbutn'oho 2», patrz: „Prawa ludziny w Ukraini. Informacyjny portal Charkiwskoji prawozachysnoji hrupy”, 18.02.2010; <https://khp.org/1266449088>, dostęp: 13.06.2024.

* *Putin wmiestie s wietieranami i poiskownikami posmotriel film «Rubież»*, TASS 18 stycznia 2018, 13:33, obnowлено 18 stycznia 2018, 14:13; <https://tass.ru/obschestvo/4883438>, dostęp: 13.06.202.

* Anna Urmancewa, Jewgienij Lewkowicz: *Ocen' «ważnoje» kino. Kak dielajut dien'gi na ura-patriotycznych kartinach*, „Nowoje Wriemia”/”The New Times”, 10.03.2010; <https://newtimes.ru/articles/detail/16748/>, dostęp: 12.06.2024.



Książka powstała dzięki wydatnej pomocy prof. Kajtocha



Krzysztof Piotr Sawicki

Żołnierze Wyklęci – bohaterowie drugiej konspiracji

Motto:

„Naród, który nie szanuje swej przeszłości nie zasługuje na szacunek teraźniejszości i nie ma prawa do przyszłości.”

/Józef Piłsudski/¹

„Naród, który nie zna swojej przeszłości, umiera i nie buduje przyszłości”. (...) „Naród, który nie pamięta swojej historii, nie ma także swojej przyszłości.”

/Jan Paweł II/²

Pamięć o Tych, którzy zginęli w obronie wolności naszego kraju, jest w nas wciąż żywa. Druga wojna światowa – czas terroru, nienawiści, cierpienia, walki, śmierci. Czas, kiedy Polska przeżywała jedne z najgorszych chwil w całej historii istnienia państwa. Jednak pomimo czyhającego na każdym kroku niebezpieczeństwa, ludzie walczyli o własną godność i o wolność. Życie pod koniec drugiej połowy XX w. chyba nigdy nie miało aż tak gorzkiego smaku. Lecz pomimo tego wszystkiego, Polacy nie tracili ducha walki oraz starali się wyzwolić kraj od zagłady, która dotykała go każdego dnia. Przez lata poprawność polityczna nakazywała milczeć o Żołnierzach Niezłomnych. Nie dając się w akademicki spór dotyczący definicji konfliktu w powojennej Polsce i sprowadzający się do pytania, czy mieliśmy wówczas do czynienia z wojną domową, czy z powstaniem przeciwko nowej okupacji, spróbujmy scharakteryzować ten trudny

¹ <https://www.decomade.pl>. (dostęp: 05.01.2026 r.).

² <https://www.naszeblogi.pl>. (dostęp: 05.01.2026 r.).

w naszej historii czas. Komunistyczna prasa pisała o nich jako o „kontynuatorach ideologii i metod hitlerowskich”, dowódcach „bandy WiN”. Mimo to legenda o bohaterskich żołnierzach zdołała przetrwać okres PRL, a po upadku komunizmu stało się możliwe przywrócenie pamięci o nich całemu społeczeństwu.

O kim mówimy? Kim są Żołnierze Wyklęci? Żołnierze Wyklęci, także – Żołnierze Niezłomni. Polskie powojenne podziemie niepodległościowe i antykomunistyczne – antykomunistyczny, niepodległościowy ruch partyzancki, stawiający opór sowietyzacji Polski i podporządkowaniu jej ZSRR, toczący walkę ze służbami bezpieczeństwa ZSRR i podporządkowanymi im służbami w Polsce. Uczestnicy ruchu partyzanckiego określane są jako „żołnierze wyklęci”, „żołnierze drugiej konspiracji” czy jako „żołnierze niezłomni”.

W czasach PRL ogół jednostek antykomunistycznych określane były jako „reakcyjne podziemie.” Określenie „żołnierze wyklęci” powstało w 1993 roku – użyto go pierwszy raz w tytule wystawy *Żołnierze Wyklęci – antykomunistyczne podziemie zbrojne po 1944 r.*, organizowanej przez *Ligę Republikańską* na Uniwersytecie Warszawskim. Termin „żołnierze wyklęci” upowszechnił Jerzy Ślaski, publikując książkę o takim tytule – *Zyli prawem wilka*. I jakże trafnie zauważa w wierszu Zbigniew Herbert³:

³ <https://silesius.wroclaw.pl>. (dostęp: 05.01.2026 r.).

*Ponieważ żyli prawem wilka
historia o nich głucho milczy
pozostał po nich w kopnym śniegu
żółtawy moc i ten ślad wilczy*

*szybciej niż w plecty strzał zdradziecki
trafiła serce mściwa rozpacz
pili samogon jedli nędzę
tak się starali losom sprostać*

*już nie zostanie agronomem
„Ciemny” a „Świt” – księgowym
„Marusia” – matką „Grom” – poetą
posiwią śnieg ich młode głowy*

*nie oplakała ich Elektra
nie pogrzebała Antygona
i będą tak przez całą wieczność
w głębokim śniegu wiecznie konać*

*przeegrali dom swój w białym borze
kędy zawiewa sypki śnieg
nie nam żałować – gryzipiórkom –
i gładzić ich zmierzwioną sierść*

*ponieważ żyli prawem wilka
historia o nich głucho milczy
został na zawsze w dobrym śniegu
żółtawy moc i ten trop wilczy*

Czesław Miłosz w wierszu *Którzy skrzywdzicieś* charakteryzuje despotyzm, tragiczne skutki funkcjonowania systemu totalitarnego. Kontekst historyczny jest przy interpretacji utworu ważny, warto jednak także odwołać się do jego uniwersalnego wymiaru, którym jest ponadczasowy problem relacji władza – obywatel⁴.

*Który skrzywdzicieś człowieka prostego
Śmiechem nad krzywdą jego wybuchając,
Gromadę błaznów koło siebie mając
Na pomieszanie dobrego i złego,*

*Choćby przed tobą wszyscy się kłoniли
Cnotę i mądrość tobie przypisując,
Złote medale na twoją cześć kując,
Radzi że jeszcze dzień jeden przeżyli,*

*Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta.
Możesz go zabić – narodzi się nowy.
Spisane będą czyny i rozmowy.*

*Lepszy dla ciebie byłby świat zimowy
I sznur i gataż pod ciężarem zgięta.*

Po 1939 roku w Polsce nieprzerwanie – choć z różnym nasileniem – występowały postawy i poglądy antykomunistyczne. Jednak tylko w niektórych okresach, w szczególności w latach 40. XX w., uzewnętrzniały się one w postaci głębszej refleksji politycznej. Natomiast na płaszczyźnie światopoglądowej permanentny spór z marksizmem toczył Kościół katolicki, stając się w powojennej Polsce głównym ośrodkiem upowszechniania postaw i zachowań, odrzucających ideologię komunistyczną. Refleksja nad komunizmem w polskiej myśli politycznej po 1939 roku została w naturalny sposób zdeterminowana przez przebieg II wojny światowej i jej rezultaty. Ideologia marksistowsko-leninowska i jej materialny wytwór – Związek Sowiecki – obecne dotąd w postaci jednego z potencjalnych zagrożeń niepodległości Polski, przekształciły się stopniowo – w miarę postępów *Armii Czerwonej* na froncie wschodnim – w centralny problem, przed którym stanęli polscy politycy różnych orientacji. Antykomunizm, stanowiący wcześniej w koncepcjach programowych większo-

⁴ <https://www.poezja.org>. (dostęp: 06.01.2026 r.).

ści nurtów politycznych składnik raczej drugorzędny, stał się fundamentem, na którym próbowano budować różne wizje suwerennej, powojennej Polski.

Z chwilą zajęcia ziem polskich przez *Armię Czerwoną* i ustanowienia monopolistycznych rządów *Polskiej Partii Robotniczej*, antykomunizm stał się fundamentem myśli politycznej wszystkich odłamów podziemnej opozycji. Od początku zwracano uwagę na pozorny charakter tworzonego przez komunistów ustroju tzw. demokracji ludowej. Większość zbrojnego i politycznego podziemia – licząc na rychłą zmianę układu sił w Polsce za sprawą konfliktu między ZSRS a Zachodem – zalecała Polakom taktykę bojkotu politycznego reżimu, a zarazem wchodzenia w tworzone przezeń instytucje państwowe i gospodarcze. Sprzeciw wobec totalitarnego zagrożenia był też wyraźny w koncepcjach niezależnego ruchu ludowego, skupionego w ramach działającego legalnie mikołajczykowskiego *Polskiego Stronnictwa Ludowego*. Ludowcy, godząc się na udział w rządzie, zdominowanym przez komunistów, wybrali inną drogę niż większość krajowych i emigracyjnych sił politycznych. Ale była to przede wszystkim kwestia wyboru odmiennej metody walki z komunistycznym zagrożeniem, a nie kapitulacji przed nim. Dlatego opowiadając się w programie *PSL* z 1946 roku za budowę Polski Ludowej, podkreślano przywiązanie do idei agraryzmu i deklarowano konieczność jej obrony „przed zamachami wstecznictwa i totalizmu”⁵. Największe natężenie żywiołowego oporu społecznego, wyrażającego się zarówno w strajkach i demonstracjach, jak

też szerzeniu plotek i pogłosek, wymierzonych we władze miało miejsce wiosną 1946 roku, w okresie poprzedzającym referendum ludowe. Jego sfałszowanie, czemu towarzyszyła zmasowana kampania propagandowa oraz liczne akty terroru, doprowadziło na krótko do zmniejszenia się skali spontanicznego oporu, stawianego przez obywateli. Jednak już jesienią 1946 roku, w miarę zbliżania się wyborów do Sejmu w styczniu 1947 roku, znów wzrosła wśród Polaków nadzieja na zmianę powszechnie kontestowanego systemu.

Po 1947 roku poglądy i postawy antykomunistyczne nie zanikły całkowicie, czego najbardziej spektakularnym dowodem była – wciąż słabo znana – działalność zbrojnego i młodzieżowego podziemia, trwająca na relatywnie dużą skalę do połowy lat 50. XX w., ale zostały za pomocą terroru i zmasowanej indoktrynacji skutecznie wyparte z życia publicznego. Ostatnią niezależną organizacją społeczną, odwołującą się do wrogiego komunizmowi systemu wartości i poglądów, pozostał Kościół katolicki wraz ze skupionymi wokół niego środowiskami laikatu. Przesłanie Kościoła było oczywiście umiarkowane, niemniej jednoznaczne w swej wymowie. Najkrócej ujmowała je instrukcja, jaką Episkopat skierował w kwietniu 1948 roku do wszystkich księży. Biskupi stwierdzali w niej, że duszpasterz „nie będzie polemizował z reżimem i jego reprezentantami; winien [natomiast – A.D.] omawiać pozytywnie naukę katolicką, wskazać na różnice w stosunku do materializmu, wykazać niemożność połączenia dwu światopoglądów”⁶. Wprawdzie po podjęciu przez komunistów w 1949

⁵ *Ośrodek Myśli Politycznej*, <http://www.omp.org.pl>. (dostęp: 07.01.2026 r.).

⁶ <https://mbc.cyfrowe-mazowsze.pl>. (dostęp: 08.01.2026 r.).

roku zdecydowanej ofensywy antykościelnej, duchowieństwo coraz ostrożniej podkreślało fundamentalne różnice między katolicyzmem a marksizmem, ale nawet w najtrudniejszym okresie po uwięzieniu prymasa Stefana Wyszyńskiego (lata 1953-1956) hierarchowie nie zaczęli powtarzać głoszonych przez PAX poglądów o prometejskiej wspólnocie komunizmu i chrześcijaństwa.

Do charakterystycznych cech polskiej myśli antykomunistycznej w omawianych latach należało:

1. Częste utożsamianie antykomunizmu z wrogością wobec imperializmu rosyjskiego.
2. Traktowanie polskiego ruchu komunistycznego jako całkowicie niesuwerennego, zależnego od Moskwy i utrzymującego się u władzy głównie dzięki jej wsparciu.
3. Stopniowe odejście od używania przemocy jako skutecznej metody walki z komunizmem na rzecz stosowania wyłącznie pokojowych form działania.
4. Zróżnicowana ocena czynników, które najskuteczniej ograniczają ekspansję ideologii marksistowskiej (liberalizm i walka o prawa człowieka, czy też tradycja narodowa i wartości chrześcijańskie).
5. Rozbieżności w ocenie szans na ewolucję polskich komunistów w kierunku akceptacji pluralizmu oraz procesu demokracji.

Żołnierze Wyklęci jako pierwsi walczyli po wojnie z komunistycznym reżimem w Polsce. Dla większości z nich była to ta sama walka, na podjęcie której zdecydowali się w 1939 roku – walka o niepodległość ojczyzny. Zmienił się tylko wróg. W czasie II wojny światowej

Polacy stworzyli *Polskie Państwo Podziemne*, uznane w historii za fenomen. Były to ściśle zakonspirowane struktury państwowe podległe *Rządowi RP na Uchodźstwie*, w skład których, obok podziemnych administracji (*Delegatury Rządu na Kraj*) i parlamentu (*Rada Jedności Narodowej*) wchodziło najliczniejsze Wojsko Polskie w konspiracji, czyli *Armia Krajowa*. W 1944 roku liczyła ona około 380-400 tysięcy żołnierzy. W przysiędze, którą każdy z nich składał, powtarzali słowa: „niepodległość będzie twoją nagrodą, zdrada karana jest śmiercią”⁷.

Po wkroczeniu w 1944 roku *Armii Czerwonej* i zainstalowaniu się komunistycznego reżimu w Polsce, instytucje *Polskiego Państwa Podziemnego* formalnie przestały istnieć. Ale rozwiązanie *Armii Krajowej* w dniu 19. stycznia 1945 roku nie zakończyło jej rzeczywistej działalności. Mimo tragicznej sytuacji, w jakiej znalazła się Polska, zdradzona w Teheranie oraz Jałcie przez zachodnich aliantów i wepchnięta do sowieckiej strefy wpływów, wielu żołnierzy pozostało wiernych moralnemu nakazowi walki o niepodległość. Wierzyli, że możliwy jest wybuch trzeciej wojny światowej, w której zachodnie mocarstwa pokonają Związek Sowiecki i ich walka przyniesie Polsce wolność. Te nadzieje były z czasem coraz słabsze. Jeszcze przed rozwiązaniem *AK*, w 1944 roku, gen. August Emil Fieldorf *Nil*, szef *Kedywu AK*, zaczął organizować nową strukturę *Nie (Niepodległość)*, nastawioną na długofalowe działanie. Po podstępnym uwię-

⁷ *Przysięga Armii Krajowej*, Blisko Polski, <https://www.bliskopolski.pl>. Dostęp: (09.01.2026 r.).

zieniu przez Sowietów, w marcu 1945 roku, przywódców państwa podziemnego, w tym komendanta głównego *AK*, gen. Leopolda Okulickiego *Niedźwiadka*, uznano ją za zdekonspirowaną i rozwiązano. Jednocześnie gen. Władysław Anders, pełniący obowiązki Naczelnego Wodza, powołał *Delegaturę Sił Zbrojnych (DSZ)*, która próbowała przeprowadzić tajną demobilizację poakowskich oddziałów leśnych, powstających spontanicznie w odpowiedzi na sowiecki terror. I choć walka zbrojna skazana była na niepowodzenie, to jednak wyjście z lasu nie tylko nie dawało gwarancji bezpieczeństwa ujawniającym się, ale zagrażało także pozostającym w podziemiu⁸.

DSZ została rozwiązana 6. sierpnia 1945 roku, a jej dowódcy wraz z płk Janem Rzepeckim *Ożogiem* powołali 2. września 1945 roku w Warszawie *Zrzeszenie Wolność i Niezawistość (WiN)*. W latach 1945-1947 była to największa ogólnopolska organizacja niepodległościowa, licząca 30-40 tysięcy ludzi. Miała charakter cywilny i obywatelski, a nie wojskowy (obieralne władze, rezygnacja ze stopni wojskowych, tajna demobilizacja oddziałów partyzanckich). Ale, jak stwierdził Janusz Kurtyka, „paradoksem jest, że dążąc do „rozładowania lasów”, przywódcy *WiN* byli jednocześnie zwierzchnikami najliczniejszych oddziałów partyzanckich (operujących zwłaszcza na Białostocczyźnie, Lubelszczyźnie, na części Mazowsza), które powstawały w związku ze stałym napływem ludzi, zagrożonych represjami (ze strony *NKWD*, *KBW* czy też *UB*) lub dezertersów z „ludowego” *Wojska Polskiego*”⁹.

⁸ A. Czubiński, *Historia Polski 1864-2001*, Wrocław-Warszawa-Kraków 2003, ss. 201-266.

⁹ *Największa opozycja antykomuni-*

Celem *WiN* było „wywalczenie wprowadzenia w Polsce w życie zasad demokracji w zachodnioeuropejskim znaczeniu tego określenia. (...) Pierwszym krokiem do osiągnięcia celu zasadniczego jest wywalczenie przeprowadzenia uczciwych wyborów powszechnych do nowego sejmów ustawodawczego”¹⁰. I tego właśnie celu nie udało się osiągnąć. Wybory w styczniu 1947 roku zostały przez komunistów sfalszowane. Do 1947 roku cztery kolejne Zarządy Główne *WiN* zostały rozbite, a ich członkowie poddani okrutnym śledztwom, skazani na surowe wyroki, z karą śmierci łącznie. Na dodatek bezpieka, na skutek zdrady Stefana Sieńki *Wiktora*, kierownika *Biura Studiów* pionu informacji *IV Zarządu*, przeprowadziła wielką prowokację (operacja *Cezary*), powołując tak zwaną *V Komendę Główną WiN*, „ujawnioną” dopiero w grudniu 1952 roku¹¹.

Poza *Zrzeszeniem WiN* przeciwstawiały się komunistom także inne organizacje niepodległościowe. Ogólnopolski charakter miała konspiracja, związana z obozem narodowym. Do powstałego w listopadzie 1944 roku *Narodowego Zjednoczenia Wojskowego (NZW)*, po rozwiązaniu *AK* przystąpiły, scalone wcześniej z *AK* – *Narodowa Organizacja Wojskowa (NOW)* oraz część *Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ)*. Żołnierze niepodległościowego podziemia walczyli także

styczna. O *Zrzeszeniu „Wolność i Niezawistość” z Wojciechem Frazikiem, Januszem Kurtyką i Tomaszem Łabuszewskim rozmawia Barbara Polak*, Wywiady – Janusz Kurtyka, <http://www.janusz-kurtyka.info>. (dostęp: 09.01.2026 r.).

¹⁰ *Zrzeszenie „Wolność i Niezawistość” – następca Armii Krajowej wciąż nieznan?* Instytut Pamięci Narodowej, <https://ipn.gov.pl>. (dostęp: 10.01.2026 r.).

¹¹ W. Roszkowski, *Najnowsza Historia Polski 1945-1956*, Warszawa 2011, ss. 103-258.

na Kresach Rzeczypospolitej, które zostały włączone do Związku Sowieckiego. Na Wileńszczyźnie, Nowogródzkiej i Grodzieńszczyźnie większe oddziały partyzanckie zostały zlikwidowane w 1949 roku. Po 1947 roku zaczęły także powstawać nowe konspiracyjne organizacje młodzieżowe. Tworzyli je młodzi niezłomni ludzie, którzy nie zdążyli z racji wieku wziąć udziału w wojnie. Zapamiętani w swoich ojców i starszych braci z *Armii Krajowej*, *Szarych Szeregów* czy *Narodowych Sił Zbrojnych*, niegodzący się na komunistyczne zniewolenie podjęli swoją walkę w tzw. trzeciej konspiracji. Przez prawie tysiąc grup powstałych do 1956 roku przewinęło się ponad 10 tysięcy osób. Komuniści rozprawiali się z nimi tak samo bezwzględnie jak z dorosłymi. Byli więzieni, torturowani, a nawet skazywani na śmierć.

Po rozbięciu przez UB większości organizacji i oddziałów leśnych pod koniec lat 40. XX w., pojedynczy partyzanci przetrwali w konspiracji jeszcze do połowy lat 50. XX w. Ostatnim żołnierzem antykomunistycznego podziemia poległym w walce był Józef Franczak „Lalek”, zastrzelony przez funkcjonariuszy *ORMO* i *SB* 21. października 1963 roku. Kilka miesięcy wcześniej, w marcu 1963 r. aresztowano, ukrywającego się skutecznie pod innym nazwiskiem przez 18 lat, żołnierza *Narodowych Sił Zbrojnych* – Czesława Czaplickiego. Wyrok zapadł w czerwcu 1964 roku. Prokurator żądał kary śmierci, ostatecznie sąd wydał wyrok 15 lat – zamieniony następnie na 5 lat. Więzienie opuścił w marcu 1968 roku. Wojna trwała dla niego 23 lata. Z kolei ostatniego emisariusza *Zrzeszenia WiN*, Adama Boryczkę *Tońka*, zwolniono z więzienia w 1967 roku. Odkąd

wyruszył na wojnę w 1939 roku, minęło dwadzieścia osiem lat – to całe pokolenie. Jeszcze dłużej na spotkanie z bliskimi musieli czekać kpt. Tadeusz Zajączek czy rtm. Kazimierz Wybranowski z *Narodowych Sił Zbrojnych* oraz Andrzej Kiszka *Dąb*, który opuścił więzienie w 1971 roku, już za rządów Edwarda Gierka – I Sekretarza *Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej*¹².

Instalowanie w Polsce sowieckiego systemu, nazwane później walką o „utrwalanie władzy ludowej”, było krwawą operacją, przeprowadzoną przy pomocy terroru sowieckiego wojska i podporządkowanego Sowiетom komunistycznego aparatu bezpieczeństwa, którego podstawę stanowili oficerowie *NKWD* (jako *sowiećnicy*, czyli „doradcy”) i przeszkoleni na sowieckich kursach komuniści (Polacy, Żydzi, Ukraińcy, Białorusini). Do „Polski Lubelskiej” przetrzucone zostały trzy dywizje wojsk *NKWD*, które pomagały „ludowemu” Wojsku Polskiemu w zwalczaniu niepodległościowego podziemia. Kiedy jesienią 1946 roku zaczęto wycofywać Wojska Wewnętrzne *NKWD* z Polski, na prośbę Bolesława Bieruta jeszcze do marca 1947 roku pozostawiono ich 64. Dywizję. Sowiecki gen. Bolesław Kieniewicz dowodził prawie 30-tysięcznym *Korpusem Bezpieczeństwa Wewnętrznego*, na czele „ludowego” WP także stali sowieccy oficerowie. Jak podaje historyk Sławomir Cenckiewicz, przez „ludowe” wojsko przewinęło się ponad 20 tysięcy oficerów sowieckich¹³.

Przywieziony z Moskwy marionetkowy rząd *PKWN* (lubelski) na pod-

¹² A. Albert, *Najnowsza Historia Polski 1914-1993*, Warszawa 1995, t.2, ss. 7-421.

¹³ Ibidem.

stawie uchwalanych przez siebie dekretów poddawał represjom i pacyfikował polskie społeczeństwo. Słynna „sierpniówka”, czyli dekret z 31, sierpnia 1944 roku *O wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy winnych zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną i jeńcami oraz dla zdrajców Narodu Polskiego*, był wykorzystywany do skazywania na śmierć największych polskich patriotów, w tym gen. Augusta Emila Fieldorfa *Nila*¹⁴.

W niepodległościowym podziemiu w 1945 roku przeciwstawiało się komunistycznemu reżimowi w Polsce około 120-180 tysięcy osób. Oddziały zbrojne nie mogłyby przetrwać w terenie bez pomocy miejscowej ludności, wśród której miały swoich zaufanych informatorów, łączników, lekarzy, aptekarzy, księży i in. Mieszkańcy wsi i miasteczek, mimo grożących im za to represji, udzielali partyzantom gościny, schronienia i zaopatrzenia, ci zaś bronili ich, często skutecznie, przed bezprawiem komunistycznych urzędników i funkcjonariuszy. W odwecie za pomoc „leśnym” bezpieczeństwa spaliła m.in. 2. maja 1946 ówczesną wieś (dziś znów miasto) Wąwolnica w Lubelskiem. Spłonęło 100 domów mieszkalnych i kilkaset zabudowań gospodarskich. O tych ludziach również musimy pamiętać, mówiąc o Żołnierzach Wyklętych. W czasie akcji zbrojnego podziemia, jak podają wciąż źródła komunistyczne, zginęło około 12 tysięcy funkcjonariuszy i żołnierzy służb mundurowych (*UB, KBW, MO, WP, ORMO*), tysiąc żołnierzy *Armii Czerwonej* i funkcjonariuszy *NKWD* oraz 10 tysięcy cywilów (działacze partyjni, agenci *UB* i *NKWD*). We-

¹⁴ Ibidem.

dług tych samych danych, w walce poległo przeszło 8,6 tysiąca konspiratorów, a 79 tysięcy zostało aresztowanych. Na karę śmierci w latach 1944-1956 z przyczyn politycznych skazano 5 tysięcy osób, ponad połowę tych wyroków wykonano.

Po upadku PRL-u w 1994 r., za rządów koalicji *SLD-PSL* i w roku 50-lecia PRL Sejm przyjął uchwałę w sprawie zbrodniczych działań aparatu bezpieczeństwa państwowego w latach 1944-1956, w której stwierdził, że „struktury *Urzędu Bezpieczeństwa, Informacji Wojskowej*, prokuratury wojskowej i sądownictwa wojskowego, które w latach 1944-1956 były przeznaczone do zwalczania organizacji i osób, działających na rzecz suwerenności i niepodległości Polski, są odpowiedzialne za cierpienia i śmierć wielu tysięcy obywateli polskich”¹⁵. W roku następnym Sejm znowelizował kodeks karny, umożliwiając przedłużenie okresu ścigania funkcjonariuszy PRL. Wprowadzono zapis: „Bieg terminu przedawnienia umyślnych przestępstw przeciwko życiu, zdrowiu, wolności lub wymiarowi sprawiedliwości, zagrożonych karą pozbawienia wolności powyżej trzech lat, popełnionych przez funkcjonariuszy publicznych – w okresie od 1. stycznia 1944 roku do 31. grudnia 1989 roku – w czasie lub w związku z pełnieniem ich funkcji, rozpoczyna się od dnia 1. stycznia 1990 roku”¹⁶.

Wysiłek niepokornych historyków, kombatanów, ludzi, którzy nie godzili się na trwanie w kłamstwie o drugiej konspiracji niepodległościowej, czyli

¹⁵ *Sejm*, <https://isap.sejm.gov.pl>. (dostęp: 11.01.2026 r.).

¹⁶ *Internetowy System Aktów Prawnych (ISAP)*, <https://isap.sejm.gov.pl>. (dostęp: 11.01.2026 r.).

powojennej partyzantce antykomunistycznej, powoli przynosi efekty. W 2001 roku Sejm RP – mimo oporu postkomunistycznych środowisk – przyjął uchwałę, uznającą zasługi „organizacji i grup niepodległościowych, które po zakończeniu drugiej wojny światowej zdecydowały się na podjęcie nierównej walki o suwerenność i niepodległość Polski” oraz stwierdzającą, iż „organizacja *Wolność i Niezawisłość*, kontynuatorka tradycji walk *Armii Krajowej*, dobrze zasłużyła się Ojczyźnie”¹⁷. Tym samym oddano wreszcie, po latach PRL-owskiego zakłamywania prawdy, hołd prześladowanym, więzionym, poległym i pomordowanym oraz wszystkim bohaterom, walczącym z najeźdźcą sowieckim.

Inicjatywę ustawodawczą w zakresie uchwalenia święta upamiętniającego żołnierzy podziemia niepodległościowego podjął w 2010 roku prezydent Lech Kaczyński¹⁸. Na skutek działań organizacji kombatanckich reprezentujących *Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość*, *Związek Żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych*, *Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej*. Za ustawą głosowały niemal jednogłośnie wszystkie kluby poselskie. Po jego śmierci prezydent Bronisław Komorowski podtrzymał projekt. 1. marca *Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych* został ustanowiony świętem państwowym przez Sejm 3. lutego 2011 roku. Prezydent podpisał ustawę w dniu 9. lutego 2011 roku. Dzień 1. marca stał się symbolem początków innych działań na rzecz przywracania tym Żołnierzom

należnego im miejsca w panteonie narodowej pamięci. Data święta nie jest przypadkowa. 1. marca 1951 roku wykonany został wyrok śmierci na kierownictwie *IV Komendy Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość*: Łukaszu Cieplińskim, Mieczysławie Kawalcu, Józefie Batorym, Adamie Lazarowiczu, Franciszku Błażeju, Karolu Chmielu i Józefie Rzepce. Stanowili oni ostatnie kierownictwo ostatniej ogólnopolskiej organizacji, kontynuującej od 1945 roku tradycję *AK*. Aresztowano ich w czasie od listopada 1947 roku do lutego 1948 roku Przeszli wyjątkowo barbarzyńskie śledztwo. Prezes *WiN*, ppłk Łukasz Ciepliński (legendarny inspektor rzeszowski *AK* w czasie wojny) w momencie śmierci był półgłuchym kaleką, jeden z jego towarzyszy w wyniku tortur postradał zmysły, inny był tak bity, że nigdy nie zablizniły mu się wojenne rany. Ostatni z Żołnierzy Niezlomnych – Józef Franczak ps. *Lalek* – zginął w obławie *SB* i *ORMO* w Majdanie Kozic Górnych pod Piaskami w woj. lubelskim, 21. października 1963 roku.

W praktyce jednak większość organizacji zbrojnych upadła na skutek braku reakcji mocarstw zachodnich na sfałszowanie przez *PPR* wyborów do Sejmu Ustawodawczego w styczniu 1947 roku i powyborczej amnestii, po której podziemie liczyło nie więcej niż dwa tysiące osób. Komuniści nie mieli społecznego poparcia, dlatego niemal wszystkie ich działania po wejściu wojsk sowieckich na ziemię polskie i później po zakończeniu II wojny światowej miały na celu zniszczenie wszelkiej opozycyjnej działalności, do unicestwienia fizycznego włącznie. W celu zlikwidowania podziemia uzyskali wsparcie przebywa-

¹⁷ *Sejm*, <https://orka.sejm.gov.pl>. (dostęp: 11.01.2026 r.).

¹⁸ *Oficjalna strona Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej*, <https://www.prezydent.pl>. (dostęp: 12.01.2026 r.).

jących na ziemiach polskich oddziałów NKWD, armii sowieckiej, a także powołał *Urząd Bezpieczeństwa* i rozbudował wojska wewnętrzne, powołując *Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego*.

Narodowy Dzień Pamięci o Żołnierzach Wyklętych – to święto pamięci tych „wyklętych” bardziej światu znanych: jak rotmistrz Pilecki, gen. August Emil Fieldorf *Nil*, Franciszek Niepokólczycki – prezes kolejnego *Zarządu Głównego WiN* (organizacji, której pierwsza nazwa brzmiała: *Ruch Oporu bez Wojny i Dywersji Wolność i Niezawisłość*, potem zaś tylko *WiN*). Żołnierze Wyklęci to Ci, którzy nie godzili się na wymianę okupacji niemieckiej na sowiecką, byli przeciwni wynaradawianiu Polaków oraz pogłębiającej się zależności i poddaństwa wobec Rosji. To dzień tych, którzy pragnęli kraju suwerennego z władzą, pochodzącą od ludu i wolną od reżimu. To również w dużym stopniu upamiętnienie tych, którzy polegli na polu walki, oddając swoje życie w imię idei. Czegoś, czego wartości nie da się określić, zmaterializować i oszacować. Oddali życie, bo tak rozumieli swój patriotyzm.

Wszystkie zrywy, które dziś oceniamy z perspektywy czasu, efektów i poniesionych konsekwencji, łatwo jest określić jako bezsensowne i utopijne. Tak wielu przecież próbowało, a tak niewielu z nich zwyciężyło. Ilu chciało być bohaterami, którym Bóg, Honor i Ojczyzna wybrzmiewały w sercu, a ilu z nich realnie odniosło sukces albo przynajmniej pozwoliło potomnym odnieść jakiegokolwiek zwycięstwa już bez przelewu krwi. „Trzeba wspomnieć wszystkich, zamordowanych rękami także polskich instytucji i służb bezpieczeństwa, pozostających

na usługach systemu przyniesionego ze wschodu. Trzeba ich przynajmniej przypomnieć przed Bogiem i historią, aby nie zamazywać prawdy naszej przeszłości, w tym decydującym momencie dziejów”¹⁹. Słowa Ojca Świętego brzmią dzisiaj jak *memento*, jak wielkie ostrzeżenie, jak dramatyczne wołanie o prawo Polaków do poznawania swojej historii, swoich korzeni. Największą zbrodnią było skazanie tych ludzi na zapomnienie przez historię, o co tak bardzo dbały komunistyczne władze, a co na szczęście się nie powiodło, bo prawda zwyciężyła. Postawa Żołnierzy Niezłomnych uczy nas, że z haseł wypisanych na sztandarach: Bóg – Honor – Ojczyzna – nie możemy niczego uronić za naszego życia. Tak, jak potrafili uczynić to dla Polski Żołnierze Niezłomni, którzy zapłacili za to najwyższą cenę.

Jan Paweł II był wielkim orędownikiem przebaczenia, świadkiem dwóch największych totalitaryzmów XX wieku, który swoje nauczanie potwierdzał wieloma czynami, m. in. przebacząc swemu zamachowcy. Papież-apostoł miłości i pokoju, przebaczenia i pojednania nie odmówił wyznawcom Chrystusa prawa do obrony najwyższych wartości, do jakich należą wolność i niepodległość Ojczyzny. W 1983 roku na Kahlenbergu w 300. rocznicę odsieczy wiedeńskiej powiedział, „że choć w Ewangelii nie słycać szczęku oręza, to jednak, kiedy zajdzie taka potrzeba, wyznawca Chrystusa ma obowiązek stanąć w obronie Ojczyzny i podstawowych praw człowieka”²⁰. Ile-

¹⁹ *Słowa Jana Pawła II z 10.05.1994 roku, Niezależna*, <https://niezalezna.pl>. (dostęp: 12.01.2026 r.).

²⁰ *Papież na Kahlenbergu – Jan Paweł II*, <https://adonai.pl>. (dostęp: 12.01.2026 r.).

króć odwiedzał swoją Ojczyznę, potwierdzał prawdziwość tych słów przez modlitwę za obrońców naszych granic i naszej wolności, nawiedzając ich groby i miejsca pamięci.

Po zakończeniu II wojny światowej Polacy nie mogli cieszyć się z odzyskanej wolności i suwerenności, dlatego wielu żołnierzy *Armii Krajowej* i innych organizacji nie złożyło broni i podjęło walkę zbrojną. W 1947 roku, gdy została ogłoszona amnestia, wielu żołnierzy walczącego podziemia uznało ją za podstęp. I nie pomylili się! Tysiące z tych, którzy zachęceni przez władzę ludową ujawnili swoją konspiracyjną przeszłość, wypełniało więzienia i ubeckie kazamaty lub też zostało deportowanych na Sybir. Wielu straciło życie na skutek bestialskich przesłuchań, przez powieszenie lub „metodą katyńską” – strzałem w potylicę. Oprawcy, wrzucając ciała ofiar do dołów śmierci, skazywali ich na zapomnienie. Tutaj trudno o analizę, trudno jakieś rozstrząsać sądy. Zwracam się do poezji, do testamentu naszego wieszca narodowego, Juliusza Słowackiego, który w wierszu *Testament mój* pisze²¹:

*Lecz wy, coście mnie znali, w podaniach
przekażcie,
Żem dla ojczyzny sterat moje lata młode;
A póki okręt walczył – siedziałem na
maszcie,
A gdy tonął – z okrętem poszedłem pod
wodę...*

W tych strofach zawarta jest cała biografia Żołnierzy Wyklętych, którzy zabici, zamordowani, mieli w ogóle

²¹ J. Słowacki, *Testament mój*. Biblioteka Literatury Polskiej, <https://literat.ug.edu.pl> (dostęp: 12.01.2026 r.).

nie istnieć dla potomnych. To dopiero w ostatnich latach odnaleziono Łączkę na Cmentarzu Powązkowskim i teraz powoli poznajemy ich imiona, nazwiska, pseudonimy. Mauzoleum na Łączce byłoby miejscem należnej dumy, a nie zapomnienia. Napis jak pod Termopilami²²: „Przechodniu powiedz współbraciom, że walczyliśmy mężnie i umierali bez trwogi, z troską w sercu o losy Polski, o losy przyszłych pokoleń – o wasze losy.”

Uczymy się ich myślenia, zastanawiamy nad lękiem cierpienia, śmierci. Od św. Franciszka z Asyżu nauczyliśmy się patrzeć na śmierć jako na godzinę siostrzaną – siostrę śmierć. Św. Teresa od Dzieciątka Jezus, Teresa z Lisieux, która w żółtym pamiętniku spisywała swoje myśli, przybliżyła nam duchowe rozterki co do umierania, a jednocześnie stwierdziła – „Nigdy nie będę umiała umrzeć”²³. Roman Brandstaetter, myśląc o swojej rodzinie, która zginęła w obozie w Auschwitz, zwraca się do... śmierci, z prośbą²⁴:

²² *Brainly*, <https://brainly.pl>. (dostęp: 13.01.2026 r.).

²³ Św. Teresa od Dzieciątka Jezus – Kościół Rzymskokatolicki, *Fora.pl*, <https://www.traditia.fora.pl>. (dostęp: 13.01.2026 r.).

²⁴ R. Brandstaetter, *Wiersze i poematy, Hymn do Madonny Dobrej Śmierci*, Warszawa 2010.

*Nie bądź
Piekłem
Z otchłani Boscha.*

*Ani
Tańcem szkieletów
Z klepsydrą w dłoni.*

*Ani
Katakumbami rozpaczy.*

Po czym przechodzi do formułowania życzeń:

*Bądź oblubienicą
Z królewskich namiotów.*

*Bądź wzgórzem oliwnym,
Snopkiem mirry
I wiązka aloesu.*

To słowo „bądź”, napisane w imperatywie, jak rozkaz brzmi, czy jak znak stworzenia: niech się stanie światłość. A Jan Kasprowicz w swojej wizji Młodej Polski pisze²⁵:

*Boże...
Masz-li Ty grom –
Masz-li Ty chmurę w ten południa skwar,
aby z niej piorun padł
i od Szatana uwolnił ten świat?...
Wal błyskawicą, wal!
Niechaj się łamie,
niech się rozkruszy ta zdrada,
która nad życiem i nad śmiercią włada!...*

I cóż nam pozostaje... Modlitwa. Wobec ludzkiego cierpienia, wobec historii, wobec wielkiej tajemnicy życia i śmierci. Pozostaje modlitwa... *Modlitwa* Bułata Okudźawy²⁶:

*Ja wiem, że Ty wszystko możesz,
ja wierzę w Twą moc i gest,
jak wierzy żołnierz zabity,
że w siódmym niebie jest,
jak zmysł każdy chłonie
z wiarą Twój ledwie słyszalny głos,
jak wszyscy wierzymy w Ciebie,
nie wiedząc, co niesie los.*

Wracajmy do naszych korzeni, dbajmy o pamięć i prawdę. Nie tylko przy okazji 15. sierpnia, 11. listopada czy 1. marca. Dzisiaj nasz kraj, nasze małe ojczyzny wymagają tego innego patriotyzmu, przejawiającego się szacunkiem i poszanowaniem państwa, codziennym, rzetelnym wypełnianiem naszych obowiązków. Tak buduje się przyszłość. Z tego będziemy zdawać sprawę nie tylko przed historią, ale przed naszymi dziećmi i wnukami. Dziś, na nasze szczęście miarą miłości do Ojczyzny nie jest bohaterstwo na polu bitwy, ale to, ile potrafimy dać z siebie dla jej rozwoju.

Mówiono kiedyś, iż we krwi każdego Polaka płynie czysta odwaga, gotowość do poświęcenia wszystkiego w imię wartości najwyższej, którą była ojczyzna – ta stanowczość budziła trwogę w sercach wrogów, łączyła naród w całość. Stawała się bodźcem do działania, w jednej chwili znikwały wszelkie konflikty, rodziło się braterstwo. Nie musimy już walczyć, lecz naszym obowiązkiem jest pamiętać. Warto jest czasem zmusić się do refleksji – możemy mieć pretensje do władzy, dostrzegać problemy bezrobocia, zawiść i egoizm, obawiać się przyszłości... Nasz kraj nie jest idealną, utopią o której marzyli romantycy, ale istnieje, rozwija się i jest naszym własnym miejscem na świecie.

²⁵ J. Kasprowicz, *Hymny. Święty Boże, Święty Mocny*, Warszawa 1922.

²⁶ B. Okudźawa, *Modlitwa*, ISing,

<https://ising.pl>, (dostęp: 14.01.2026 r.). Tłum. na polski Andrzej Mandalian.

To od nas zależy jego przyszły kształt. Nie po to przez wieki ulicami płynęła krew, byś teraz mógł powiedzieć, że wstydzisz się, iż jesteś Polakiem. Musimy więc pamiętać o tym, co się wydarzyło. Opowieść o ludzkim cierpieniu nie może zniknąć wraz z upływem czasu. Nie możemy zapomnieć o poświęceniu ze strony innych i ich desperackiej walce o podstawowe, ludzkie wartości. Chcąc wymagać od innych, by pamiętali o nas, my najpierw musimy pamiętać o tych, co przeminęli! Cieszyć się należy, że polski patriotyzm jest potężną siłą, której tak boją się ci, dla których słowo: **Polska** jest głuchym wyrazem. Że dla wielu Polaków hasło zdobiące tak wiele sztandarów: *Bóg – Honor – Ojczyzna* jest świętością, drogowskazem bycia Polakiem. Że miliony polskich serc przepętania prawdziwa i bezinteresowna miłość do Ojczyzny, które chcą służyć jej służyć. Że wszystko co polskie, jest powodem do dumy. Wspomnieć należy skupiający dziesiątki tysięcy patriotów – tak ich trzeba nazwać! – coroczny *Marsz Niepodległości*. To jest pamięć o ważnych wydarzeniach w historii Polski, to są hołdy składane tym, którzy swoje życie poświęcili Ojczyźnie. Bo bardzo wielu Polaków chce o tym pamiętać i kłaść podwaliny pod jej dumną przyszłość. Dzisiaj nie trzeba składać ofiary życia na Ojczyźnie ołtarzu, ale trzeba składać ofiarę umiłowania Ojczyzny i poświęcenia jej swojej pracy i trudu każdego dnia. Choć to niełatwe, ale warte jest starania. Jakże trafnie to ujął Prymas Tysiąclecia ks. kadr. Stefan Wyszyński, który powiedział: „Piękną i zaszczytną rzeczą jest umrzeć za Ojczyznę. Jednakże trudniej jest niekiedy żyć dla Ojczyzny. (...) Większym

niekiedy bohaterstwem jest żyć, trwać, wytrzymać całe lata.” Temu wskazaniu nie można pozwolić zaginać ani się mu sprzeniewierzyć. Bo tylko wtedy, idąc za tym wskazaniem, „Polska zawsze będzie Polską”²⁷.

Nie poszli na żaden kompromis i zapłacili za to cenę najwyższą. Ich rozstrzelane i pohańbione ciała wystawiano na ulicach, aby krzyczały, że taki będzie koniec każdego, kto odważy się zamaryć o wolnej Polsce. Po latach walki z okupantem niemieckim i sowieckim przyszło im walczyć z rodzimymi komunistami, którzy nie tylko ich mordowali i torturowali, ale uczynili wszystko, aby zhańbić po śmierci i w końcu skazać na zapomnienie. Nie mieli prawa istnieć w narodowej pamięci. Przez komunistów zostali wyklęci. Dla tych, którzy przeżyli, nie było miejsca na uniwersytetach, nie wyjeżdżali na zagraniczne stypendia. W PRL byli obywatelami drugiej kategorii. Zemsta komunistów dosięgła także ich bliskich – rodzin. Prześladowani byli rodzice, rodzeństwo, krewni. Także kolejne pokolenie – ich dzieci – miały zapłacić za wierność swych rodziców Polsce. Nie zabrakło więc nie tylko mordujących ich funkcjonariuszy UB, prokuratorów, sędziów, ale i tych co zabijali słowem – pisali oszczercze książki, wiersze, reżyserowali i kręcili tendencyjne filmy, rzeźbili pomniki zbrodniarzy. Gdy upadł komunizm, wydawało się, iż odzyskująca wolność Polska zacznie budowę nowego państwa od fundamentów, a jednym z jego filarów będzie szacunek dla tych,

²⁷ Kardynał Stefan Wyszyński – *Piewca miłości do Ojczyzny i Narodu*, Biblioteka Uniwersytetu KUL, <https://www.bu.kul.pl>, (dostęp: 14.01.2026 r.).

którzy o tę niepodległość walczyli, tak jak II Rzeczypospolita zadbała o ostatnich powstańców styczniowych. Historia potoczyła się jednak inaczej.

Z czasem poszerzał się krąg historyków zafascynowanych historią „Wyklętych”. Kolejne tomy Oficyny Wydawniczej *Volumen* – wśród nich album *Żołnierze wyklęci. Antykomunistyczne podziemie zbrojne po 1944 roku*, publikacje i pomniki Fundacji *Pamiętamy*, uwieczniające bohaterów antysowieckiego powstania z lat 1944–1956, czy skierowany głównie do młodzieży projekt *Twardzi jak stal* (muzyczny hołd *Narodowym Siłom Zbrojnym*), płyta zespołu *De Press – Myśmy rebelianci. Piosenki żołnierzy wyklętych*, a także coroczne rajdy szlakami *Zapory*, *Łupaszki*, *Bartka*, *Żubryda* – powoli przywracają Wyklętych narodowej pamięci. Niewątpliwie szczególną rolę odegrała tu działalność *Instytutu Pamięci Narodowej* pod kierownictwem śp. Janusza Kurtyki i poświęcone tematyce Wyklętych wystawy, sesje i publikacje.

Przez wiele lat o pamięć dla Wyklętych zabiegały tylko środowiska kombatanckie i ich rodziny. Starania te zostały wsparte przez Janusza Kurtykę, prezesa *Instytutu Pamięci Narodowej*, natomiast Prezydent RP Lech Kaczyński – wielokrotnie wcześniej honorujący poległych żołnierzy antykomunistycznego podziemia odznaczeniami i awansami – zgłosił inicjatywę ustawodawczą, której celem było ustanowienie święta państwowego: *Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych*. Nowe święto państwowe, ustanowione przez Sejm RP „w hołdzie Żołnierzom Wyklętym”, po raz pierwszy obchodziliśmy 1. marca 2011 r. Dopiero w 23. roku od upadku komunizmu pod-

jęto prace ekshumacyjne na warszawskiej Łączce, miejscu, gdzie odnalazły się ofiary komunistycznych mordów.

Groby były maskowane, a część ciał próbowano rozpuścić substancjami chemicznymi. Komuniści chcieli bowiem zatrzeć wszelkie ślady. Otwarte groby jednak przemówiły, ujawniając jednocześnie prawdę o katach Żołnierzy Wyklętych. Żołnierze antykomunistycznego niepodległościowego powstania to przede wszystkim synowie chłopów i rzemieślników, a także młodzi nauczyciele, urzędnicy, leśnicy, oficerowie i podoficerowie rezerwy, czasem oficerowie zawodowi, a nawet maturzyści i gimnazjaliści, wywodzący się z małych miasteczek i wsi. Niektórzy z nich walczyli o niepodległość Polski w latach 1918–1920. Większość należała do konspiracji od 1939 r. Wszystkich ich łączyła niezgoda na komunistyczne rządy i gotowość do walki o wolność, nawet za cenę życia. Wychowani w przedwojennej Polsce w miłości i odpowiedzialności za Ojczyznę, wybierali wierność najwyższemu wartościom. Trwali w podziemiu, ponieważ, jak śpiewał współczesny bard, Andrzej Kołakowski²⁸:

»... przysięgaliśmy na orła i na krzyż,
na dwa kolory, te najświętsze w Polsce
barwy,
na czystą biel i na gorącą czerwień krwi,
na wolność żywych i na wieczną chwałę
zmarłych...».

Obchodzony *Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych* jest okazją do wyrażenia naszej „wdzięczności i naj-

²⁸ A. Kołakowski, *Przysięga*, Bliisko Polski, <https://bliskopolski.pl>. (dostęp: 15.01.2026 r.).

wyższego szacunku”. Zapalone znicze w miejscach kaźni i na symbolicznych mogiłach tych, którzy nie dali się uwieść władzy, przyniesionej na sowieckich bagnietach, nie poszli na kompromis ze złem, nie zrezygnowali z własnych przekonań, z walki o wolną Ojczyznę, będą symbolem wytrwałości i walki o niezawisłość i niepodległość. To święto powinno być także okazją do osobistej refleksji i stawiania pytań o miłość Ojczyzny oraz zdolność do poświęceń w obronie jej wolności. Niezlomni i ich niepodległościowy czyn są przypominane, ale i oni nam przypominają o naszej powinności względem Ojczyzny.



Siergiej Kaługin

Ja, ostatni żołnierz martwej Ziemi

*(przekład poświęcam
Andriejowi Bazylewskiemu
– Wojciech Kajtoch)*

Serce me bije, więc nie umarłem
Powieki spalone - więc wciąż widzę świt
Otwieram oczy – a nade mną stoi
Bezimienny koszmar – Nikt

Byli lawiną i czarnym potokiem
Wdeptali nas w błoto, rozgnietli nas
Wokół ruiny, wszyscyśmy zabici
Nasze sztandary wbite są w piach

Mógłbym przepelznąć przez pole spa-
lone
Dotrzeć do rzeki, spuścić łódkę w toń
Przeżyć tę wojnę, być jedynym takim
Lecz pluję im w twarz i chwytam za
broń

Cień tylko widzę, popiół i granit
Brak czegoś, czego bronić bym chciał
Ale podnoszę tarczę zrąbaną
Obnażam miecza bezsensowną stal

Wiem, co ze mną dzisiaj nie umrze
Choć nie ma sposobu, by zwyciężyć ich
Nie mają prawa, by widzieć wschód
słońca
Nie mają prawa żyć...

Więc trąbię w swój róg rozłupany
Podnoszę z okopów poległą brać
I krzyczę „Naprzód!” „Za mną!” Do
ataku!”
A że nie ma już żywych – „Umarli!
Wstać!”

Tłumaczył Wojciech Kajtoch



Koncert „Orgii Sprawiedliwych”



Okładka ostatniej CD zespołu

Agnieszka Brytan

Prorok czy wizjoner

Motto: *Produkujemy rzeczy, które funkcjonują jak ludzie i ludzie, którzy funkcjonują jak rzeczy.*

Erich Fromm

Czy Erich Fromm dziś mógłby stać się guru współczesnego pokolenia, tak jak w latach 60. minionego wieku? Czy jego śmiałe i nonkonformistyczne tezy, tak aktualne, mogłyby być światłem w mrokach zdehumanizowanych czasów? W zbiorze tekstów *O nieposłuszeństwie i inne eseje* odnajdujemy szkic rozważań, dotyczący natury ludzkiej i jej potrzeb: wznoszenia się ponad siebie w akcie tworzenia bądź niszczenia, miłości czy nienawiści oraz zakorzenienia.

W pełni rozwoju jednostki ludzkiej autor upatruje zdrowie psychiczne i dobre samopoczucie, jednak na przeszkodzie osiągania ludzkich celów stoją tendencje, występujące we współczesnej kulturze. Środki przetrwały się bowiem w cel, a jest nim produkcja oraz konsumpcja i wszystko zostało, niestety, temu podporządkowane. O naturze nieposłuszeństwa wraz z jej historycznym rysem sięgającym czasów Adama i Ewy czy Prometeusza opowiada kolejny tekst ze zbioru. Fromm dostrzega w akcie nieposłuszeństwa początek historii człowieka, jednocześnie przestrzegając przed zagrożeniem cnotą posłuszeństwa. W zamian proponuje „ośmielenie się być mądrym” czy potrzebę „wątpienia we wszystko”, co naturalnie wiąże się ze zdolnością powiedzenia „Nie!”.

W kręgu zainteresowań filozofa znalazły się także rozważania Marksa, z apelem o rozszerzenie ich o teorię psychoanalityczną, co wzbogaciło by obie dziedziny. Przedstawia tu Fromm, jak zastosować psychologię humanistyczną wobec teorii marksistowskiej, która prowadziłaby do pełnego ujawnienia możliwości człowieka, nie tylko jako *homo consumens*, czyli istoty ulegającej iluzji szczęścia, wiecznie żarłocznej i nienasyconej. Apeluje o potrzebę ujawnienia prawdziwe ludzkich potrzeb, których zaspokajanie czyni człowieka bardziej żywotnym i wrażliwym oraz odróżnienia ich od potrzeb sztucznych, tworzonych przez kapitalizm, jakie mają tendencję do osłabiania człowieka, czynienia go bardziej biernym i znudzonym, a wręcz bytem niewolnym. Czyż nie jest to apel proroczy i ważki w na wskroś materialistycznych czasach XXI w.?

W znacznym stopniu wszak właśnie prorocy i ich idee pchają świat do przodu i nie należy ich, zdaniem Fromma, mylić z kapłanami. Tym drugim idee służą jedynie ku kontroli ludzi, ich organizowaniu czy znieczulaniu. Działają w ten sposób zwłaszcza ci, którzy dysponują władzą. Kolejny esej przynosi obok rozwinięcia myśli, dotyczącej proroków i kapłanów, pochwałę niepokornego myślenia Bertranda Russela, późniejszego Noblisty, którego filozofia, wywodząca się z nauk ścisłych, zachęca do nieposłuszeństwa. Russel chce odrzucić konformizm, broniąc swojego sumienia i zasad, broniąc życia. Trzeba być jak rewolucjonista, a nie buntownik bez powodu.

Zwłaszcza, że „obecny wiek jest wiekiem hierarchicznie zorganizowanej biurokracji w rządzie, biznesie i związkach zawodowych. Biurokracja ta zarządza równocześnie rzeczami i ludźmi; działając według określonych zasad, zwłaszcza zgodnie z zasadą bilansu ekonomicznego, kwantyfikacji, maksymalnej wydajności i zysku, a funkcjonuje w gruncie rzeczy niczym komputer, który zaprogramowano wedle tych zasad. Człowiek staje się liczbą, przemienia się w rzecz. (...)”

I właśnie dzisiaj, w takich warunkach, nieposłuszeństwo ma szczególne znaczenie. Nieposłuszeństwo rozumiane jest tu jako afirmacja rozumu i woli. Człowiek ma widzieć i mówić, co widzi. Mieć otwarte oczy i być świadomym. Tak mówił o tym prof. Zygmunt Bauman w rozmowie z Lechem L. Przychodzkiem:

„L. L. P.: Co możemy?

Z. B.: Zachować miejsce dla „Nie!”. „Nie” to partykuła, świadcząca o wolności.

L. L. P.: Nie ma więc zgody na rolę widza...

Z. B.: (...) Zasady etyczne pozostały na poziomie biblijnego Adama i Ewy. I oto Hans Jonas powiada, że trzeba podnieść tę etykę. Zauważa przy tym, iż dogadywanie się co do zasad jest zbędne, natomiast problem leży we wcielaniu w życie – tu mechanizm skrzypi!”¹

Jednostkę ludzką ma cechować myślenie wolne od lęku, z wiarą w życie przeciwstawione wojnie, wyścigom zbrojeń, zagładzie. Świat i ludzie mają wybór, także dziś prorok pokoju mógłby nas ostrzegać, nawołując do otwarcia oczu

i humanistycznej postawy niezależnie od systemu, w jakim przyszło nam żyć.

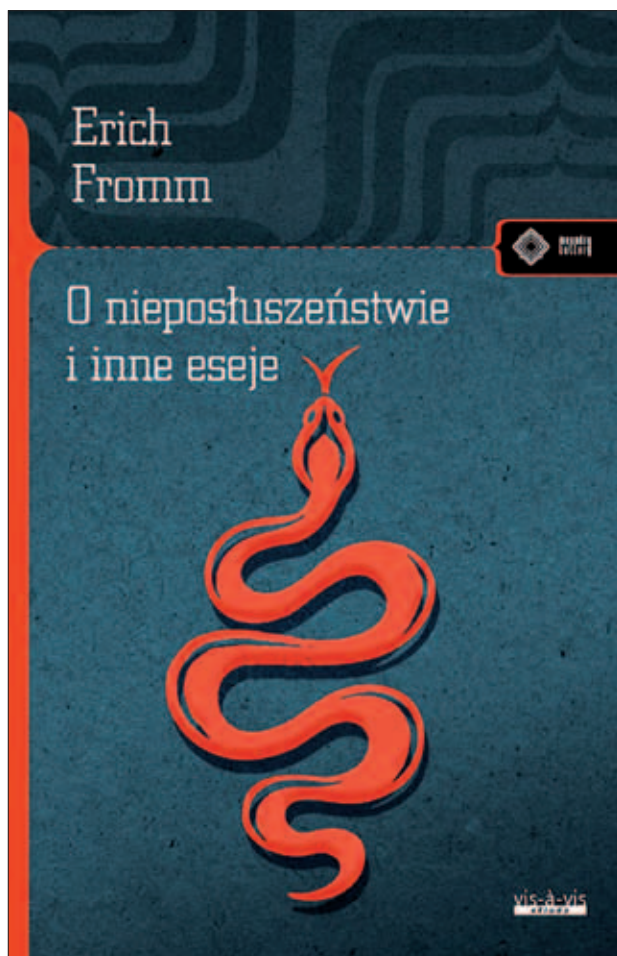
Erich Fromm w kolejnej części poddaje analizie krytycznej dwa systemy, dominujące we współczesnym mu świecie: kapitalizm i socjalizm. W jednym i w drugim przypadku człowiek lęka się wzięcia odpowiedzialności za swoje życie i woli „niewolnictwo dobrze odżywionego robota”. Człowiek zamiast stać się Panem Maszyn, które zbudował, stał się ich Sługą. Zarówno komunizm jak i kapitalizm opierają się jego zdaniem na industrializacji, jakiej celem jest stały wzrost wydajności ekonomicznej i dobrobytu. Prawom zysku podlegają także radio, telewizja, książki i lekarstwa, a ludzie są zmuszani do nienasyconego konsumowania. Oba systemy prowadzą do stworzenia dobrze odżywionego i ubranego – lecz wyalienowanego – człowieka-automatu, kierowanego przez biurokratów, którzy mają podobnie blahe cele. Autor jednak widzi trzecią drogę, a jej założenia wyklada w kolejnych esejach, dotyczących socjalizmu humanistycznego, dochodu gwarantowanego czy zaprzestania zbrojeń. Nie zapomina również o tym, że społeczeństwo się starzeje (żyje dziś dłużej) i w ostatniej części pochyla się nad problematyką podeszłego wieku oraz możliwościami pełnego uczestnictwa seniorów – niekoniecznie w konsumpcyjnym wyścigu lecz w codziennych, twórczych aktywnościach.

Czy Erich Fromm przypuszczał, iż czasy staną się jeszcze bardziej zmaterializowane i rozwinięte technologicznie, a wojny i zagrożenie użyciem atomu i broni elektronicznej coraz bardziej realne, niż w okresie mu znanym? Czy był

¹ *Aż dwa dni. Wywiad z prof. Z. Baumana, Ulica Wszystkich Świętych, nr 5 (19), 29. V. 2001, s. 20.*

prorokiem, dostrzegającym niebezpieczeństwo tendencji, które tylko się pogłębiły? I w końcu – czy jego myśl mogłaby dziś pomóc jednostce być w pełni człowiekiem?

Fromm Erich, *O nieposuszeństwie i inne eseje*, przeł. Stefan Baranowski, seria *Meandry Kultury*, wyd. vis-à-vis, Kraków 2019



Wadim Sidur

Pomnik stanu obecnego – MIT (fragmenty)

XXX.

W tysiąc dziewięćset trzydziestym lub tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym roku z powodu głodu kilka razy zdarzyło mi się coś podobnego do omdlenia.

Jedna zima była szczególnie ciężka.

Chociaż zarówno mój tata, jak i mama pracowali, jednakże z jakiegoś powodu ich racje żywnościowe składały się głównie nie z kaszy, a z ugotowanej, przypalanej owsianki. Ale bywały też uczyty.

Pewnego dnia, po otrzymaniu wypłaty taty, poszliśmy we trójkę na opustoszały targ i w końcu, wydawszy na to całą pensję taty, kupiliśmy bochenek chleba i wędzoną szprotkę, nawleczoną na sznurerek. Malutki pęczek drobnych złocistych rybek.

Jakieś dwadzieścia sztuk, nie więcej.

NADAL NIE MOGĘ ZAPOMNIEĆ
ICH SMAKU. Chrupały mi między zębami. Jadłem je z głowami i ogonkami.

XXX.

Monachium. Czechosłowacja. Austria.
Japończycy w Chinach.

ANGLIA I FRANCJA WALCZĄ
Z HITLEREM.

„Niech powalczą, a my popatrzymy”, powiedział

Mołotow¹.

¹ Aluzja do wystąpienia W. M. Mołotowa, który (31. sierpnia 1939 roku podczas posiedzenia Rady Najwyższej ZSRR), omawiając sowiecko-niemiecki pakt o nieagresji, powiedział m.in.: „Jeśli ci panowie mają taką niepojętą chęć walki, niech powalczą sami, bez Związku Radzieckiego. (Śmiech. Oklaski.) Chcielibyśmy

XXX.

LATO. Wielu ludzi na naszym podwórku ma już radia.

„Życie stało się lepsze, towarzysze, życie stało się weselsze”².

Z każdego okna słychać radosne, skoczne marsze. U Niemców grają marsze, u Francuzów marsze, u Anglików też marsze. U nas marsze.

A u Polaków marsz ŻAŁOBNY.

Kopilewiczowie jadą do Lwowa. W Dniepropietrowsku mieli jeden pokój, a we Lwowie rozdają piękne mieszkania. Czasem nawet jednorodzinne domki.

XXX

LITWA, ESTONIA I ŁOTWA DOBROWOLNIE
PRZYŁĄCZYŁY SIĘ DO ZSRR.

zobaczyć, jakimi są wojownikami. (Śmiech. Oklaski.)”. Por. <https://doc20vek.ru/node/970>

² Fraza zaczerpnięta z przemówienia Józefa Stalina na I *Wszeszechwiazkowej Konferencji Stachanowców* (17. listopada 1935 r.): „Życie stało się lepsze, towarzysze. Życie stało się weselsze”. Lider partii kontynuował: „A kiedy życie jest lepsze, praca idzie dobrze... Gdyby u nas żyło się źle, brzydko, w smutku, to żadnego ruchu stachanowskiego nie byłoby u nas”. Od razu miało też oddźwięk ironiczny i często przytaczane było jako ilustracja w kontekście niesprzyjających okoliczności życiowych. Fraza często pojawiała się jako ilustracja prześmiewcza (często przez łzy), komentarz do paradoksów życia w sowieckim zniewoleniu. Opowiadano je jako dowcip, za co można znaleźć się w kręgu osób prześladowanych. „Słyszałeś? Wczoraj Stalin powiedział, że życie stało się lepsze i bardziej wesołe” – mówiono w skrytości. „Tak, słyszałem. Ale nie powiedział, dla kogo!” – odpowiadali ci co bardziej złośliwi i odważni.

XXX

Musiała to być zima 1936 lub 1937 roku. Wróciłem ze szkoły, podgrzałem zupę i owsiankę. Wyjąłem udko kurczaka z zupy i wrzuciłem je do owsianki. Położyłem wszystko na stole przed bochenkiem chleba. Oparłem książkę o bochenek. Uwielbiam czytać przy jedzeniu. Życie stało się przyjemniejsze. Teraz mamy też radio. Jest czarne, zrobione z tektury i wisi na ścianie. Czytam *Trzy kolory czasu*³ i jem zupę. W radiu czytają listy skazanych na śmierć.

A Winogradow, autor *Trzech kolorów czasu*, zabił swoje dzieci, żonę, a potem siebie.

XXX

Wypuszczono nas ze szkoły wcześniej niż zwykle. Towarzysz Stalin miał wygłosić przemówienie radiowe na *Nadzwyczajnym Ósmym Wszechrzwiązkowym Zjeździe Rad*. W naszej czarnej tekturowej misce coś zaskrzypiało, zatrzeszczało i zaszeleściło.

Słychać odległy głos, ale nie sposób zrozumieć, co mówi. Potem rozeszła się plotka, że jakiś łobuz celowo spowodował zwarcie i, żeby to usprawiedliwić, twierdził, iż do sprzętu dostała się mucha⁴.

3 *Trzy kolory czasu* to powieść historyczno-biograficzna radzieckiego pisarza Anatolija Winogradowa (1888-1946), poświęcona życiu i twórczości francuskiego pisarza Henri Beyle'a (Stendhala). Książka obejmuje okres od lat 10. XIX wieku do lat 30. XIX wieku, ukazując życie Stendhala od jego udziału w wojnach napoleońskich po sukces literacki.

⁴ Stalin wystąpił (25. listopada 1936 roku) z referatem *O projekcie Konstytucji ZSRR*, która została przyjęta 5. grudnia. W swoim wystąpieniu mówił nie tylko o zaletach nowej konstytucji, ale także o poprawie życia narodu radzieckie-

(...)

XXX

Wieczorami wielu mieszkańców Dniepropietrowska spacerowało aleją Karola Marksa. Dopiero tuż przed wojną dowiedziałem się, że w potocznym języku jedna strona alei była określana jako Wielki Kurwidołek.

Spacerowali tam dorośli. Drugą stronę nazywano Małym Kurwidołkiem.

Po Małym Kurwidołku spacerowali uczniowie.

XXX

Dokładnie pośrodku alei, przed dużym kwietnikiem, na oszklonej tablicy wieszano centralne moskiewskie gazety. Niewielką ich liczbę przywożono samolotem z Moskwy.

W gazetach Himmler był zawsze przedstawiany z siekierą, a Goebbelsa rysowano jako brzydka, małą małpkę. Ribbentrop był ukazywany jako odrażający potwór.

A tego letniego jasnego wieczoru, na nieliczny, milczący tłum zgromadzony przed tablicą, ze strony *Prawdy* spoglądał całkiem szanowany, miły, a nawet, powiedziałbym, przystojny dżentelmen. Pod zdjęciem widniał podpis informujący, że ów dżentelmen nazywa się Joachim von Ribbentrop i przybył do Moskwy z przyjacielską wizytą.

(...)

XXX

Film musiał być niemiecki. Obraz nasycony i kontrastowy.

Samolot schodził do lądowania, a ziemia kotłowała się

go. Przemówienie było nieustannie przerywane podziwem publiczności i brawami.

pod jego skrzydłami.
 Rzeźbiarzowi wydawało się, iż historia
 znalazła się na krawędzi zagłady.
 I chociaż był bardzo młody i twardo
 wiedział, że TO KONIECZNE, jego
 serce zamarło, przepełnione straszliwymi
 przecuciami.
 Widzowie na sali milczeli.
 Samolot wylądował bezpiecznie. Wy-
 siadł z niego
 Towarzysz Mołotow⁵.
 Teraz nie pamiętam, czy były osoby to-
 warzyszące.
 Ale były osoby witające.
 Była za to straż honorowa.
 Żołnierze w hełmach maszerowali z nie-
 samowitą precyzją,
 wyciągając palce u stóp i unosząc nogi
 dokładnie prostopadle
 do tułowia.
 Następnie Komisarza Ludowego usado-
 wiono w dużą czarną limuzynę,
 i ruszyła kolumna samochodów w stronę
 miasta.

⁵ Szef rządu radzieckiego i ludowy komisarz spraw zagranicznych, Wiaczesław Mołotow przebywał w stolicy III Rzeszy dwa dni (12.-13. listopada 1940 roku). Do Berlina Mołotow nie przyleciał samolotem, a dotarł pociągiem. Na stacji Anhalter gościa z Rosji witała elita Trzeciej Rzeszy. W czasie tej wizyty Niemcy zaproponowały ZSRR oficjalne przystąpienie do „paktu trzech” i wzięcie udziału w podziale brytyjskiego dziedzictwa. Podczas dwóch rund negocjacji z Hitlerem i dwóch z Ribbentropem gospodarze starali się wszelkimi sposobami przekonać gościa, że Wielka Brytania stoi w obliczu nieuchronnego upadku. Moskwa nie przystąpiła jednak do „paktu trzech”, mającego w założeniach nakreślić ostateczny podział świata i zmienić los wielu narodów. Żegnając się z Mołotowem, Hitler i Ribbentrop okazywali przyjazne nastawienie. Jednak już miesiąc później, 18. grudnia 1940 roku, Führer podpisał plan Operacji *Barbarossa*, a 22. czerwca 1941 roku skierował wojska *Wehrmachtu* przeciwko *Armii Czerwonej* – na wschód.

Kamera spoglądała gdzieś z góry.
 I my w sali zobaczyliśmy zupełnie pustą
 ulicę.
 Ani jednej osoby.
 Tylko pędzące czarne samochody.
 I mnóstwo flag.
 W każdym stojaku – po dwie.
 Jedna – nasza, z sierpem i młotem, dru-
 ga – ich,
 z faszystowskim znakiem.
 Ogromny opustoszały plac.
 Czarne samochody krążą i zatrzymują
 się
 tuż przed niekończącymi się schodami
 Kancelarii Cesarskiej.
 Ktoś otwiera drzwi samochodu.
 Mołotow wysiada i patrzy w górę.
 Tam też otwierają się drzwi.
 I pojawia się Hitler.
 Kamera ponownie pokazuje to wszystko
 z góry.
 Dwóch małych ludzików zbliża się do
 siebie.
 Ten na dole, długo wspina się po stop-
 niach.
 Ten na górze, schodzi kilka schodów
 w dół.
 W końcu się spotykają.
 Ściskają sobie dłonie.
Führer, uśmiechając się, bierze towarzy-
 sza Mołotowa
 za ramię i, szepcząc mu coś do ucha, pro-
 wadzi do majestatycznych drzwi...
 (...)

XXX

Była niedziela.
 Odbiornik radiowy mamrotał bez celu.
 Tata czytał gazetę.
 Mama była w kuchni.
 Właśnie wróciłem z ALEI.
 (...)

Tata czytał gazetę.

Mama weszła i powiedziała:

– „Wszystko gotowe, możemy jeść obiad.

Dima, przestań lepić i umyj ręce”.

NAGLE ZROBIŁO SIĘ DZIWNIE CICHO.

To radio ucichło w pół zdania.

„Chyba zepsuło się” – pomyślałem i zmartwiłem się.

NAGLE TALERZ POWIEDZIAŁ:

– „Przemówi teraz ludowy komisarz spraw zagranicznych, towarzysz Mołotow”.

Coś zaszeleściło i dało się usłyszeć spikera:

„Proszę, Wiaczesławie Michajłowiczu”.

XXX

Tata siedział na krześle.

Mama stała w drzwiach.

A ja przy stole.

„Obywatele i obywatelki Związku Radzieckiego...” – powiedział

Mołotow, jękając się – „...dzisiaj o szóstej rano nazistowskie Niemcy zdradziecko... zbombardowały miasta Kijów, Odesę, Lwów...”⁶.

⁶ 22. czerwca 1941 roku przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych ZSRR, Wiaczesław Michajłowicz Mołotow zwrócił się przez radio do mieszkańców: „*OBYWATELE I OBYWATELKI ZWIĄZKU RADZIECKIEGO! Rząd radziecki i jego przywódca, towarzysz Stalin, polecili mi złożyć następujące oświadczenie: Dziś o godzinie czwartej rano, bez wysuwania jakichkolwiek roszczeń wobec Związku Radzieckiego, bez wypowiedzenia wojny, wojska niemieckie zaatakowały nasz kraj, w wielu miejscach zaatakowały nasze granice i bombardowały ze swoich samolotów nasze miasta Żytomierz, Kijów, Sewastopol, Kowno i kilka innych miast, w których zginęło i zostało rannych ponad dwieście osób. Wrogie naloty i ostrzał artyleryjski miały miejsce również z terytorium Rumunii i Finlandii*”.

Mówił coś jeszcze, ale to już nie miało znaczenia...

KONIEC.

Historia stanęła dęba...

Wiedziałem, iż tak będzie!

Wiedziałem, że te dwa małe ludziki, spotykające się na ogromnych schodach, oszukiwały się nawzajem.

ŻYCIE SIĘ SKOŃCZYŁO.

XXX

...talerz ucichł.

...minęły dwie godziny.

...talerz milczał.

A godzinę później z talerza wyleciał marsz.

MARSZE. MARSZE. MARSZE.

Niech oni powalczą, a my zobaczymy.

Radosne, radosne, **UPIORNE** marsze wojskowe.

XXX

Przeczytałem Julii „Obywatele i obywatelki – powiedział

Mołotow” i zapłakałem.

Rozbawiło to Julię.

Roześmiała się i powiedziała:

— Dimuś, płakać, bo Mołotow powiedział „obywatele i obywatelki...” – po prostu nerwy.

...Tata siedział na krześle.

...Mama stała w drzwiach.

...Ja stałem przy stole.

ŻYCIE SIĘ SKOŃCZYŁO.

Jak jej to wytłumaczyć...

(...)

XXX

Uchodźcy! Uchodźcy! Uchodźcy!

Uchodźcy! Uchodźcy!

Por. <https://sites.google.com/site/2015mamkin/home/biblioteka/1941-rec-molotova-ob-obavlenii-vojny> .

Współczują im.
 Wywołują gniew.
 ICH NIENAWIDZĄ.
 Około dziesięciu chłopców i dziewcząt
 z naszej szkoły
 zostało wysłanych do sowchozu.
 Tam kopaliśmy ziemniaki.
 ALE NAM NICZEGO NIE DAWALI.
 Nawet pilnowali, żebyśmy ich nie zjedli.
 Karmili nas kaszą jaglaną, polaną olejem,
 który smakował jak maszynowy.
 KARTOFLE PRZYPADŁY NIEM-
 COM.
 Noc spędziliśmy na wozach. Komary
 gryzły przerażająco.
 Nad naszymi wozami niemieckie bom-
 bowce
 z rykiem nadlatywały na bombardowa-
 nie miasta.
 Najpierw Niemcy zrzucali oświetlające
 race
 na spadochronach.
 Oślepiające światło, ryk samolotów, eks-
 plozje, kolumny
 reflektorów, podtrzymujących niebo.
 Ogień przeciwlotniczy.
 BYLIŚMY PEWNI, ŻE NIC Z MIA-
 STA
 NIE ZOSTAŁO.
 A co z mamą i tatą?
 I opuściliśmy kołchoz.
 Szliśmy pieszo.
 NASI ŻOŁNIERZE SZLI ALEJĄ.
 Szarzy, zarośnięci, bosy, w brudnych ban-
 dażach.
 Bose, brudne siostry w szynelach.
 ŻOŁNIERZE SZLI, WCIAŻ SZLI
 W CAŁKOWITYM MILCZENIU.
 Ochotnicy nie byli potrzebni. Na próżno
 składaliśmy
 podania.
 Nie było już komitetu obwodowego,

miejskiego, rejonowego, wojskowego...
 WARSTWA POPIOŁU POKRYŁA
 MIASTO. WSZYSCY COŚ PALILI.
 Popiół, popiół...
 Widziałem, jak sąsiadka Wilki Szragina
 zerwała plakat ze ściany.
 Odwróciła się.
 Dostrzegła mnie. Uśmiechnęła się zło-
 śliwie. I uciekła.
 RZUCILI ŻYWNOSĆ.
 Wszędzie sprzedawano cukier, masło
 i kiełbasę.
 Bierz, ile chcesz, bez żadnych ograniczeń.
 Ci, którzy zostali, zgarnęli wszystko.
 A my wyjeżdżaliśmy, odchodziliśmy,
 uciekaliśmy...
 BĘDĘ SIĘ CZOŁGAĆ, BEDE PEŁ-
 ZAĆ, ALE NIE ZOSTANĘ.
 „BIĆ wroga tylko na jego terytorium!”⁷

 XXX

⁷ Nawiązanie do wystąpienia „pierw-
 szego czerwonego oficera”, marszałka epoki sta-
 linowskiej, Klimenta Jefremowicza Woroszyłowa
 (1881–1969), który (16. września 1936 roku) na
 wiecu w Kijowie wezwał do: „Walki z wrogiem
 na jego własnym terytorium”: „Jeśli wróg zaata-
 kuje radziecką Ukrainę, radziecką Białoruś lub
 jakąkolwiek inną część Związku, nie tylko nie-
 możliwymu mu wkroczenie do naszej Ojczyzny,,
 ale także zaatakujemy go na terytorium, z którego
 przybył”. A także: „...Jeśli wróg się pojawi, musi-
 my zaatakować go na jego własnym terytorium”.
 Później wystąpienie to stało się koncepcją sowiec-
 kiej ofensywnej doktryny wojennej, polegającej
 na prowadzeniu działań wojennych na teryto-
 rium wroga, co miało doprowadzić do uniknięcia
 zniszczeń we własnym kraju. Początkowe miesi-
 ące po niemieckiej napaści pokazały, że koncepcja
 ta absolutnie nie mogła być stosowana w prak-
 tyce, gdyż wojska *Armii Czerwonej* absolutnie
 nie były gotowe do wyprzedzającej lub szybkiej
 kontrofensywy i ustępowały siłom niemieckim,
 które walczyły na terytorium napadniętego pań-
 stwa. Por. Вадим Серов, *Энциклопедический
 словарь крылатых слов и выражений*, Москва
 2005.

„Jeśli wróg się nie poddaje, zostanie zniszczony!”⁸
(...)

XXX

..dalej, dalej od Dniepropietrowska. I do-
kąd, nikt nie wie.

Wagon towarowy – 16 ton. Na 40 osób.
Jest nas o wiele więcej. I tobołki, pełno
walizek.

Niektórzy wieźli za dużo.

Ja i mama mamy się dobrze; nie zabrali-
śmy ze sobą prawie niczego.

Niczego nie mieliśmy.

W wagonie towarowym nie było prycz.

Na początku nie mogliśmy nawet usiąść.

Po prostu staliśmy, tułąc się
do siebie.

W CIASNOCIE I ZNOJU.

⁸ Słowa „Jeśli wróg się nie podda, zo-
stanie zniszczony” należą do radzieckiego pisarza
i dramaturga, Maksyma Gorkiego (1868-1936).
Po raz pierwszy pojawiły się w jego artykule pod
tym samym tytułem, opublikowanym 15. listo-
pada 1930 roku w gazecie *Prawda*. W artykule
Gorki zastosował je w kontekście walki klasowej
w ZSRR i industrializacji, wzywając do podjęcia
surowych działań przeciwko „wrogom” budow-
nictwa socjalistycznego. Zdanie to zostało póź-
niej zacytowane przez Józefa Stalina w 1942 roku
i od razu stały się ważnym i często powtarzanym
hasłem podczas wojny. W rozkazie nr 55 (z 23.
lutego 1942 roku), skierowanym do żołnierzy
Armii Czerwonej i Marynarki Wojennej, do-
wódców i działaczy politycznych, partyzantów,
Stalin, uzasadniając potrzebę walki z nazistow-
skimi najeźdźcami, którzy odmówili złożenia
broni stwierdzał, że „...*Armia Czerwona niszczy
niemieckich żołnierzy i oficerów, jeśli odmawiają
złożenia broni i próbują zniewolić naszą Ojczyznę
z bronią w ręku. Zapamiętajcie słowa wielkiego
rosyjskiego pisarza, Maksyma Gorkiego: „Jeśli
wróg się nie podda, zostanie zniszczony”*”. Por.
**Максим Горький, Если враг не сдается, – –
его уничтожают**, [http://az.lib.ru/g/gorxkij_m/
text_1930_esli_vrag_ne_sdaetsya.shtml](http://az.lib.ru/g/gorxkij_m/text_1930_esli_vrag_ne_sdaetsya.shtml)

Stopniowo tłoczyliśmy się, siadając na
swoich i

cudzych ubraniach.

Potem nawet kładliśmy się na zmianę.

Z powodu ciuchów wagon został po-
dzielony na dwa obozy.

Ci, którzy zajmowali jedną połowę wa-
gonu, zdawali się myśleć, że reszta ma
mniej rzeczy, a więcej miejsca.

XXX

NIEMCY MUSZĄ ZAPEWNIĆ SO-
BIE WŁASNĄ PRZESTRZEŃ ŻY-
CLOWĄ!⁹

XXX

– „Chodźmy załatwić tę połowę!” –
krzyknął Moszyński.

Ale mu się nie udało.

Nadleciał niemiecki samolot. Pociąg się
zatrzymał. Wszyscy

wyskoczyli z wagonów i pobiegli na pole.
Niemiec wystrzelił z karabinu maszyno-
wego i odleciał.

Lokomotywa zagwizdała i wszyscy po-
biegliśmy z powrotem
do pociągu.

Staliśmy przy wagonach towarowych, ale
nie mogliśmy się wspiąć.

Jak można się wspiąć, mając głowę na
poziomie podłogi wagonu?

⁹ Niemiecka przestrzeń życiowa (*Lebensraum*) – koncepcja polityczna i ideologiczna,
stworzona na początku XX w. przez Friedricha
Ratzela (1844-1904), a później wykorzystana
przez nazistów jako uzasadnienie agresji teryto-
rialnej. Zakładała ona potrzebę zdobycia terenów
na Wschodzie dla Niemiec, które potrzebowały
dla swojego dalszego rozwoju nowych terenów,
odbieranych innym narodom wraz z ich zasobami
gospodarczymi, co doprowadziło m.in. do zbrodni II wojny światowej. Por. Jarosław Macała, *Friedrich Ratzel jako twórca niemieckiej Geopolitik*, „Athenaeum”, vol. 34/ 2012, ss. 125-147.

Wiszących żelaznych drabin jeszcze nie produkowano.

W Dniepropietrowsku było łatwiej; ładowaliśmy się z peronu.

Moszyński wdarł się do wagonu jako jeden z pierwszych. Krzepki staruszek.

Wciągnął swoją kobietę i wnuki. I zaczął pomagać pozostałym.

Pociąg ruszył, ale nikt nie został w tyle.

Wszyscy zdążyli.

A gdyby nie zdążyli, pewnie ogłosiliby w radiu, kto kogo poszukuje.

WSZYSCY W WAGONIE — to rodziny pracowników z fabryki taty.

Do zmroku obie połowy wagonu zjednoczyły się. Co prawda,

wszyscy słyszeli, jak jedna kobieta krzyknęła w ciemności do kogoś:

„**ZABIERZ NOGĘ! JEŚLI NIE ZABIERZESZ, ODGRYZĘ!**”

Czasami pociąg jechał przez kilka godzin bez zatrzymywania się.

A bywało, że stawał co pół godziny, a nawet częściej.

Na każdym przystanku ludzie zeskakiwali na ziemię i

zajmowali się swoimi sprawami tuż przy kołach pociągu.

W nocy. I W BIAŁY DZIEŃ.

Spojrzysz, wzdłuż całego pociągu ciągnie się rząd kucających ludzi.

A oddalenie się jest przerażające. Pociąg ruszy

nagle bez gwizdu, zostaniesz i nigdy go nie

dogonisz.

Dla mnie było to szczególnie trudne. Jeszcze w

przedszkolu zostawiałem nocnik pusty z powodu nieśmiałości.

Nie mogę sikać przy ludziach.

Tylko w kabinie toalety.

A jeśli jakaś kobieta nie mogła wytrzymać

aż pociąg się zatrzyma, dwóch silniejszych mężczyzn

brało ją za ramiona i wystawiało przez drzwi wagonu pędzącego pociągu.

Tłumaczenie – **Zbigniew T. Szmurło**

Pomnik stanu obecnego – czterometrowa kompozycja rzeźbiarska z żeliwa, odlana na podstawie modelu Wadima Sidura, ustawiona w Konstancji (1981 r.), fot. Karl Eimermacher.



Od tłumacza

Kiedy jesienią 1983 roku wchłonęła mnie przestrzeń mistycznej sztuki Wadima Sidura (1924-1986) z ogromną ilością rzeźb, zgromadzonych w pracowni przy

Prospekcie Komsomolskim w Moskwie, nie przypuszczałem nawet, że postać tego twórcy znajdzie się w kręgu moich dalszych zainteresowań. Rok później już wiedziałem, iż należy zająć jego twórczością i przybliżyć ją szerszemu kręgowi Czytelników.

Starając się zebrać jak najwięcej materiałów o moskiewskim mistrzu, co nie było łatwym zadaniem, napisałem list do rzeźbiarza. Kilka miesięcy później na mój adres domowy dotarła przesyłka od profesora Karla Eimerachera¹⁰. Były w niej książki i katalogi wystaw, ale najważniejszymi w tej paczce okazały

¹⁰ Karl Eimeracher (ur. w 1938 r.), emerytowany profesor Ruhr-Universität w Bochum. Doktor filozofii, profesor slawistyki, był kierownikiem Seminarium Słowiańskiego i dyrektorem Instytutu Kultury Rosyjskiej i Radzieckiej im. J. M. Łotmana na Uniwersytecie Ruhry w Bochum, doktor *honoris causa* Rosyjskiego Państwowego Uniwersytetu Humanistycznego. Autor licznych prac i kilku antologii poświęconych normatywnym aspektom literatury i powojennej sztuki rosyjskiej, historii semiotyki rosyjskiej oraz polityce literackiej lat dwudziestych XX wieku. Oprócz licznych prac poświęconych współczesnej sztuce rosyjskiej, opublikował katalogi i monografie poświęcone twórczości Wadima Sidura, którego poznał w 1970 roku podczas pobytu w Moskwie. W 1971 roku zorganizował pierwsze wystawy Wadima Sidura w Szwajcarii i Niemczech. Prowadził ożywioną, trwającą 15 lat (1971–1986) korespondencję z Wadimem Sidurem (Вадим Сидур, Карл Аймермахер. «О деталях поговорим при свидании», переписка /сост. подгот. текста и коммент. В. Воловникова/, Москва 2004), a po jego śmierci w 1986 roku z Julią Sidur (*Юлия Сидур — Карл Аймермахер, «Время новых надежд...» Переписка 1986–1992 / Обработка текста В. Воловникова/. Москва 2014*). Korespondencja profesora Karla Eimerachera z Wadimem Sidurem i Julią Sidur jest wyjątkowa – listy zawierają wiele interesujących, jakże cennych informacji, przytaczają wydarzenia, fakty, wiele z tego, co można nazwać świadectwem epoki.

się kopie tekstów maszynopisów¹¹ jego dwóch, jeszcze nie wydanych, utworów literackich – poetyckiego zbiorku *Najszczęśliwsza jesień* (Самая счастливая осень)¹² i autobiograficznej powieści *Pomnik stanu obecnego* (Памятник современному состоянию).

Na podstawie tych maszynopisów udało mi się przetłumaczyć trochę wierszy Wadima Sidura, z których kilka zostało opublikowanych w *Tyglu*¹³. W tym zeszycie kwartalnika pojawił się również materiał Julii Sidur¹⁴ – żony

¹¹ Por. Збигнев Т. Шмурло, Подвал свободы и диалога и польские исследования, [w:] Вадим Сидур, «Мир без человека мне не интересен», Издание в двух частях, Часть II. Однажды они спустились в Подвал. Друзья, почтители вспоминают..., Москва 2024, s. 79

¹² Książkowe wydanie pojawiło się w 1990 roku: Вадим Сидур, Самая счастливая осень. Стихотворения 1983–1986 гг., Москва 1990.

¹³ „Tygiel” 1994, nr 12, s. 8.

¹⁴ Julia Sidur (1940–2006) – nauczycielka języka francuskiego. W 1972 roku porzuciła pracę nauczycielską i pracowała jako asystentka męża aż do jego śmierci. Po śmierci męża w 1986 roku poświęciła się systematyzowaniu archiwum i popularyzacji jego twórczości. W dużej mierze dzięki jej staraniom w Moskwie powstało Muzeum Wadima Sidura. W latach 1968–1973 prowadziła pamiętnik – kronikę, bardzo interesująco opisując życie moskiewskiego środowiska artystycznego i atmosferę pracowni Sidura (por. Юлия Нельская-Сидур. «Время, когда не пишут дневников и писем...» Хроника одного подвала. Дневники 1968–1973 / Составление, подготовка текста, вступительная статья и комментарии Владимира Воловникова. Изд. 3-е, исправленное, Москва 2024). Korespondowała również z prof. Karlem Eimeracherem (*Юлия Сидур — Карл Аймермахер. «Время новых надежд...» Переписка 1986–1992 / Обработка текста В. Воловникова/. Москва 2014*). Napisała też kilka powieści (por. Юлия Сидур, Роза Террестриэл, Москва 2003; Юлия Сидур, Пришелец и пенсионерка, Москва 2005; Юлия

artysty, rzucający światło na poetyckie zmagania rzeźbiarza¹⁵. Powstawały też teksty o jego bogatej i wielowątkowej twórczości¹⁶.

W pisaniu dysertacji o twórczości Wadima Sidura bardzo pomógł maszynopis *Mitu*, który powstał w latach 1973-1974, drukiem ukazał się kilka lat po śmierci artysty. Po raz pierwszy opublikowany był w mocno skróconej wersji w czasopiśmie *Znamja*¹⁷, a wydanie książkowe pojawiło się dopiero w 2002 roku¹⁸.

Wadim Sidur jako rzeźbiarz, grafik, rysownik i pisarz wyrażał się za pomocą różnorodnych, niekiedy nader zaskakujących, środków artystycznych. Na podstawie powieści-mitu *Pomnik stanu obecnego* twórca nakręcił w 1974 roku dwugodzinny film o tym samym tytule, w którym przedstawione zostało życie, twórczość i pojmowanie misji artystycznej. Wadim Sidur zagrał w nim główną rolę i wystąpił w roli reżysera. Należy zwrócić uwagę, iż taki sam tytuł nosi jego rzeźba, która powstała w 1962 roku.

Сидур, Человек прозрачный, Москва 2006)ю

¹⁵ Julia Sidur, *Z notatnika żony artysty*, „Tygiel” 1994, nr 12, ss. 26-27.

¹⁶ *W pracowni rzeźbiarza*. „Dziennik Bałtycki” 1.08.1986; *Wadim Sidur*. „Kwartalnik Galeria EL” 1986, nr 11-12.; *Wadim Sidur – rzeźbiarz i poeta*. „Tygiel. Kwartalnik Elbląski” 1994, nr 12.; *Rzeźby – pytania Wadima Sidura*. „Tygiel. Kwartalnik Elbląski” 1996, nr 19-20, *Patriota powszechnego absurdu. In Memoriam Wadim Sidur*, *Studia Rossica Gedanensia*” 2016, nr 3; *Wadim Sidur (1924-1986). Wciśnięty w ciasną przestrzeń wolności*, „Tygiel. Kwartalnik Kulturalny” 2022, nr 1(80).

¹⁷ Вадим Сидур, Памятник современному состоянию: Миф. «Знамя» 1992, № 8, ss. 9-68; 1992, № 9, ss. 114-179.

¹⁸ Вадим Сидур, Памятник современному состоянию. Миф, Москва 2002.

Praca ta w latach późniejszych posłużyła jako wzór czterometrowego, żeliwnego pomnika ustawionego w 1981 roku w niemieckim mieście Konstacja. Dzięki staraniom profesora Karla Eimermachera, w przestrzeni publicznej niemieckich miast (m.in. w Kassel, Offenburgu, Würzburgu, Berlinie Zachodnim), na podstawie wcześniejszych prac Wadima Sidura¹⁹, które posłużyły jako modele, ustawiono wiele jego kompozycji rzeźbiarskich.

Pomnik stanu obecnego – Mit Wadima Sidura składa się z krótkich epizodów fabularnych, przeplatanych cytatami prasowymi czy zapisami audycji radiowych, bądź przytoczeniami materiałów filmowych. W zasadzie są to zarysy sytuacji, które potencjalnie w każdej chwili mogą się przerodzić w większe całości fabularne. Można wykreślić całkiem dokładne granice czasowe (od wczesnego dzieciństwa, lata młodości, ucieczka przed Niemcami, przeszkolenie wojskowe na południu sowieckiego imperium na granicy z Afganistanem, walki na Ukrainie i kolejne spotkanie z Niemcami, którzy strzelali i ciężko ranili młodziutkiego czerwonooarmistę aż po początek lat siedemdziesiątych). Pojawiają się sceny z leczenia, studiów w moskiewskiej szkole plastycznej, działalności artystycznej w rzeczywistości państwa totalitarnego i narzucanego artystom realizmu socjalistycznego. Wydarzenia te można zbudować na zasadzie tradycyjnego układu fabuły, ale wymagają od czytelnika pewnego wysiłku. Wszystkie obrazy ukazane są bez zachowania chronologii, na zasa-

¹⁹ Владимир Воловников, Скульптуры Вадима Сидура в Германии, «Партнёр», № 1 (184) 2013.

dzie luźnych skojarzeń – tak, jak pojawiają się przed oczyma, lustrem pamięci autora – bohatera i jednocześnie przed nim lub w nim ulegają zatarciu²⁰.

Kilkanaście lat później o dziele literackim Wadima Sidura jego syn Michaił Sidur²¹ napisał: „Fragmentaryczna narracja została „zbudowana” z małych i często niepowiązanych ze sobą „rozdziałów”. Już od pierwszych stron czytelnik został wciągnięty w wir najróżniejszych wydarzeń, które miały miejsce w naszym kraju i na świecie, oddalonym od siebie o dziesiątki lat. Każdy z „rozdziałów”, niczym krótki poemat pisany prozą, tworzył własny barwny i uderzający obraz. Wszystkie przypominały jaskrawe obrazy, przedstawiające na przemian albo zwykłą scenę z przeszłości, albo wyrwany z toku wydarzeń epizod z czasów współczesnych, albo niejasny, abstrakcyjny szkic jakiegoś fantastycznego, „nieziemskiego” życia lub nieznanego przyszości ludzkości”²².

Pomnik stanu obecnego jest obszernym dziełem artystyczno-filozoficznym, którego gatunek autor określił jako „mit”. Utwór ten jest księgą ważną – nie tylko literackim, a może nawet i artystycznym *Opus Magnum* Wadima Si-

dura. Zbudowany na zasadzie literacko – filozoficzno – reporterskiego palimpsestu, kolażu, utwór wpisuje się w krąg twórczych działań i zabiegów, stosowanych w brikolażu – pojęcia, wprowadzonego przez Claude Levi-Straussa (1908-2009²³), w którym istnieje wiele warstw znaczeniowych i odwołań tak mitycznych, jak również sprawdzalnych – historycznych. Tytuł autobiograficznej powieści staje się dla Czytelnika spajającą ramą semantyczną twórczości i filozofii Wadima Sidura, odsłaniającej wszystkie elementy jego artystycznego, filozoficznego przesłania dla wszystkich żyjących w „epoce równowagi strachu”, jak określał drugą połowę XX wieku moskiewski twórca. W sowieckiej przestrzeni ideologicznej, wypełnionej przemocą totalitaryzmu, skażonej strachem i śmiercią – samotnik rzeźbiarz – prorok – *bricoleur* własnymi rękami, całym sobą zestawia swój artystyczny świat, składających się często z przedmiotów absolutnie nie pasujących do obowiązujących w tym czasie kanonów sztuki radzieckiej. Oczywiście, każdy twórca decydujący się zastosować w swoich dziełach zasady kolażu, wykorzystującym rzeczy wcześniej wytworzone i wciągnięte w świat sztuki, staje się też *bricolerem*, a dzieło – będące *brikolazem* – konstruowane jest przede wszystkim z gotowych elementów (*ready-mades*)²⁴.

Autobiograficzna powieść Wadima Sidura *Pomnik stanu obecnego* staje się ramą semantyczną dla twórczości

²⁰ Por. Zbigniew T. Szmurło, *Twórczość Wadima Sidura* (rozprawa magisterska), Instytut Filologii Rosyjskiej, Uniwersytet Gdański, Gdańsk 1988, ss. 175-176

²¹ Michaił Wadimowicz Sidur (1955-2010), krytyk artystyczny, syn artysty. wraz z matką, Julią Sidur doprowadzili do powstania Moskiewskiego Państwowego Muzeum Wadima Sidura. Michaił przez wiele lat był dyrektorem tej placówki. Jest też autorem artykułów i książek o drodze artystycznej ojca. Por. Михатл Сидур, *ВАДИМ СИДУР – очерк творчесова на фоне событий жизни*, Москва 2004,

²² Михаид Сидур, *Миф Вадима Сидура*, «Знамя» 2003, № 1; <https://znamlit.ru/publication.php?id=8077>;

²³ Por. Claude Levi-Strauss, *Myśl nieoswojona*, Warszawa 1969, ss. 30-32.

²⁴ Por. Izabela Adamczewska, *Kolaż*, [w:] *Materiały do „Słownik rodzajów literackich”*, „Zagadnienia Rodzajów Literackich” 2008, t. 51, nr 1-2 (101-102), ss. 233-234.

autora i odsłania naczelną zasadę jego światopoglądu i twórczości artystycznej. Może nawet cała twórczość Wadima Sidura powinna być rozpatrywana jako mistyczno-poetycki *brikolaż*, wypełniony metaforycznymi znakami, pytaniami i ostrzeżeniami. W *Pomniku stanu obecnego* wszystko jest metaforycznym *brikolażem*, który – podobnie jak narracja mitologiczna – powstaje poprzez zestawianie w jedną całość pozornie nie pasujących do siebie sytuacji. Wadim Sidur konstruował swój Mit z tego, co posiadał – ze świadomości, wspomnień, historycznych wydarzeń, z tego, co aktualnie znajdowało się niejako pod ręką, w jego przestrzeni życiowej i pasowało do stworzenia nowej rzeczywistości literackiej w mistyczno-poetyckiej przestrzeni. Stworzył ją z zastanych w jego świecie elementów, wykorzystując rozmaite formy literackiego przekazu. Ten sam zabieg *kolażu* (szerzej *brikolażu*) zastosował artysta w wielu rzeźbiarskich kompozycjach ostatniej dekady swojego życia, szczególnie w pracach z cyklu GROB-ART (sztuka trumien), do powstania których zostały wykorzystane przedmioty codziennego często użytku, fragmenty rzeczy wyrzuconych a znalezionych na wysypiskach śmieci. GROB-ART stał się filozoficznym przesłaniem i rozmową z przyszłością poprzez ukazywanie odwiecznych tematów, towarzyszących zagubionym i zagrażającym samym sobie ludziom. Rzeźbiarz – Prorok swoje rozmyślenia o przeszłości, niosącej śmierć i zniszczenie wielu cywilizacyjnych wartości, zestawiał z teraźniejszością – wybiegł ze swoim twórczym, filozoficznym przesłaniem w niezbyt przyjazną przyszłość.

Wydarzenia ostatnich kilku lat pokazały, iż ponownie ludzkość znalazła się w kręgu niszczącej, zabijającej cywilizacji strachu i śmierci. Historia rzeczywistości po raz kolejny stanęła dęba. Ziemia terenów, o które w 1943 roku walczył i wyzwał od zachłannych i nienawidzących Niemców, gdzie też w pobliżu rodzinnego miasta został ciężko ranny, od 2022 roku jest po raz kolejny rozrywana. Tym razem wysłannicy Kremla chcą panować i narzucić „ruski mir” przedstawicielom innego państwa. Wadim Sidur niejednokrotnie mówił, że jego kompozycje powstają w czasie „epoki równowagi strachu”. Życie pokazuje, iż nic się nie zmieniło, a strach i śmierć towarzyszy ludzkości także w XXI wieku.



Alice Johnson

Kiedy czas staje się polityką – jak kreowana jest droga do wojny z Iranem



Najniebezpieczniejszą zmianą w obecnym impasie z Iranem nie jest ruch statków ani skala zagrożeń. Tylko sposób, w jaki sam czas jest uzbrajany w broń. Decyzje, które kiedyś należały do debaty politycznej, są teraz przedstawiane jako wyścig z czasem, gdzie wahanie traktowane jest jako porażka, a zwłoka jako porażka. To nie przypadek. To metoda.

W Washingtonie prezydent Donald Trump przywrócił styl sygnalizowania, który pozostawia niewiele miejsca na skorygowanie – schemat widoczny w niedawnych publicznych oświadczeniach i rozmieszczeniach wojsk, szeroko relacjonowanych w mediach międzynarodowych. Publiczne groźby całkowitego zniszczenia nie tylko zastraszają przeciwnika; zawężają pole manewru mówcy. Gdy taki język wejdzie do sfery publicznej, powściągliwość niesie ze sobą koszty wewnętrzne. Każda pauza wymaga uzasadnienia. Każda alternatywa wygląda na odwrót.

Rola Izraela w tej dynamice jest bardziej bezpośrednia. Irańskie możliwości są coraz częściej opisywane nie jako możliwe do opanowania ryzyko, ale jako upływające terminy. Argument jest prosty: działaj teraz albo poniesiesz nieodwracalną stratę później. Takie podejście nie ogranicza się jedynie do oceny zagrożenia. Tworzy poczucie straty czasu. Kiedy poczucie straty czasu staje się polityką, dyplomacja jest odrzucana nie dlatego, że zawiodła, ale dlatego, iż uważa się ją za zbyt powolną, by miała znaczenie.

Iran stawia czoła tej presji z o wiele bardziej ograniczonej pozycji. Sankcje osłabiły siłę nabywczą i sprawiły, że codzienne życie przeciętnych gospodarstw domowych stało się niepewne. Protesty dotyczące warunków gospodarczych obnażyły wrażliwość przywódców na każdy sygnał słabości. W tym środowisku publiczne demonstracje jedności dowódców wojskowych, szeroko opisywane w regionalnych doniesieniach, pełnią funkcję wewnętrzną. Uspokajają, ostrzegają i dają czas. Nie są oznakami pewności siebie. Są objawami niepewności.

Wspólnie te stanowiska tworzą samonapędzającą się pułapkę. Każda ze stron uważa, iż czekanie zwiększa zagrożenie, podczas gdy działanie obiecuje kontrolę. Jednak historia pokazuje, że skrócone terminy to miejsce, gdzie błędne kalkulacje się rozwijają.

Koncentracja zasobów wojskowych w Zatoce Perskiej zaostrza to ryzyko. Wdrożenia o wysokiej gęstości skracają czas reakcji i mnożą punkty awarii. Gdy systemy są projektowane tak, aby reagować szybciej niż zrozumienie, wte-

dy eskalacja nie wymaga uzasadnienia. Wymaga tarcia. Błędnie odczytanego sygnału lokalnego dowódcy, działającego w oparciu o niekompletne informacje. Decyzji podjętej, aby uniknąć wrażenia niezdecydowania. W Washingtonie często pomija się kwestię, jak mało pewności siebie panuje po pierwszym ataku. Nawet analitycy przychylni strategiom przymusu przyznają, że niepewność zaczyna się po fazie otwarcia. Iran nie musi militarnie pokonać Stanów Zjednoczonych, wystarczy iż narzuci koszty. Zakłócenie żeglugi, atakowanie baz regionalnych lub podtrzymywanie niepewności na rynku wystarczyłoby, aby zglobalizować konsekwencje.

Przymus ekonomiczny wzmacnia tę samą logikę przyspieszenia. Groźenie stronom trzecim za zaangażowanie się w konflikt z Iranem pogłębia konflikt, jednocześnie ograniczając możliwości dyplomatyczne. Takie środki rzadko zmieniają zachowania strategiczne. Pogłębiają one jednak trudności dla ludności cywilnej i zachęcają do odwetu poprzez pośrednie kanały, które trudniej powstrzymać.

Z punktu widzenia prawa międzynarodowego ten dryf jest destrukcyjny. Normalizacja logiki prewencyjnej podważa zasady konieczności i proporcjonalności, które mają na celu ograniczenie użycia siły. Wojna uzasadniana antycypacją, a nie działaniem, osłabia ograniczenia prawne, mające na celu ochronę ludności cywilnej i zapobieganie cyklom represji.

Dla Amerykanów ten schemat powinien wydawać się niepokojąco znajomy. Przekonanie, że presja i szybkość tworzą porządek, zawiodło już wcześniej.

Irak i Libia nie zostały pokonane przez brak siły, ale przez założenie, iż siła może zastąpić politykę. Ludzki koszt tego założenia wciąż się ujawnia.

Ryzyko dzisiaj nie polega na tym, że przywódcy ignorują te lekcje. Chodzi o to, iż pozwala się, aby pilna potrzeba je przyćmiła. Kiedy polityka jest dyktowana przez ramy czasowe, a nie przez rezultaty, decydem staje się pęd.

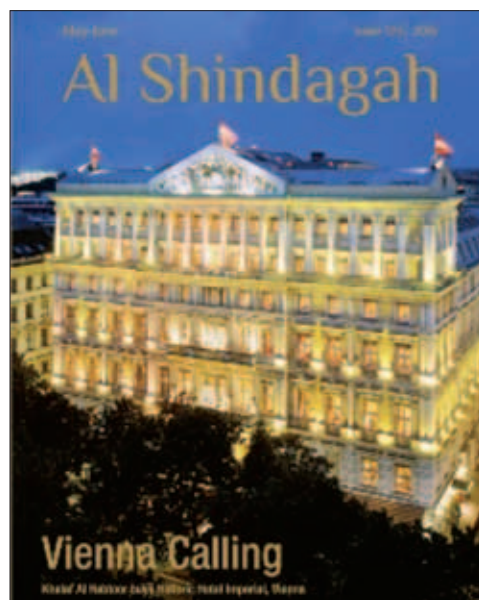
Wojna z Iranem nie nadejdzie jako świadomy wybór, ogłoszony z góry. Wyłoni się z serii działań, usprawiedliwianych jako nieuniknione. Niebezpieczeństwo tkwi właśnie w tym: w myleniu przyspieszenia z kontrolą, a bezruchu z bezpieczeństwem.

Alice Johnson

Tłum. Roman Boryczko

Za: MEM - *Middle East Monitor*

Poniżej jedno z pism, do których pisuje A. Johnson

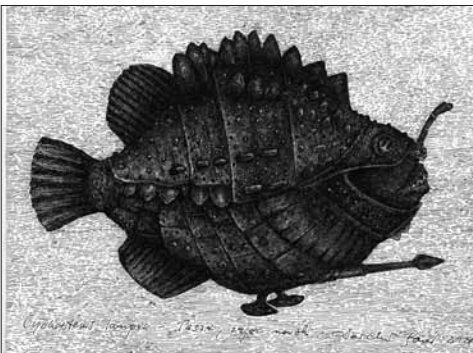


Zbigniew T. Szmurło

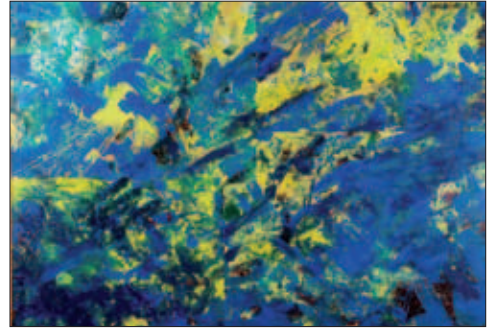


Bunkier 11

Warchoła pracuje w różnych technikach artystycznych, takich jak rysunek, malarstwo, grafika wydawnicza, plakat oraz fotografia. **Jego twórczość łączy tradycyjne techniki z nowoczesnością**; potrafi zarówno realizować wizje w klasycznym rysunku tuszem, jak i w nowoczesnym malarstwie olejnym czy też wykorzystywać zaawansowany sprzęt cyfrowy.



Ryba



Błękitny

Jest jednym z niewielu artystów, którzy przyjęli rysunek jako główny środek wyrazu swojej prac twórczej, a jego kolekcja rysunków obejmuje kilkanaście cykli.

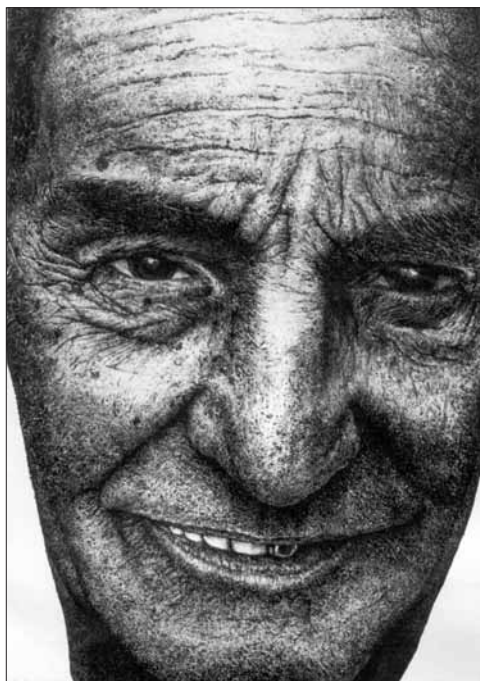
Pawła Warchoła

Znaki czasu

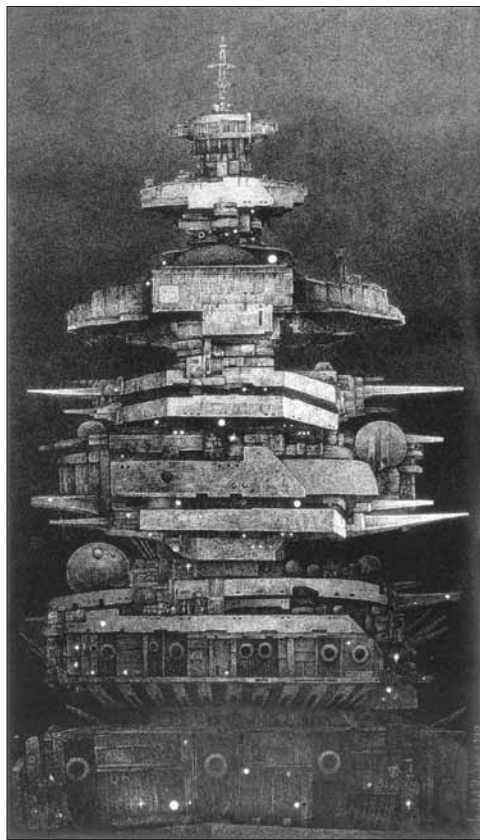
Każdy z nas kroczy przez życie wraz ze swoim wewnętrznym, immanentnym pejzażem, w którym ustawiają się wydarzenia, spotkania, radości, ból i rozmowy – ustawiczny dialog. O jego obecności uświadamiamy sobie w różny sposób: najczęściej pomaga nam najwykleszy przypadek, czyjś nieoczekiwany gest, spojrzenie, ślad odległego w czasie wydarzenia; czasami jest to wewnętrzny głos, intuicja, tajemnicza „szczelina”, przez którą wpada struzka światła. Niektórzy twierdzą, że jest to... natchnienie.

Paweł Warchoła zdany jest właśnie na swój wewnętrzny pejzaż, na spoglądanie na rzeczywistość, na siebie i innych przez mistyczną, odsłaniającą wszystko szczelinę. W jego rysunkach dostrzec można dążenie do absolutnej perfekcji, do czysto formalnych rozwiązań. Jest to sztuka pełna artystycznych niespodzianek, zdominowana przez metafizyczne zagubienie.

Prace Pawła Warchoła, ich specyficzny klimat, ewokują liczne skojarzenia, które poparte aktywną percepcją odbiorcy – układają się w szereg obrazów, będących elementami świata, owego wewnętrznego krajobrazu. Zwarta, jednoznaczna płaszczyzna pękła, rozwarła się „szczelina”, przez którą wciska się myśl. Zostajemy wprowadzeni w inny świat: dynamiczne formy organiczne, płaszczyzny nasyczone czernią sąsiadują z ledwo co muśniętymi ręką twórcy obszarami ciszy; tragiczne układy pnący, zaufki, oczekiwania, porażenia i wybuchy, z drugiej strony tajemnicze budowle, fortece, zamki, w których być może kiedyś schronią się nasze cienie. W zaprezentowanych rysunkach został skumulowany twórczy niepokój twórcy, dostrzegającego nie tylko dekadencja kruchość wszelkich wartości. Oczywi-



Wujek Kazek



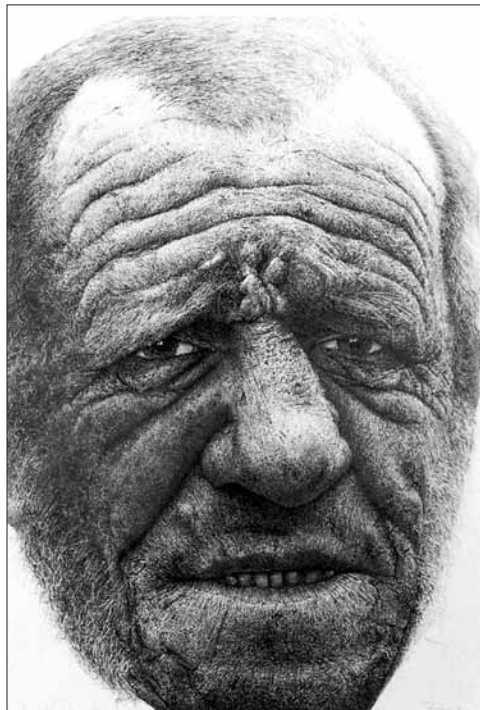
Pancernik 2

ście, Paweł Warchoła nie daje nam gotowych recept – odpowiedzi. Stawia tylko pytania, próbuje zmusić nas do spoglądania na rzeczywistość nie tylko przez pryzmat naszych przyzwyczajęń.

Twórca przez cały czas realizuje się przede wszystkim w rysunku, stając się jednym z najwybitniejszych polskich twórców rysunku artystycznego. Najpełniej wypowiada się w rysunkowych cyklach. Wiele z nich to nie tylko istotne pytania, ale także bardzo wymowne oskarżenia realnej, jakże brutalnej rzeczywistości, w której rządzi przemoc i śmierć. Należą do nich m.in. prace cykli, w których autora jakże wy-

mownie porusza niehumaniczny tragizm ofiar KL Auschwitz: *Fragmenty*, *Skargi Hioba*, *Szamoto*, *Alfabet Auschwitz*. Bardzo wymowne są rysunki z cyklu *Szamoto* – na kartonach widnieją oświęcimskie krążki szamotowe z numerami ofiar, których spopielone szczątki były wsypywane przez pewien czas przez hitlerowców do urn. Stały się też symbolicznymi znakami-śladami nie tyle życia a śmierci ludzi, jakim dane było trafić w to niehumaniczne miejsce, wymyślone przez niemiecką maszynę zniszczenia. Realistyczne, perfekcyjnie wykonane i niezwykle oszczędne rysunki Pawła Warchoła to nie tylko notowanie znaków dramatycznego, morderczego dla wielu milionów ludzi, czasu. To także znaki – oskarżenia.

Paweł Warchoła jest także wybitnym portrecistą, co udowodnił m.in. w cyklach *Warchoły* i *Mówię po polsku*. *Warchoły* to portrety rodziny autora.



Obiekt 2

R

Bohaterowie tego cyklu zostali sportretowani naturalistycznie, z fotograficzną dokładnością, bez upiększania, a przeciwnie – świadomie zostały dostrzeżone przez autora wszystkie ich defekty, ułomności. *Warchoły* jawią się nam jako ludzie pełni energii, dowcipni. Paweł Warchoła widocznie chciał zobaczyć, ile z tych *Warchołów* jest w nim samym, co w pewnym zaowocowało kolejnym cyklem *Mówię po polsku*, w którym artysta ukazał siebie samego, także w sposób naturalistyczny, ale także z właściwym sobie poczuciem humoru, z pewnym dystansem, a nawet przymrużeniem oka w stosunku do samego siebie. Pokazał siebie, przede wszystkim swoje usta i twarz, podczas wymawiania typowo polskich głosek, co w jego kartonach może jawić się jako jeden z atrybutów naszej polskiej od-



Skargi Hioba 4

rębności w europejskim tygłu narodów. Rysunki z tych dwóch cykli z daleka wyglądają jak trójwymiarowe fotografie, ale jest to obszar delikatnych kresek i plam ze wszystkimi detalami portretowanej twarzy.

W twórczości Pawła Warchoła z jednej strony jest obecna dynamika form, układów i napięć prawie abstrakcyjnych lub organicznych struktur, bardzo pomocnych w samym procesie tworzenia i odkrywania ukrytych sensów i poszukiwanych prawd uniwersalnych.

Z drugiej strony jest także próba pokazania metafizycznego świata wszelakich budowli i obiektów, z których znaczna część służyła – bądź może posłużyć – do zabijania, niszczenia życia i wszelkich, w tym również artystycznych, światów. U Pawła Warchoła do-



Skargi Hioba2

strzec można filozoficzne rozprawianie się z kulturową spuścizną, która może stać się blizną w pamięci i odczuć. Twórca pokazuje, że ludzka pamięć nie może, nie powinna być ułomna i co najgorsze – wybiórcza. Ona musi być autentyczna, prawdziwa – ze wszystkimi ułomnościami, szczelinami, pęknięciami, bliznami i bólem. Twórczość Pawła Warchoła zmusza nas do bolesnej refleksji nad tym wszystkim, co ludzkość przyniosła i co jeszcze może zgotować, jeżeli nie przyjdzie w porę opamiętanie i refleksja. Jego rysunki są jednocześnie naszym przecieraniem się przez narodowe i cywilizacyjne traumy, a także niosą piękną filozofię życia, pokonującego zapomnienie i zniszczenie wszelkiej pamięci.



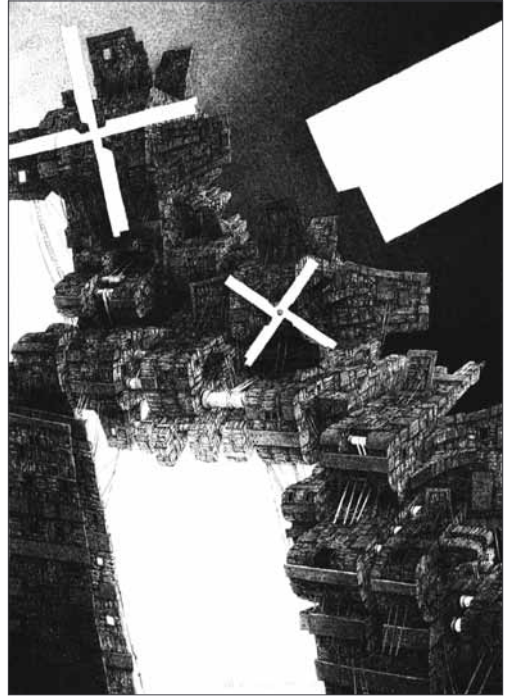
Autoportret



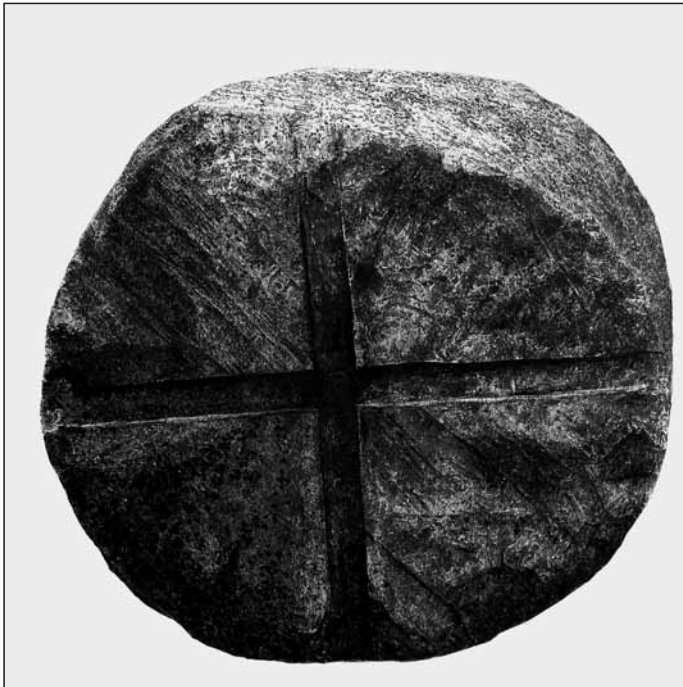
Skargi Hioba 6



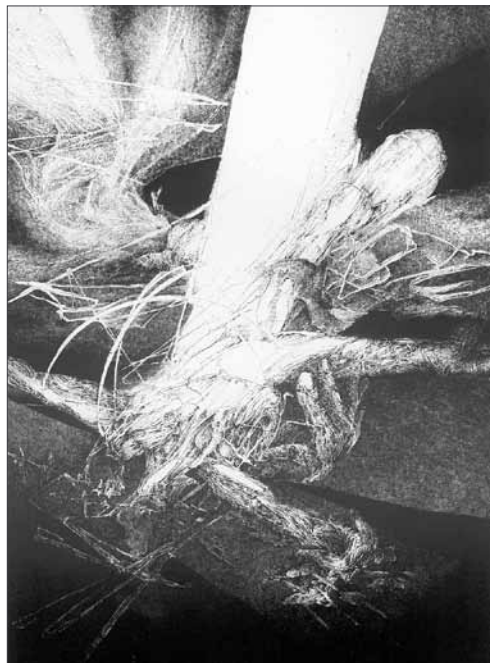
Obiekt 1



Holzmachina



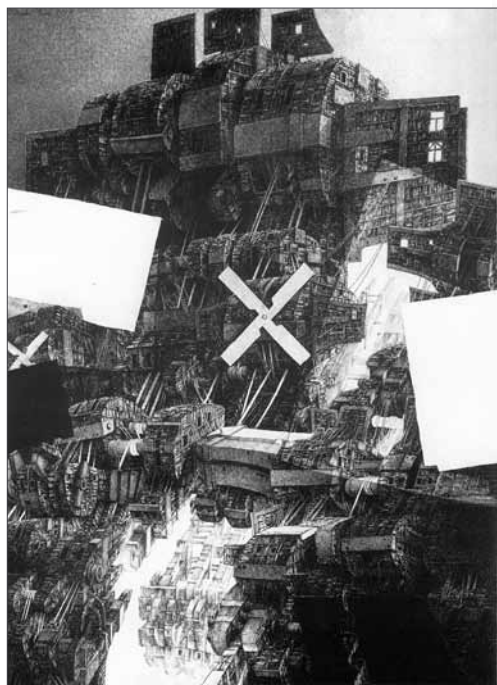
Walec



Przybicie do krzyża



Alfabet - Auschwitz



Holzmaschine



Alfabet - Auschwitz

Zbigniew T. Szmurło

ELBLĄSKI CHACZKAR – ZNAK PAMIĘCI O OBECNOŚCI



I

Dla każdego Ormianina chaczkar to symbol i podstawa chrześcijaństwa, wiary przodków, a także znak nadziei na przetrwanie i zachowanie tradycji – tożsamości narodowej oraz przywiązania do nauk Chrystusa. Zgodnie z odwieczną tradycją – tam, gdzie żyją Ormianie, stawiane są płyty krzyżowe, będące także świadectwem ich obecności.

Chaczkary są zjawiskiem niepowtarzalnym i bardzo charakterystycznym dla kultury i tożsamości narodowo-religijnej Ormian¹. Sztukę tworzenia chaczkarów można postawić na równi z takimi

¹ Por. H. L. Petrosyan, *Khachkar*, [w:] Kh. A. Harutyunyan (ed.), *Historical and cultural Heritage of Armenia*, Yerevan 2022, s. 57.

obszarami kultury średniowiecznej Ormian, jak architektura i miniatury. Fenomen chaczkarów jest częścią dziedzic-



Ks. biskup Jan Styrna i ks. Artur Awdalian przed elbląskim chaczkarem

stwa kulturowego narodu ormiańskiego i istotnym elementem jego identyfikacji². Chaczkar³ – dosłownie znaczy „kamień krzyżowy”.

Wizerunki krzyża bogato zdobionego, ukazywane bywają na prostokątnych płytach kamiennych ustawianych bezpośrednio na ziemi lub umieszczanych na podstawie. Często elementy

² Por. H. L. Petrosyan, *Symbols of Armenian Identity. The Khatchkar Or Cross-Stone*, [w:] L. Abrahamian, M. Sweezy, S. Sweezy (Ed.), *Armenian Folk Arts, Culture and Identity*, Bloomington and Indianapolis 2001, ss. 62-70.

³ Więcej o chaczkarach m.in. w: K. B. Ostapowicz, *Chaczkary*, Warszawa 1991; D. Próchniak, *Chaczkary – armeńskie krzyże kamienne. Funkcja – ewolucja typologiczna – ikonografia – problem genezy*, [w:] J. Malinowski, J. Wasilewska (red.), *Sztuka Orientu, 1, Studia nad sztuką Azji*, Toruń 2008, ss. 91-103; J. Kopczyński, *Chaczkary – żywe kamienie*, „Awedis”, nr 1/2009, ss. 12-13; A. Bowska, *Kwitnące krzyże Armenii*, „Archeologia”, nr 1 (630/2017, ss. 64-69.

bogato i misternie zdobionego krzyża nawiązują do tradycyjnej symboliki Drzewa Życia. Na kamiennych płytach



Biskup Elbląski Jan Styrna w asyście Lecha Wasilewskiego – proboszcza Parafii Sw. Jerzego i Artura Awdaljana – krajowego duszpasterza Ormian

można znaleźć inskrypcje, upamiętniające znaczące dla danej społeczności wydarzenia historycznie. Często te inskrypcje



Biskup Elbląski Jan Styrna i goście z Erywania – Ałła Kuźmińska i Suren Czachmaczan oraz senator RP Sławomir Sadowski

upamiętniają osobę, której krzyż został poświęcony⁴.

Chaczkary, jako samodzielne płyty, najczęściej ustawione są na otwar-

⁴ Por. V. Nersessian, *Treasures from the Ark: 1700 years of armenian christian art*, London 2001, s. 110.

tej przestrzeni i mają wyraźną orientację względem czterech kierunków świata. Płaska, zachodnia strona tej steli pokryta jest rzeźbioną kompozycją, składającą się z centralnego krzyża, otoczonego ornamentami roślinnymi i geometrycznymi, czasami wizerunkami ptaków, zwierząt i ludzi. Najbardziej charakterystyczną cechą chaczkaru jest ornament roślinno-geometryczny, tworzony za pomocą ciągłych i giętkich linii reliefowych oraz utworzonych z nich wstęg⁵. Spotykane są także chaczkary wmurowywane w ściany budowli, umieszczane na wewnętrznych ścianach kościołów lub w przyległych do nich narteksach.

Zabytki te wywodzą się genetycznie z pomników krzyżowych, najpierw drewnianych, a później kamiennych, które już w IV wieku, jak zaświadczaają ormiańscy historycy, były wzno-



Tadeusz Nieczuja Ostrowski

szone na filarach lub kolumnach – na miejscach zniszczonych starożytnych

⁵ Por. Г. А. Петросян, *Хачкары*, [w:] *Армяне / Отв. ред. Л. М. Варданян, Г. С. Сарксян, А. Е. Тер-Саркисянц*, Москва 2012, s. 495; Т. Варданесова, *Культура хачкаров Арагацоена и Котайка IX-XVII вв.*, Ереван 2016, s. 7.



Generał Bolesław Nieczuja-Ostrowski,
Tadeusz Nieczuja-Ostrowski

pogańskich świątyń jako znak zwycięstwa chrześcijaństwa⁶.

Z dużym prawdopodobieństwem można stwierdzić, że wpływ na powstanie i rozwój sztuki chaczkarów



Tabaczkowy tuf, z którego powstanie chaczkar

na terenie Armenii mogły mieć wydźwięcia, związane z uwolnieniem w 629 roku przez bizantyjskiego cesarza Herakliusza (ok. 575–641, panował od 610 r.)⁷ Prawdziwego Krzyża, „uprowadzonego w niewolę” w 614 roku przez perskiego władcę Chosroesa II, który po zdobyciu

⁶ А. Л. Якобсон, *Армянские хачкары*, Ереван 1986, s. 9.

⁷ Por. G. J. Reinik, B. H. Stolte (ed.), *The Reign of Heraclius (610–641). Crisis and Confrontation*, Leuven-Paris-Dudley 2002.

Jerozolimy⁸ wywiózł relikwię do swojego kraju. Historia panowania i walk cesarza Herakliusza, zwycięska bitwa pod Ninivą (627 r.) i odzyskania świętej relikwii została opisana także przez ormiańskiego kronikarza VII wieku – biskupa Sebosa⁹.

Ormiańskie chaczkary (kamienie krzyżowe) można określić jako znaki – zabytki pamięci, które nie mają analogii w sztuce światowej. Chaczkary swoją formą i projektem sięgają kamieni pamiątkowych i granicznych z okresu istnienia Urartu – potężnego państwa epoki żelaza (IX – VI w. p.n.e., istniejącego na terenie Wyzyny i pogańskiej Armenii, która też w wyniku działalności misyjnej św. Grzegorza Oświeciciela stała się pierwszym królestwem (301 rok) z chrześcijaństwem jako religią państwową.

Chaczkary rozsiane są po całej Armenii: nie tylko na terenie miast i wsi, w pobliżu kompleksów klasztornych i kościołów, ale także w najbardziej odległych, najbardziej opuszczonych miejscach. Chaczkary, które zastąpiły pogańskie pomniki, początkowo służyły jako symbol abstrakcyjnego bóstwa chrześcijańskiego, przypominając ludziom na każdym kroku o ich przynależności do nowego świata chrześcijańskiego, nowego kodeksu moralnego. Chaczkary odgrywały dużą i różnorodną rolę w życiu średniowiecznej Armenii. Chaczkary powstawały i były stawiane z różnych powodów: na cześć zwycięstwa nad wro-

⁸ R. Bulas, *Krzyż Armeński – Khatchkar*, „Vox Patrum”, nr 21, t. 40-41/2001, s. 89.

⁹ *История Епископа Себоса*, (перев. Ст. Малхасянц), Ереван 1939; M. Starowieyski, Sebos,[w:] tegoż, *Słownik wczesnochrześcijańskiego piśmiennictwa Wschodu*, Warszawa 1999, s. 199.



TV ERYWAŃ (listopad 2004)



TV ERYWAŃ (kwiecień 2005)

gami, z okazji założenia nowej wioski, ukończenia budowy świątyni lub mostu, jako wyraz wdzięczności za otrzymanie działki ziemi itp. Kamienne płyty były często używane jako znaki graniczne, a pełniły również funkcję nagrobków¹⁰.

II

W Polsce powojennej chaczki są zjawiskiem zupełnie nowym. Na początku obecnego stulecia nikt nie przypuszczał, że przestrzeń publiczna Elbląga w 2005

¹⁰ Пор. Н. С. Степанян, А. С. Чакмакчян, *Декоративное искусство средневековой Армении*, Москва – Ленинград 1971, ss. 34-35.

roku zostanie wzbogacona i pojawi się w niej płyta krzyżowa – drugi w Polsce ormiański chaczkar. Rok wcześniej w Krakowie przed kościołem św. Mikołaja – z inicjatywy środowiska ormiańskiego, skupionego wokół *Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego* – został poświęcony pierwszy w Polsce chaczkar. Autorem projektu jest architekt Jacek Chrzęszczewski. Krakowski chaczkar został wykonany przez kamieniarzy polskich (powstał w słynnej pracowni kamieniarskiej Stanisława Cekiery w Dębniku koło Krzeszowic) z jasnoszarego piaskowca i zawiera elementy ikonograficzne, charakterystyczne dla sztuki Ormian lwowskich. Jego uroczyste poświęcenie odbyło się 17. kwietnia 2004 roku. Obecna na uroczystości grupa Ormian, mieszkających w Elblągu, zapragnęła także zaznaczyć swoją obecność w mieście, w którym przyszło im żyć, a krakowski monument posłużył jako inspiracja do dalszych działań¹¹.

Mieszkający w Elblągu Ormianie (była to wtedy znacząca grupa) zapragnęli zaznaczyć w miejscu zamieszkania swoją obecność i najlepszym tego sposobem okazał się chaczkar. Po powrocie z uroczystości w Krakowie, w mieszkaniu Genadika Martirosyana i Anush Karamanyan, którzy starali się wtedy ożywić aktywność elbląskiej społeczności Ormian, dyskutowano nad możliwościami ustawienia podobnego krzyża w Elblągu. Próbowano znaleźć najbardziej realne i możliwe do urzeczywistnienia rozwiązanie. Udało się nawet zainteresować ideą elbląskiego artystę-rzeźbiarza

¹¹ J. Sławińska, *Współczesne chaczki na terenie Polski*, „Lehahayer”, nr 11 / 2024, s. 316.



Skrzynie z chaczkarom dotarły do Elbląga



Pierwsze spojrzenie na elementy krzyża



Robert Howsepian – autor chaczkaru

Romana Fusa (1960-2007), który gotów był zająć się przygotowaniem wstępnego projektu i ewentualnie przystąpić do jego wykonania. Za każdym razem na

przeszkodzie stawały koszty wykonania, przerastające możliwości społeczności ormiańskiej.

Jednakże niezwykle ważny okazał się splot pozytywnych zdarzeń oraz spotkań. „Splot zdarzeń, prowadzący do elbląskiej uroczystości jest bardzo ciekawy. W 1999 r. na zorganizowanym przez KUL sympozjum na temat *Polacy w Armenii* podszedł do mnie polski dziennikarz z Elbląga, Zbigniew Szmurło (jak się później dowiedziałam, znawca Armenii). Od tego czasu zaczęliśmy korespondować ze sobą i tak narodziła się nasza przyjaźń. Zbigniew często przyjeżdżał do Armenii, której historię oraz kulturę dobrze zna. Podczas ostatniego swojego przyjazdu do Erywanii (...) występując w telewizyjnym programie *Piramida* (jak się później sam przyznał) zupełnie nieoczekiwanie nawet dla samego siebie powiedział: „Marzę o tym, by w Elblągu, gdzie żyją Ormianie, był postawiony chaczkar”. Nie zdążył jeszcze zakończyć swojego występu, gdy w telewizyjnym studiu zabrzmiał dzwonek telefonu. To był rzeźbiarz Robert Howsepian, który natychmiast zaproponował zrobienie chaczkaru w darze dla elbląskiej diaspory. I tak zaczęła się nasza epopeja. Nie było łatwo to wszystko zorganizować: dostarczyć kamień, znaleźć pomocników, przygotować chaczkar do wysłania. Na pochwałę zasługuje członek *Polonii*, pan Suren Czachmachczan i jego znaczący wysiłek. Dzięki jego wytrwałości i przemożnej chęci, by jak najszybciej zobaczyć urzeczywistnione w różowym tufie marzenie – ormiański chaczkar, udało się już jesienią dowieźć krzyż do Polski¹². Na-

¹² A. Kuźmińska, *Chaczkar pamięci i przyjaźni*, „Póki my żyjemy”, nr 4 (11)/ 2005, s. 24.

leży wspomnieć, że elbląski chaczkar jest też darem ormiańskiej Polonii¹³ dla Ormian, mieszkających w Elblągu, o czym też w liście do Ałły Kuźmińskiej – Prezes Związku Polaków w Armenii Polonia wspomniał ks. Kan. Lech Wasilewski: „Jesteśmy bardzo wdzięczni za gotowość przekazania elbląskiej Parafii Świętego Jerzego kamiennego krzyża, który stanie się znakiem odwiecznej przyjaźni pomiędzy Ormianami i Polakami. (...) Dla nas znaczenie symboliczne ma to, iż krzyż powstanie w Armenii z tufu i zostanie wykonany przez ormiańskiego artystę-rzeźbiarza”. O tej korespondencji wspomniała również Ałła Kuźmińska, którą szczególnie ujął fragment: „Powstały w Armenii chaczkar będzie też przypominać mieszkającej w Elblągu społeczności ormiańskiej ich odległą Ojczyznę, jak też podkreślać niezmiernie ważny fakt, iż przeszło 1700 lat temu ich przodkowie przyjęli chrzest, a Armenia stała się pierwszym na świecie w pełni chrześcijańskim królestwem”¹⁴.

W trakcie przygotowań, udało się też znaleźć jego przyszlą lokalizację. Ks. Lech Wasilewski (ówczesny proboszcz elbląskiej parafii św. Jerzego) bez chwili wahania wyraził zgodę na ustawienie krzyża na terenie parafii – przed głównym wejściem do kościoła Bożego Miłosierdzia. Początkowo skłaniano się do ustawienia płyty krzyżowej w pobliżu pochodzącego z XIV wieku kościoła Świętego Jerzego. Jednakże ostateczne miejsce zostało zmienione, do czego

¹³ Армянский хачкар – в городе Эльблонге. www.parliament.am/news.php?cat_id=4&NewsID=1486&year=2005&month=11&day=4&lang=rus&view=prin

¹⁴ A. Kuźmińska, *Chaczkar pamięci i przyjaźni*, op. cit., s. 24.

przyczynił się Henryk Słonina, ówczesny Prezydent Elbląga. Z życzliwością przyjął informację o idei ustawienia ormiańskiego krzyża. Zasugerował on zmianę lokalizacji, gdyż chaczkar, ustawiony w pobliżu kościoła Miłosierdzia Bożego będzie bardziej widoczny.

III

30. października 2005 roku ks. biskup Jan Styrna – ówczesny ordynariusz Diecezji Elbląskiej – poświęcił ustawiony przed kościołem Miłosierdzia Bożego ormiański chaczkar, który upamiętnia odwieczną przyjaźń armeńsko-polską, 90. rocznicę Ludobójstwa Ormian w 1915 r. oraz 1600. rocznicę stworzenia przez Mesropa Masztoca ormiańskich liter. Biskupowi Janowi Styrnie towarzyszyli – ks. Artur Awdalian katolicko-ormiański duszpasterz Ormian i ks. kan. Lech Wasilewski – ówczesny proboszcz parafii Św. Jerzego.

W uroczystości odsłonięcia krzyża wzięli udział przedstawiciele władz miejskich i wojewódzkich, elblążanie, Ormianie mieszkający w Elblągu, konsul z Ambasady Armenii w Warszawie – Mihran Karapetian, pierwszy Przedstawiciel mniejszości ormiańskiej w Komisji Wspólnej Rządu i Mniejszości Narodowych i Etnicznych – Maciej Bohosiewicz z Warszawy oraz delegacje społeczności ormiańskich m.in. z Gdańska, Gdyni, Kartuz, Pruszcza Gdańskiego, Warszawy, Gliwic, Krakowa oraz z sąsiedniego Królewca.

W Elblągu gościli również przedstawiciele Związku Polaków w Armenii *Polonia* – prezes Ałła Kuźmińska (1927–2021) i Suren Czachmachczan



Agasi Arszakjan deputowany ormiańskiego parlamentu

(1959–2020), który zaangażował się w ideę powstawania chaczkaru i dzięki któremu ważyący prawie półtorej tony krzyż mógł dotrzeć do Polski. Osobiście też ustawił obelisk we wskazanym miejscu. Obecny był Robert Howsepian, rzeźbiarz, autor projektu i wykonawca chaczkaru, a także Agasi Arszakjan (1954–2017) deputowany ormiańskiego parlamentu – *Zgromadzenia Narodowego Armenii*, członek *Parlamentarnej Grupy Przyjaźni Armenia-Polska*, który od razu poparł przedsięwzięcie.

Relacjonując uroczystości w Elblągu, Ałła Kuźmińska napisała: „Biskup Jan Styryna, który objął patronatem naszą inicjatywę, powiedział, że chaczkar – kamienny krzyż – łączy wszystkich Ormian i Polaków. Z nadzieją i wiarą patrzymy na niego jako symbol naszej wiary w Jedyne

Boga, w którego kiedyś uwierzyli nasi przodkowie”¹⁵.

Należy przyznać, iż chociaż sama idea ustawienia ormiańskiego krzyża pojawiła się wśród elbląskich Ormian, to całe przedsięwzięcie zostało szczęśliwie sfinalizowane dzięki wielu życzliwym tej idei osobom. Do realizacji idei ustawienia w Elblągu chaczkaru przyczynili się Anusz Karamyan, Genadi Martyrosyan, Arkadij Karamyan, Janusz Lach, Tadeusz Nieczuja-Ostrowski (1946-2010) – znany elbląski działacz społeczny i sportowy, bardzo dumny ze swoich ormiańskich korzeni (babka była Ormianką), syn gen. Bolesława Nieczui-Ostrowskiego (1907-2008) – Honorowego Obywatela Elbląga.

Od samego początku podkreślano, że chaczkar ustawiony w Elblągu powstał pod niebem Armenii z pięknego, tabaczkowego tufu wulkanicznego, a autorem dzieła jest ormiański artysta. „*Casus* elbląski zapoczątkował stawianie chaczkarów sprowadzanych do Polski z Armenii. Stanowią one przeważającą grupę wśród tego typu monumentów wzniesionych na przestrzeni dwóch dekad (Elbląg, Gdańsk, Gliwice, Klebark Wielki, Wrocław, Łódź, Polanów, Lublin, Zamość, Kurów, Szczecinek, Kielce, Białystok, Kartuzy, Zabrze, trzy chaczkaru w Warszawie.). Tylko dwa chaczkaru są dziełem polskich twórców (Kraków, Święty Krzyż), a jeden (Księżyki) – rzeźbiarzy ormiańskich, mieszkających w Polsce, według projektu artysty z Armenii”¹⁶.

¹⁵ A. Kuźmińska, *ibid.*, s. 25.

¹⁶ J. Sławińska, *Współczesne chaczkaru na terenie Polski*, op. cit., s. 317.





Kolejna rocznica Genocydu

IV.

Z perspektywy dwudziestu lat należy podkreślić, iż niezmiernie ważną rolę w realizacji tego przedsięwzięcia odegrał wielki przyjaciel Polski i Polaków – Suren Czachmachczan (1959–2020), erywański przedsiębiorca, znany w różnych kręgach i za każdym razem aktywnie wspierający działania, związane w tworzeniu dobrych, twórczych relacji ormiańsko-polskich. Z jego inicjatywy, podczas pobytu jesienią 2004 roku w Erywaniu, zostałem zaproszony z okazji Święta Odrodzenia Polski do programu *Burg / Piramida* w erywańskiej telewizji. Audycję prowadził Sarkis Asatrian – publicysta, działacz polityczny i społeczny, będący w tym czasie szefem *Młodzieżowej Partii Armenii*.



Kolejna rocznica Genocydu

Oglądający program Robert Howsepien zadzwonił w trakcie audycji i powiedział, że wykona chaczkar dla Elbląga nieodpłatnie. Kolejne spotkanie przed kamerami miało miejsce pod koniec kwietnia 2005 roku. Wtedy gościem programu był również Robert Howsepien, który opowiadał o przygotowaniach i pracach projektowych.

Na początku maja 2005 roku bryła czerwonego, tabaczkowego tufu została sprowadzona z gór i złożona w pracowni kamieniarskiej w Erywaniu. Mogliśmy z Surenem oglądać kamień, zaprezentowany przez Roberta Howsepiana, który obiecał zakończyć pracę w ciągu dwóch-trzech miesięcy.

Tak naprawdę gdyby nie zrozumienie przez Surena Czachmachczana piękna samej idei ustawienia chaczkaru w Elblągu oraz jego determinacja, połączona z operatywnością działań, obelisk mógłby nie dotrzeć do Elbląga. Społeczność miasta, parafia św. Jerzego oraz żyjący w nim Ormianie otrzymali w prezencie gotowy produkt – chaczkar, który należało tylko przetransportować i dostarczyć. Właśnie wtedy, kiedy (latem 2005 roku) dotarła informacja, iż krzyż jest gotowy i trzeba tylko przygotować jego transport, pojawiły się poważne trudności. Trzeba było się zmobilizować. Nadal trudno było wskazać, w jaki sposób i kto ma przewieźć krzyż do Polski. Jedną z wersji było dostarczenie monumentu w skrzyniach do białoruskiego Mińska, skąd elbląscy Ormianie mieli go odebrać i przewieźć. Byli jednak bezsilni, nie potrafili się zmobilizować i zorganizować. I znowu z pomocą przyszedł nieoceniony Suren Czachmachczan, który zorganizował przewiezenie skrzyń z chaczka-

rem bezkosztowo do Polski, najpierw do Kielc. Zmarły w styczniu 2020 roku na zawał serca Suren Czachmachczan, dobry opiekun całego przedsięwzięcia, zatroszczył się wtedy o wiele istotnych spraw. Przede wszystkim znalazł przyjaciół, którzy zainteresowali się ideą przedsięwzięcia. Deputowany Agasi Arszakjan „zдобыл”¹⁷ i podarował odpowiedni kamień, tabaczkowy tuf wulkaniczny. Inna grupa przewiozła masywny blok z górskiego kamieniołomu do stolicy Armenii. Po wykonaniu przez Roberta Howsepiana chaczkaru, został on zapakowany na samochód przyjaciół Surena – ormiańskie małżeństwo, mieszkające w Kielcach. Sahak Abrahamyan i Alvard Antonyan zgodzili się dostarczyć go do Polski. Elbląski chaczkar przez Gruzję, Turcję, Bułgarię, Rumunię, Węgry i Słowację dotarł na początku października 2005 roku do Elbląga. Kilka dni przed uroczystością poświęcenia przyjechali także Ormianie z Erywania, wśród których był również autor, Robert Howsepian. Pod jego nadzorem ustawieniem krzyża zajęli się mieszkający w mieście Ormianie przy pomocy polskich przyjaciół¹⁸.

Kiedy skrzynie z kamienną płytą znalazły się na początku października 2005 roku w Elblągu, ormiańska

społeczność pod kierunkiem Genadija Martyrosyana ze zdwojoną energią przystąpiła do działania, starając się jak najlepiej wywiązać z różnych, równie trudnych zadań. Pragnęli, żeby ustawienie krzyża ormiańskiego miało jak najbardziej godną oprawę. Nie zawiedli – wszystko zostało przygotowane z należytą starannością.

V.

Chaczkar robi wrażenie na każdym, kto stanie i pokłoni się przed nim. „Na wysokim, prostopadłościennym cokole (stojącym na odrębnym niskim cokole), zwieńczonym spadzistym gzymsem dekorowanym plecionką, wznosi się wysoka, prostokątna płyta jednostronnie opracowana rzeźbiarsko (relief o zróżnicowanej głębokości), zamknięta nieznacznie nadwieszonym i lekko wklęsłym fryzem ujętym w obramienie listwowe. Cokół flankują dwie półkolumny o plecionkowych głowicach z wolutami, zwieńczone plintą; pomiędzy nimi występują trzy zamknięte konchami niszki (środkowa wyższa). W płycie wykuta jest płytka wnątki o kształcie wydłużonego w dół czteroliścia, ujęta w profilowane obramienie zdobione motywem drobnej plecionki, u dołu tworzące dużą pętlę. We wnątku umieszczono kwitnący krzyż, dekorowany motywem wici roślinnej; podobny ornament wypełnia plecy wnątki ujęte w wąskie listwowe obramienie. W pętlę wpisana jest rozeta o motywie gęstej plecionki z elementami roślinnymi. Podobny motyw pokrywa płytę wokół wnątki oraz fryz płyty. Z tyłu chaczkaru napis w języku polskim:

¹⁷ З. Балаян, *Возвращение, Собрание сочинений в семи томах, II все же в буре есть покой! Хождение по семи морям, (t. VI)*, Москва 2013, s.499-500. <http://zoribalayan.am/zbalayan/proizv/tom6/vozvrashenie.pdf>

¹⁸ Por. Z. T. Szmurło, *Elbląski Chaczkar*, „Tygiel. Kwartalnik Elbląski” 2005, nr 41, ss. 24-30.; Z. T. Шмурло, *Армянские хачкары в Польше*, [w:] *Второй международный арменоведческий конгресс “Арменоведение и вызовы современности” 17–19 октября 2013 г., Ереван 2014*, ss. 415-418.

*Pamięci ludobójstwa Ormian w Turcji
1915 roku
i polsko-ormiańskiej przyjaźni
30. października 2005.¹⁹*

W zamierzeniach na tylnej płycie miał też znaleźć się, obok tekstu polskiego, napis w języku ormiańskim. Pomimo upływu dwudziestu lat – nadal widnieje tylko ten polski napis.

VI

Przed ormiańskim chaczkairem modlą się nie tylko mieszkający w Elblągu Ormianie, dla których jest to miejsce spotkań, obchodzenia rocznic, związanych z ich życiem i tym najważniejszym – *Genocydem*, będącym bólem całego narodu. Chaczkar – krzyż został dobrze przyjęty przez nie tylko przez ormiańską społeczność Elbląga.

Wielokrotnie Marta i Maciej Bohosiewiczowie z warszawskiej *Fundacji Ormiańskiej – Armenian Foundation* przywozili w to miejsce młodzież, która dzięki ich akcjom pomocy wypoczywała w Polsce, nad polskim morzem. Za każdym razem młodzi Ormianie jadąc do Gdańska lub na Mierzeję Wiślaną stają przed elbląskich chaczkairem.

Przed krzyżem stawali też ormiańscy dyplomaci – ambasadorowie Armenii w Polsce: Kilkakrotnie przed chaczkairem z mieszkającą w Elblągu społecznością ormiańską spotykał się ambasador Ashot Galoyan. Pierwszy raz przyjechał do Elbląga w połowie maja 2006 roku, kilka tygodni po otrzymaniu nominacji.

Chaczkar w Elblągu nawiedziła w czerwcu 2006 roku załoga pływająca

¹⁹ J. Sławińska, *Współczesne chaczkiary na terenie Polski*, op. cit., s. 328.

jącego pod banderą Armenii żaglowca *Kilikia (Cylicja)*, będącego wierną kopią średniowiecznych ormiańskich statków. Żaglowiec w rejsie dookoła Europy zawiązał do najważniejszych portów²⁰. Jednym z miejsc postoju był port w Gdańsku. Żaglowiec został zrekonstruowany na podstawie średniowiecznych dokumentów, przy zastosowaniu starych technologii. Za wzór posłużyły ormiańskie łodzie, które niegdyś pływały po Morzu Czarnym, Śródziemnym i Atlantyku. Rejs wokół Europy, związany był z obchodami piętnastolecia odzyskania niepodległości przez Armenię. Rozpoczął się w gruzińskim Poti, a zakończył w Petersburgu, skąd rzekami żaglowiec powrócił na Morze Czarne. Cała załoga przyjechała do Elbląga z Gdańska, gdzie żaglowiec zacumował na kilka dni. Na jej pokładzie znajdował się Zorij Bałajan, wybitny pisarz, publicysta, legenda radzieckiego dziennikarstwa, deputowany do Rady Najwyższej Związku Radzieckiego. Podczas masowych protestów Ormian i ich narodowego przebudzenia (1987–1988), razem z poetką Siłwą Kaputikian jeździł do Moskwy i negocjował z Michailem Gorbaczowem. Zorij Bałajan to zagorzały zwolennik samodzielnosci państwowej Arcachu – Republiki Górskiego Karabachu²¹, który brutalnie został zaatakowany i wcielony do Azerbejdżanu (pełna kontrola

²⁰ Por. Z. T. Szmurło, *Pielgrzymi przyjaźni*, „Tygiel. Kwartalnik Elbląski”, nr 3/44/2006, ss. 63-67.

²¹ Z. T. Szmurło, *Pierestrojka i tragiczne wydarzenia w Sumgaicie*, „Studia Gdańskie. Wizje i rzeczywistość”, nr 10/2013, s. 277. Por. В. В. Кривоупуск, *Мятежный Карабах. Из дневника офицера МВД СССР*, Москва 2007, ss. 32-35, 177-180.

wszystkich ormiańskich ziem nastąpiła we wrześniu 2023 r.)²², co spowodowało ucieczkę mieszkających tam od wieków Ormian. Zostało to uznane przez międzynarodowe kręgi za czystkę etniczną²³. Zagrożone jest wielowiekowe kulturowe i religijne dziedzictwo chrześcijańskich Ormian Arcachu²⁴. O wizycie załogi *Cylicji* w Elblągu Zorij Bałajan wspomniał w jednej ze swoich książek²⁵. W spotkaniu uczestniczył ambasador Aszot Galoyan oraz Gagik Parsamian – artysta-malarz z Trójmiasta, organizator wizyty żaglowca w Gdańsku

Przed elbląskim krzyżem modlił się (13. grudnia 2012 roku) arcybiskup Raphaël Minassian – ordynariusz Ordynariatu Europy Wschodniej dla Ormian katolików, który obejmuje Armenię, Gruzję, Rosję i Europę Wschodnią. We wrześniu 2021 roku *Synod Biskupów Patriarchalnego Kościoła Ormian*, zwołany przez papieża Franciszka w Rzymie, wybrał go na nowego patriarchę. Przybrał on imię Raphaël Bedros (Piotr) XXI²⁶.

²² W. Wojtasiewicz, *Republika Górskiego Karabachu przestaje istnieć*, „Komentarz PISM”, nr 39/2023, www.pism.pl.

²³ M. Civillini, In *Nagorno-Karabakh, Azerbaijan's net zero vision clashes with legacy of war*, „The Climate Home News”, 15. maja 2024 r., www.climatechangenews.com.

²⁴ J. Charyłko, *Zagrożone dziedzictwo Arcachu*, „Orthodoxia. Przegląd Prawosławny”, (luty 2021), <https://przegladprawoslawny.pl/2021/02/24/zagrozone-dziedzictwo-arcachu/>

²⁵ З.Балаян, *Возвращение, Собрание сочинений в семи томах...* op. cit., ss. 499-500.

²⁶ T. Isakowicz-Zalewski, *Raphaël Bedros XXI Minassian nowym patriarchę ormiańskokatolickim. Alleluja!*, <https://isakowicz.pl/raphael-bedros-xxi-minassian-nowym-patriarche-ormianskokatolickim-alleluja/><https://ordynariat.ormianie.pl/index.php/3571-nowym-katolikosem-patriarcha-cylicji-dla-ormian->

Chętnie znajdowali czas na medytację przed chaczkarzem uczestniczący w różnych przedsięwzięciach artystycznych ormiańscy twórcy: Gagik Awetisyan (1957-2021), Melkon Hovhanissya, Vahagn Galstyan (sekretarz Związku Artystów Plastyków Armenii), Yuri Yeghazaryan, Vladimir Simonyan, Arthur Hovhanissyan, Artashes Abramyan. W grupie tej znalazł się również prof. Sergo Yeritsyan (1957-2023), wybitny dziennikarz i uczony, minister edukacji i nauki (2003-2006), doradca prezydenta Armenii (2006-2009).

VII

Ustawienie chaczkaru było ważnym momentem dla Ormian, mieszkających w Elblągu – stał się on dla nich widocznym, dumnym znakiem tożsamości religijnej i narodowej. Dzięki chaczkarowi nastąpiło też chwilowe ożywienie ormiańskiej społeczności, która w ramach dialogu międzykulturowego starała się zaprezentować mieszkańcom Elbląga swoją kulturę, tradycję i kuchnię. Znajdujący się na terenie parafii kościół św. Jerzego często odwiedzał ks. Artur Awdalian, który odprawiał w jego murach dla grupki Ormian nabożeństwa, udzielał sakramentów chrztu i bierzmowania.

Interesującym przedsięwzięciem z aktywnym udziałem i zaangażowaniem elbląskiej grupy Ormian był *Dzień Ormiański* (wrzesień 2006), który pod patronatem Wojewody Warmińsko-Mazurskiego i Ambasadora Armenii

katolików; M. Kaszutski, *Kilka słów o nowo wybranych patriarche Kościoła Ormiańskokatolickiego Rafaelu Bedrosie XXI*, „Biuletyn Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego”, nr 106-107/2021, ss. 3-6.



Fotografie z archiwum Autora

w Polsce odbył się w pomieszczeniach Centrum Spotkań Międzynarodowych *Światowid*. Było to święto ormiańskiej kultury – w programie znalazły się m.in. wystawy: malarstwa Gagika Parsamiana, grafiki Adelaidy Hayrapetian, fotografii Zbigniewa T. Szmurły *Ormiańskie perygrynacje* oraz reprodukcji *Ormiańska miniatura średniowieczna*. Odbyła się też prezentacja filmu *Armenia – uśpione piękno* oraz koncert zespołu *Musa-Ler*.

Jednakże z czasem Ormianie zaczęli wyjeżdżać z Elbląga. W poszu-

kiwaniu lepszych warunków trafiali do różnych miast Europy. Osłabła też ich aktywność w środowisku miasta. Przedsięwzięcia związane z promowaniem Armenii i jej kultury odbywały się przede wszystkim dzięki wsparciu polskich sympatyków tego kraju. Ważnym wydarzeniem były *Dni Paradżanowa* w Elblągu (5-6.12. 2014.), podczas których wyświetlono w *Centrum Sztuki – Galerii EL* dwa filmy ormiańskiego mistrza: *Cienie zapomnianych przodków* i *Kolor granatu*, a w sali *Muzeum Archeologiczno-*

-*Historycznego* elbląska publiczność mogła poznać malarską twórczość Borysa Jeghiazaryana – Ormianina mieszkającego w Kijowie, uznawanego za jednego z najbardziej znanych artystów Ukrainy. Artysta obecny na elbląskim wernisazu zaprezentował wystawę zatytułowaną *Ogniem miłości*.

Interesującym akcentem *Elbląskiego Święta Chleba* (2-4.09.2016.) był *Dzień Ormiański*. Do Elbląga przybył z tej okazji Edgar Ghazarian – Ambasador Republiki Armenii w Polsce. Na głównej scenie przed elbląską katedrą św. Mikołaja wystąpił ormiański zespół folklorystyczny *Musa-Ler*, a w przygotowanym specjalnie dla uświetnienia tego przedsięwzięcia *Ogródku Ormiańskim* odbyła się prezentacja turystycznych walorów Armenii wraz z degustacją najbardziej charakterystycznych ormiańskich potraw narodowych. Mieszkający w Elblągu Ormianie nie włączyli się w organizację tego przedsięwzięcia. Zostało ono przygotowane przez bardzo aktywną i odgrywającą niemienie ważną rolę w umacnianiu polsko-ormiańskiego dialogu warszawską *Fundację Ormiańską | Armenian Foundation* Marty i Macieja Bohosiewiczów²⁷.

VIII

Elbląski chaczkar jest ważnym znakiem, przypominającym o grupie Ormian przybyłych na przełomie XX i XXI wieku. Jak podkreślił w swoim liście, odczytanym podczas poświęcenia chaczkaru Henryk Słonina (1939–2020), wieloletni

(1998–2010) prezydent miasta – „Elbląg na przestrzeni wieków był zawsze takim miejscem, w którym swoje życiowe cele mogli z powodzeniem realizować obywatele różnych nacji. Swoją obecnością i aktywnością wzbogacali oni jednocześnie dorobek gospodarczy i kulturowy miasta. Tak było kiedyś, tak też jest i dzisiaj. Ormianie, którzy związali swoje obecne życie z elbląską społecznością znajdują tutaj swój drugi wielce przyjazny dom. Cieszę się, że jest to także w ten właśnie sposób postrzegane w Republice Armenii. Jestem głęboko przekonany, że inicjatywa postawienia w Elblągu ormiańskiego krzyża jest znaczącym symbolem umacniania przyjaźni między naszymi narodami”²⁸.

Kamienna płyta krzyżowa przypomina nie tylko o wyborze, dokonanym przed wieloma stuleciami przez Ormian – jest symbolem łączącym chrześcijan, ukazując jednocześnie na złożoności ludzkich losów, uciekinierów przed atakami innych, jak też ciekawymi świata i nowych miejsc zdeterminowanych Ormian. Część z nich dotarła również do Elbląga, przez jakiś czas stanowiła stonkowo liczną grupę etniczną miasta.

Społeczność ormiańska obecnie nie stanowi jednak zwartej i widocznej grupy, nie przejawia też aktywności w propagowaniu dziejów, kultury i religijnej tożsamości swego narodu. Chaczkar stanowi ważny element w miejskim krajobrazie kulturowym Elbląga. I zaczyna być odbierana jako znak, przypominający obecność Ormian w Elblągu.

²⁷ Por. Z.T. Szmurło, *Ormiańskie powidoki transkulturowe*, [w:] E. J. Jaremczuk (red.), *Migracje i kryzys uchodźczy w Europie. Rzeczywistość i wyzwania*, Poznań 2017, ss. 145-147.

²⁸ A. Kuźmińska, *Chaczkar pamięci i przyjaźni*, op. cit., s. 25.

AUTORZY

Grzegorz BARANOWSKI (1947–2026)

Urodził się w 1947 r. w Zielonej Górze. W dzieciństwie wraz z rodziną przeprowadził się do Elbląga i tam uczył się w I Liceum Ogólnokształcącym. Studiował na Wydziale Prawa i Administracji na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu (magisterium w 1975 r.). W tym samym roku rozpoczął pracę dziennikarską (reportaż i publicystyka) w Oddziale Elbląskim „Dziennika Bałtyckiego”, zaś od 1979 r. – w „Wiadomościach Elbląskich”. W okresie stanu wojennego 1981 r. był represjonowany. Po zamknięciu „Wiadomości Elbląskich” założył własne wydawnictwo „Ego”, wówczas krótko wydawał tygodnik „Elbląska Gazeta Obywatelska” („EGO”). Następnie zaczął prowadzić własną działalność gospodarczą pn. Agencja Nieruchomości G. Baranowski s.c. w Elblągu. Jako dziennikarz współpracował z „itd.”, „Sztandarem Młodych”, „Studentem”, „Polityką” oraz „Tygodnikiem Demokratycznym”, jak też prasą lokalną. Był członkiem komitetu redakcyjnego kwartalnika „TygiEL”. Pisywał cykle reportaży, związane z tematyką polskich przemian społeczno-gospodarczych po 1980 r. Był współzałożycielem elbląskiego oddziału Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy, jak również Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Elbląskiej „Jaszczur”, które w 1981 roku zainicjowało i wywalczyło u ówczesnych władz miasta i województwa zgodę na odbudowę Starówki w Elblągu. Angażował się również w prace Klubu Literackiego Elbląskiego Towarzystwa Kulturalnego. Pisał wiersze oraz krótkie utwory prozatorskie. Jego utwory drukowano w almanachach literackich oraz zbiorach poezji. Opracował również przewodniki turystyczne po regionie. *Znaki* (Elbląg 1978) – wiersze; *Nie znasz życia, bracie* (Warszawa 1978) – opowiadania; *Elbląskie zimą. Przewodnik turystyczny* (Gdańsk 1981); *Elbląg i okolice. Przewodnik turystyczny* (Gdańsk 1982); *Ulice Elbląga* (Gdańsk 1990).

Agnieszka BRYTAN

Ur. w Janowie Lubelskim w roku 1974. Od wczesnego dzieciństwa (z przerwami) mieszka w Świdniku. Absolwentka Wydziału Politologii UMCS ze specjalnością dziennikarską. Podyplomowo – Wydział Prawa UMCS (Prawo Pracy i Ubezpieczeń Społecznych). Teksty, dotyczące tematyki społeczno-kulturalnej publikowała m.in. w „Focusie”, „Innym Świecie”, „Tyglu”, „Ulicy Wszystkich Świętych”, „Ziemi Lubelskiej”, „Miesięczniku Handlowym” czy portalu www.siemysli-ke.info.

Janusz CHARYTONIUK (1951–2019)

Elbląski archiwista, bibliotekarz, publicysta, pisarz, regionalista, zbieracz legend, kolekcjoner fajek. Urodził się w 1951 r. w Młynarach. Studiował historię na Uniwersytecie Gdańskim. Pracował jako archiwista i bibliotekarz. Publikował szkice na łamach „Rocznika Elbląskiego”, „Jednak Centrum”, „Regionów” oraz kwartalnika „TygiEL”. Pisywał szkice oraz artykuły o tematyce historycznej, popularyzując dzieje Elbląga i okolic. Redagował czasopismo „Magazyn Historyczno-Krajoznawczy – Elbląg”

(pierwsze zeszyty ukazały się w latach 1998–1999). W 1998 r. wraz z Januszem Hochleitnerem opublikował przewodnik z zakresu historii Elbląga, przeznaczony dla uczniów szkół podstawowych pt. „Elbląg – nasza mała ojczyzna”. Był miłośnikiem i wytrawnym „zbieraczem” legend Elbląga i okolic. Większość z nich opublikował w prasie lokalnej. W 1999 r. wydał książkę, poświęconą tej tematyce, pt. „Legendy Ziemi Elbląskiej”.

Andrzej FILUS

(1959). Dr nauk humanistycznych (historyk). Studia – Uniwersytet Warszawski i KUL. Członek SDP (obecnie Oddział SDP-Lublin na Wychodźstwie). Od 20 lat niezależny publicysta, związany m.in. z „Ulicą Wszystkich Świętych” i „Bez Wierszówki”. W latach 2008–2009 redaktor naczelny Wydawnictwa Akcji Katolickiej Archidiecezji Lubelskiej a jednocześnie dwu periodyków: „Wiara i Życie” oraz „Wiara i Kultura”. Obecnie pisuje i tłumaczy dla „Ostoi” i www.siemysli-ke.info.

Karl GRENZLER

Ur. 1954 r. w Łebie – poeta, prozaik, tłumacz. Od 1987 r. mieszkał w Niemczech, ostatnio w Wiesbaden. Od 2020 r. mieszka w Czersku w Borach Tucholskich. Absolwent Bibliotekoznawstwa i Informatyki Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, kustosz biblioteczny, kierownik Biblioteki Instytutu Geografii UJ, Diplom-Bibliothekar w Das Stadtarchiv und die wissenschaftliche Bibliothek w Soest, następnie w Gustav-Lübcke-Museum. Członek Stowarzyszenia Twórczego POLART w Krakowie, Związku Literatów Polskich oraz Lübecker Autorenkreis w Lubece. Uczestnik imprez literackich, m.in.: Światowych Dni Poezji (Warszawa 2002–2004) Warszawskiej Jesieni Poezji (2003–2016), Portu Poetyckiego (Bydgoszcz 2004–2006), Międzynarodowej Jesieni Literackiej Pogórza (2005), Maja nad Wilią (Wilno 2006–2007), Międzynarodowego Listopada Poetyckiego (Poznań 2008–2017), Dni Poezji w Broumovie (Czechy 2019–2022). Autor polsko-niemieckich zbiorów poezji: „Czarny księżyc / Der schwarze Mond” (Nagroda Międzynarodowego Listopada Poetyckiego 2004 w Poznaniu), „Moje anioły / Meine Engel”, „Strażnicy tajemnic / Wächter der Geheimnisse” (Nagroda Międzynarodowego Listopada Poetyckiego 2016 w Poznaniu), „Zabijanie miłości / Das töten der Liebe” oraz książki prozatorskiej „Podobno jestem psem”. Tłumacz poezji Andrzeja Zaniewskiego, Joerga Ingo Krausego, Lidii Żukowskiej, Danuty Kostewicz, Dariusza Tomasza Lebiody, Danuty Muchy, Janusza Koniusza, Józefa Bułatowicza, Elżbiety Cichli-Czarniawskiej i in.

Alice JOHNSON

Ur. 1978 r. – jest brytyjską pisarką, redaktorką i dziennikarką multimedialną, mieszkającą w Dubaju. Podczas swojej trzyletniej pracy jako reporterka dla „Gulf News”, Alice podróżowała po Bliskim Wschodzie, relacjonując materiały drukowane, internetowe i wideo – zarówno przed, jak i za kamerą. Swoją karierę rozpoczęła w Londynie w Wielkiej Brytanii, gdzie pracowała jako redaktorka, redaktorka produkcji

i redaktorka. Alice zajmowała się procesem produkcji kilku obszernych magazynów i dodatków – od pisania felietonów po finalny druk. Ma wycucie szczegółu i jest znana jako jedna z najbardziej skrupulatnych redaktorek w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Pracowała również jako zastępca redaktora naczelnego ds. ZEA w wyżej wymienionym dzienniku, planując wiadomości, strony i redagując teksty w ramach bardzo krótkich terminów godzinowych. Jest wykwalifikowaną wideografką i montażystką wideo i pracowała m. in. w trudnych warunkach w Afganistanie. Przeprowadziła również wywiady z ważnymi osobistościami sceny politycznej (Davidem Cameronem, Williamem Hague i Liamem Foxem) oraz autorami bestsellerów, takimi jak Margaret Atwood, Martin Amis i Vikas Swarup (autor *Slumdog Millionaire*), a także opublikowała ekskluzywne materiały na całym świecie. Z ponad 10-letnim doświadczeniem w branży, posiada dogłębną wiedzę na temat wymogów redakcyjnych i Bliskiego Wschodu. Stale współpracuje z „Al Shindagah Magazine” (<https://www.alshindagah.com>), „Middle East Monitor” (<https://www.middleeast-monitor.com>) i „Middle East Eye” (<https://www.middleeasteye.com>).

Wojciech KAJTOCH

Profesor doktor habilitowany nauk humanistycznych (literaturoznawstwa i prasoznawstwa), emerytowany wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego, a ponadto medioznawca, polonista, rusycysta, porucznik rezerwy, krytyk literacki, tłumacz, redaktor, poeta i prozaik. Rocznik 1957. Autor trzech tomików poezji „Rozstrzelane kukły”, „Doba”, „Mierzeja”, tomu prozy: „Listy z Moskwy (powieść epistolarna)” oraz szesnastu książek eseistycznych i naukowych, m.in. monografii: „Bracia Strugaccy (zarys twórczości)”, „Językowe obrazy świata i człowieka w prasie młodzieżowej i alternatywnej”, „TOS-LIAZ. Leksykalna ilościowa analiza zawartości jako metoda rekonstrukcji tekstowego obrazu świata. Analizy i problemy”, „Świat prasy alternatywnej w zwierciadle jej słownictwa”, a także zbiorów artykułów. Jego bibliografia liczy około 530 pozycji. Tłumaczony na angielski, rosyjski, francuski, niemiecki, serbski. Jego ostatnią, wydaną w 2025 roku książką jest napisana we współautorstwie: „Zdążyć z prawdą... O „tercecie Kajtochów”, kolejach życia, wspólnych znajomych i polskiej humanistyce. Rozmowa Jadwigi Mizińskiej z Wojciechem Kajtochem”. Zamierza uprawiać naukę i pisać dopóki zdrowie i siły pozwolą...

Siergiej KAŁUGIN,

ur. w 1967 r. w Moskwie. W 1986 r. ukończył studia w szkole muzycznej jako gitarzysta klasyczny, stąd jego znajomość (i wykonawstwo) także gitarowej muzyki barokowej i flamenco. W tym samym roku założył swój pierwszy zespół (*rock progresywny*), który upadł, nie zagrawszy ani jednego koncertu. Jego promotorem muzycznym i poetyckim był *rockman* i *bluesman*, Jurij Naumow, *leader* ekipy „Prochodnoj Dwor”, zmuszony w roku 1990 do wyjazdu na Zachód. W 1989 r. zadebiutował albumem pt. „*Путь*” („Droga”), po nim opublikował jeszcze dwie solowe płyty. Od 1993 r. grywany przez popularne rosyjskie rozgłośnie radiowe, m.in. „Radio Rassiji”.

Z początkiem roku 1999 Kaługin dołączył do *art-rockowej* grupy „Артель”, która pod jego przywództwem przekształciła się w zespół „Оргия Праведников” („Orgia Sprawiedliwych”). Grupa nagrywa i koncertuje do dziś. Najbardziej znane płyty to: „*Братъ живьмъ*” („Brac go żywego”) (2006), „*Уходящее солнце*” („Zanikające słońce”) (2007), „*Для тех, кто видит сны*” („Dla tych, którzy marzą”) (2010) czy „*Время будить королей*” („Czas budzić królów”) (2020). Wśród rosyjskiej inteligencji równie znany jest jako poeta i jako muzyk.

Marian Tadeusz KARAŚ

– rocznik 1950, urodził się we wsi w Kotowa Wola pod Tarnobrzegiem, absolwent archeologii i dziennikarstwa podyplomowego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Dziennikarz, pisarz. Pracował w tarnobrzeckim tygodniku „Siarka”, zakładał w roku 1981 „Tygodnik Nadwiślański”, pierwsze nie-partyjne pismo Podkarpacia. Satyrą zajął się w 1984 roku, kiedy to z przyczyn politycznych nie mógł już uprawiać zawodu reportażysty. Fraszki i aforyzmy publikował w ponad 30 tytułach – w Polsce m.in. w „Przekroju”, „Szpilkach”, „Ulicy Wszystkich Świętych”, „Karuzeli”... Aktywny też w prasie polonijnej (Kanada, UK, Belgia) i na Litwie. Uczestniczył w zjeździe, reaktywującym Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich. Autor zbioru fraszek, aforyzmów i limeryków pt. „*Igraszki satyra*” (1995), zbioru aforyzmów pt. „*Zamyślenia z myślenia*” (2007) oraz „*Słowo się rzekło. Igraszki z myślą*” (2022, edycja polsko-niemiecka, tłum. Alfred Bartylla-Blanke). Pierwszą ilustrował rysownik-satyryk Jan Surma, kolejne Michał Graczyk. Laureat Ogólnopolskiego Konkursu Satyrycznego „Uzdrowianie śmiechem” (1988) oraz nagrody indywidualnej marszałka województwa podkarpackiego „Znak Kultury” (2022), przyznawanej twórcom, animatorom kultury i osobom, chroniącym dziedzictwo narodowe. Od września 2021 roku redaktor naczelny kenijskiego portalu www.siemysli-ke.info. W roku 2024 uhonorowany Nagrodą im. Witolda Hulewicza za działalność dziennikarską i publicystyczną. Mieszka i tworzy w Tarnobrzegu.

Piotr KASPEROWICZ

rocznik 1978. Debiutował pod koniec lat 90. ub. wieku. Zamieszkuje w Krakowie. Absolwent Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Poeta, prozaik, aforysta, czasem krytyk oraz felietonista. Od 2012 do 2024 roku redaktor działu poezji wydawnictwa „Mega*Zine Lost And Found”, prezentującego sztukę i kulturę. Współpracował z rozgłośniami radiowymi jako realizator dźwięku. Zajmuje się grafiką i fotografią. Na potrzeby prezentacji poezji dokonuje obróbek graficznych, dźwiękowych oraz filmowych, tworzy animacje komputerowe. Przedstawiciel współczesnego nurtu poezji audiowizualnej.

Alfred KOHN

ur. w 1960 r. w Makowie Mazowieckim. Obecnie mieszka w Skarżysku-Kamiennej. Animator i działacz kultury. W latach 1989–1995, dyrektor Sztumskiego Ośrodka Kultury w Sztumie, w latach 1996–2024, dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury

w Tarczynie. Członek Klubu Literackiego „Wiklina” przy Miejskim Centrum Kultury w Skarżysku Kamiennej. Opublikował tomiki poetyckie: „Pegaz złagodniał” (1996), „(Nie)dzielne wiersze” (2000) i „Powroty” (2021). Laureat ogólnopolskich konkursów poetyckich.

Wielokrotnie nagradzany za działalność zawodową, w tym: Odznaką Honorową Powiatu Piaseczyńskiego (2009 i 2020), „Pro Masovia” – zasłużony dla woj. mazowieckiego (2021), „Zasłużony dla Kultury Polskiej” (2022).

Leokadia KOMAISZKO

Poetka, literatka, fotograficzka, autorka wielu zbiorów poetyckich oraz książek reporterskich opisujących losy Polaków poza Polską, redaktorka naczelna i edytorka czasopisma emigracyjnego „Listy z daleka”. Leokadia Komaiszko urodziła się na Wileńszczyźnie, w polskiej rodzinie patriotycznej Antoniny z domu Suswiłło i Zygmunta Komaiszko. Jak wspomina sama poetka, pierwsze nauki przyrodnicze oraz zasady moralności pobierała od babci Weroniki, matki Zygmunta. Ojciec wdrażał tajniki pisania i polskości, a matka nauczała porządku i dyscypliny. Po początkowej szkole w Nasielanach, Leokadia ze złotym medalem ukończyła szkołę średnią w Bujwidzach. Studiowała dziennikarstwo na uniwersytecie w Mińsku, po czym pracowała w jedynym polskim dzienniku ukazującym się na terenach byłego Związku Sowieckiego: „Czerwony Sztandar”/„Kurier Wileński”. Następnie wyjechała do Belgii i tam mieszka dotychczas. Od 1996 roku redaguje społecznie i wydaje periodyk społeczno-literacki i kulturalny w języku polskim – „Listy z daleka”, który jako unikatowe czasopismo został włączony do Biblioteki Klasycznych Tekstów Literatury Świata w ramach projektu UNESCO. Prace Leokadii Komaiszko ukazują się przeważnie w języku polskim i francuskim. Dla Wielkopolskiego Oddziału Związku Literatów Polskich przetłumaczyła literacko dwie antologie poetyckie z języka polskiego na francuski oraz litewski. Leokadia Komaiszko zasłynęła jako autorka książek reporterskich o Polakach w Kazachstanie, w Syberii, Kaukazie, Białorusi i w Litwie. To m.in.: „Nawet ptaki wracają” „Wiatr z Hamburga” „Même les oiseaux reviennent”, „Światło Północy” „Studentka w Teklanach”. W całokształcie twórczości Leokadii Komaiszko nie zabrakło również zbiorów poetyckich. Są to następujące wydania książkowe: „W stronę światła”, „Motyle na łąkach dzieciństwa”, „Zielonosenne kaktusy” „Tajemny kwiat ruty” „Leodium, qui sera à moi”, „Antonina Tonia Tosia”. Wiersz poetki pt. „Razem jesteście Ziemią” jest przetłumaczony na kilka języków Europy i świata, znalazł się w różnych edycjach książkowych i medialnych. Poetka i prozaiiczka jest także współautorką almanachów poetyckich, książek, portali oraz audycji radiowych i telewizyjnych na tematy dotyczące emigracji i też Kresów, Litwy, Polski, Belgii. Bierze udział w telewizyjnych i radiowych programach literacko-dziennikarskich w języku polskim, francuskim, angielskim, litewskim; współpracuje artystycznie oraz technicznie z belgijską i francuską kinematografią. Twórczość poetycka i reporterska Leokadii Komaiszko w różnych latach była kilkakrotnie wyróżniana i nagradzana. To m.in.: Nagroda Specjalna miesięcznika „Reporter” za reportaże

z Kazachstanu; Nagroda Honorowa Konsulatu Rzeczypospolitej Polskiej w Brukseli i Polskiego Stowarzyszenia Autorów, Dziennikarzy i Tłumaczy w Europie za książkę „Nawet ptaki wracają”; Nagroda Klubu Inteligencji Polskiej w Wiedniu – „Złota Sowa Polonii” w kategorii media polonijne w Europie i na świecie (Wiedeń 2014), srebrny medal Labor Omnia Vincit za przekłady literackie z języka polskiego na francuski (Poznań 2016). Za całokształt prac w promowaniu polskości zagranicą, w 2009 roku Leokadia Komaiszko została uhonorowana nagrodą specjalną II edycji konkursu „Polak Roku” w Belgii.

Zbigniew KOT

Ur. w 1949 r. w Lublinie. W latach 1965–1971 kształcił się w Liceum Plastycznym (od roku 2010 noszącym imię C. K. Norwida), idąc w ślady starszego brata – Andrzeja. W roku 1971 został studentem warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych na Wydziale Grafiki Warsztatowej, którym kierowała córka znanego grafika, Stanisława Ostoi-Chrostowskiego, prof. Halina Chrostowska. Z ukończeniem ASP się nie spieszył, praca dyplomowa Kota to rok 1978. Niebawem jego żoną została studentka, potem wykładowczyni psychologii Uniwersytetu Warszawskiego – Lucyna. Choć oboje do dziś uważają, iż ostatnie lata rządów Gierka były dla nich łaskawe, podjęli jednak decyzję o postawieniu swego życia na głowie, przeprowadzając się ze stolicy do Grodziska Mazowieckiego i w roku 1980 zakupili tam dom (budynek ukończył niedawno 103 lata istnienia) z otaczającym go ponad hektarem ziemi.

Kiedy Generał rozpoczął „10 lat mogiły”, jak to określa grafik, owa ziemia, uprawiana początkowo czysto rolniczo, uchroniła Kotów od głodu. Z czasem jednak lublinianin dostrzegł w kawałku pola miejsce pod wymarzony ogród i do dziś oddaje się z pasją tworzeniu go wciąż na nowo, czyniąc miejsce nie tylko przestrzenią magiczną, ale też przytuliskiem dla wielu gatunków ptaków i terenem eksperymentów botanicznych.

Nabierając wprawy podczas zagospodarowywania własnej ziemi, Zbigniew Kot szybko znalazł uznanie jako architekt ogrodów w Warszawie i okolicy. „Praca nad każdym miejscem to kilka lat – a zleceniodawcy specyficzni, jak to nowobogaccy, można nerwy stracić” – twierdzi do dziś. Stąd około 10 lat temu zerwał z intratnym zawodem, będącym przecież także formą sztuki, by pomagać już tylko przyjaciółom w ich bojach o piękno własnych ogrodów. Jednocześnie bezustannie wprowadza w ogrodzie własnym zmiany, wymuszane labilnością warunków przyrodniczych, bowiem przyroda to splot dynamicznych procesów, trudnych do przewidzenia nawet dla starych górali.

Po 10.IV.2010 roku grafik przypomniał sobie o wyuczonym zawodzie i – jako patriota (lubelskie Stare Miasto, gdzie dorastał, stało się w l. 50. i 60. XX w. enklawą nie tylko przestępczości, ale też samoorganizacji sąsiedzkiej i poglądów dalekich od ideałów „Trybuny Ludu”. Posterunek MO w Rynku był fikcją, a władza omijała staromiejskie uliczki szerokim łukiem) odnalazł nowe zastosowanie dla swych umiejętności – od tego czasu stał się rysunkowym komentatorem polskiej i eu-

ropejskiej sceny politycznej. Największa z wystaw jego satyry politycznej odbyła się w Świdniku, w lipcu roku 2015. Ze względu na tematykę prac najmłodszy z braci Kotów nie jest hołubiony przez rodzime galerie, ale zyskał już przyjaźń i szacunek wielu twórców PRL-owskiej i obecnej kultury niszowej. Zresztą, kto raz pojawił się w Kocim Ogrodzie, ten tam wraca.

Jadwiga ŁADA

Ur. w 1957 r. w Elblągu. Dzieciństwo spędziła w Bogaczewie. Pisanie jest jej wielką pasją. W 1977 r. za pracę „Nocne pociągi” otrzymała wyróżnienie w Konkursie Polskiego Radia Katowice na słuchowisko radiowe. W 2002 r. ukazała się jej pierwsza powieść „Meandry czasu”. Powieść „Córeczka” uzyskała główną nagrodę w II edycji Konkursu Literackiego Fundacji Elbląg w kategorii «Elbląski Rękopis Roku 2003» (druk 2004). Dwukrotnie zwyciężyła w konkursie literackim pod nazwą „Moja opowieść Wigilijna”, zorganizowanym przez redakcję miesięcznika „Razem z Tobą” – 2007 – opowiadanie „Wigilijne bułeczki”, 2008 – opowiadanie „Tuż przed Wigilią”. Publikowała m.in. w Kwartalniku Tygiel oraz w zbiorze Instytutu Kaszubskiego „Nasze korzenie. Wokół poszukiwań genealogicznych rodzin pomorskich”, t. 2, Gdańsk 2010., Powieść „Floss” cz. 1 (wyd. 2018) zdobyła główną nagrodę XVI edycji konkursu literackiego Elbląska Książka Roku. (2019). Jej proza znalazła się w antologii pod red. R. Tomczyka „Literaci Elbląskiego Trzydziestolecia 1989-2019” Elbląg 2019. Kolejna powieść „Marta, córka Klary” ukazała się w 2020 r. W 2021 r. otrzymała Nagrodę Starosty Elbląskiego za osiągnięcia w dziedzinie twórczości artystycznej, upowszechniania i ochrony kultury w 2021 r.

Augusto DEL NOCE (1910–1989)

Uważany jest za jednego z najwybitniejszych myślicieli i filozofów politycznych po II wojnie światowej we Włoszech. Toskańczyk z pochodzenia, wychowywał się i studiował w Turynie, gdzie na miejscowym uniwersytecie w roku 1932 obronił pod kierunkiem Adolfo Fiaggiego dysertację doktorską, dotyczącą dorobku Nicolasa Malbranche’a. Jego eseje z dekady 1934-44, dotyczące filozofii nowożytnej, zauważył i promował m.in. Etienne Gilson. Del Noce z kolei promował w Italii myśl Jacquesa Maritaine’a. Interesowała go relacja między myślą stricte katolicką a kulturą świecką. W 1946 opublikował dwa eseje, dotyczące Marksa, które obejmowały rozszerzone omówienie miejsca ateizmu w filozofii Niemca. Jego prace o Marksie były częścią trwającego całe życie zainteresowania rolą ateizmu w historii filozofii nowożytnej, której kulminacją było w 1964 roku jego opus magnum: Problem ateizmu. W 1966 roku Augusto Del Noce został mianowany profesorem historii filozofii nowożytnej i współczesnej na Uniwersytecie Triesteńskim, a już w roku 1970 znalazł się w Rzymie, gdzie na Uniwersytecie La Sapienza został mianowany profesorem historii doktryn politycznych, a później – filozofii politycznej. W latach 70., już w stolicy Włoch, Del Noce powrócił do kwestii relacji między katolikami i marksistami. Napisał dwie nowe książki: „Katolicki komunista” i jedno z jego najbardziej znanych i kontro-

wersyjnych dzieł, „Samobójstwo rewolucji”, gdzie argumentował, iż proces przejścia marksizmu w nihilizm neoburżuazyjny trwa już w tej myśli od czasów Antonio Gramsciego. Choć Del Noce był wybitnym badaczem filozofii wczesno-nowożytnej, jest szczególnie pamiętany ze swojej wnikliwej egzegezy filozofii Marksa, nowatorskiej interpretacji faszyzmu (był antyfaszystą głównie ze względów etycznych) i krytyki kultury postępowo-technokratycznej, która stopniowo zdominowała Europę po II wojnie. Trafnie przewidział dehumanizację życia społeczeństw Zachodu i zastąpienie relacji międzyludzkich relacjami czysto fiskalnymi („człowiek jako środek, nie podmiot”). Pod koniec życia do pracy na uczelni dołożył jeszcze obowiązki senatora Republiki Włoskiej.

Lech L. PRZYCHODZKI

Ur. 1956 r. w Lublinie – filozof sztuki, publicysta, reportażysta, tłumacz i fotograf krajobrazu. Współzałożyciel ostatniej kontrkulturowej grupy literackiej, związanej z tak zwaną Nową Falą – „Ogrodu/Ogrodu-2” (1974–1981) i międzynarodowej ekipy *fluxusu* „Double Travel” (1986–1990, 1999–2004). W l. 80. XX w. związany z Centrum Sztuki Galeria EL jako artysta i teoretyk działań artystycznych. Autor książek: „Liście ze świata żywych, listy z Krainy Jaszczurek” (Lublin 2000), „Tao niewidzialnych” (Bensheim 2005), dwujęzycznej edycji „święto wojny/krieg feiern” (tłum. na niem. Herbert Urlich, Elbląg 2006), „Misterium tożsamości. Jerzego Jakubów droga do gór i ludzi” (Jelenia Góra 2007) i „Humanisci w sieci Historii” (Lublin 2008). Współautor 6 kolejnych (w tym 3 tomików „Ogrodu/Ogrodu-2”), ostatnio antologii „Literaci elbląskiego trzydziestolecia 1989–2010” oraz libretta 2-aktowej opery Tadeusza Mazurka „Colas Breugnon” (2010). W latach 2000–2009 kierował Mail-Artową „Ulicą Wszystkich Świętych”. Współautor niemieckiego portalu www.RegioPolis.net (2001–2004) i wileńskiego www.infopol.lt/pl (2005–2011). Publikował na łamach pism i portali polskich, brytyjskich, kenijskich, belgijskich, niemieckich i litewskich. Przez ponad dwadzieścia lat związany z kwartalnikiem „TygiEL” (Elbląg), nieco krócej z mieleckim „Innym Światem” i łódzkim Magazynem „Obywatel”.

W grudniu 2008 r. współtwórca Inicjatywy AntyNuklearnej (IAN). W latach 2011–2013 naczelny międzynarodowego portalu humanistów www.Bezzarzmowie.info.ke od września 2014 r. naczelny portalu www.siemysli-ke.info. W roku 2024 laureat nagrody indywidualnej marszałka województwa lubelskiego w dziedzinie kultury. Członek Zarządu Oddziału na Wychodźstwie SDP – Lublin.

Edward PUKIN

– pisarz (prozaik) a zarazem publicysta i aktywny działacz społeczny. Członek Związku Literatów Polskich. W latach 2015–2018 sekretarz zarządu a od 2019 r. wiceprezes oddziału ZLP w Gdańsku. Urodził się w 1946 roku w Bolkowie (Dolny Śląsk). Od 1947 roku elblązanin. Ukończył studia na wydziale Turystyki i Rekreacji AWF w Gdańsku. Twórczością literacką zajął się dopiero po ukończeniu pracy zawodowej. „Dla jednych, osoba bardzo kontrowersyjna a dla innych człowiek, dla

którego sprawy obywateli i problemy społeczne miasta i regionu, są najważniejsze” – tak scharakteryzowano – autora debiutanckiej książki pt. „KANALIE” (2008 r.) , nagrodzonej w konkursie literackim Fundacji Elbląg. KANALIE – to niekonwencjonalna powieść sensacyjna, oparta na faktach, obrazująca powiązania ludzi biznesu z reprezentantami aparatu ścigania i organów sprawiedliwości. Wydawca („Novae Res” w Gdyni) zgłosił książkę do konkursu literackiego NIKE – jednakże, wśród ponad 300 dzieł, nie uzyskała finałowej nominacji. Kolejny tom powieściowy – także nagrodzony przez Fundację – to „Lęgowisko zła” (2013 r.), którego intryga stanowi łączy w działalności grup przestępczych i rozwijającego się wokół nich dziennikarstwa śledczego. Manuskrypt powieści, został złożony w Elbląskiej Skrzyni Czasu, której otwarcie dokonane zostanie przez potomnych za 100 lat, w ... 2112 roku. W 2014 r. wydana została trzecia książka – powieść polityczno-obyczajowa pt. „Piaskownica”, opisująca istniejące problemy społeczne, a która – łącznie z wcześniej wydanymi, tworzy swoisty tryptyk literacki, którego wątkami są także współczesne i historyczne zdarzenia na Pomorzu i Warmii. Inicjator powołania i założyciel Elbląskiej WITRYNY Literackiej (2015–2017), reaktywator Stowarzyszenia Elbląskich Twórców (od 2014 r.), członek Stowarzyszenia Elbląskiego Klubu Autorów (2013–2018). Uczestnik (2014–2017) akcji literackiej „Rozdroża Wolności” w Gdańsku, której efektem jest literacki almanach „Bez cenzury”, w którym opublikowano m. in. autorską parafrazę pt. „Gęby na suwerena się powołujące...” (2017 r.). Współautor i współtwórca Antologii – Literaci Elbląskiego Trzydziestolecia 1989 – 2019 (wydanie 2019 r.), zadebiutował również recenzją książki (Elżbieta Iniewska i Denis Krawczyński) pt. „Józef Piłsudski. Opowieści kresowe”(2018 r.) wydanej w Mińsku (Białoruś). Dziennikarz gazety Elbląg 24.pli info.elblag.24a także publicysta portalu Wiadomości24.pl, oraz strony www.SieMyśli.info.ke

Krzysztof Piotr SAWICKI

Ur. 1959 r. w Gdańsku. Doktor nauk humanistycznych. Studiował historię na Uniwersytecie Gdańskim. Doświadczony pedagog i wychowawca młodzieży. Stopień doktora nauk humanistycznych z zakresu nauki o polityce uzyskał na Wydziale Nauk Społecznych i Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego. Specjalizuje się w stosunkach międzynarodowych Federacji Rosyjskiej oraz relacjach podmiotów międzynarodowych z Obwodem Kaliningradzkim Federacji Rosyjskiej. Bada Stosunki polsko-litewskie po 1989 r. Zajmuje się przemianami na Litwie w kontekście Europy Środkowo-Wschodniej oraz analizuje sytuację Polaków na Litwie.

Wadim SIDUR (1924–1986)

Radziecki artysta, rzeźbiarz i artysta awangardowy. Poeta i prozaik. Jeden z najwybitniejszych radzieckich rzeźbiarzy drugiej połowy XX wieku, stworzył charakterystyczny, monumentalny i ikoniczny ekspresjonizm.

Najsłynniejszy rzeźbiarz nieoficjalnej sztuki radzieckiej – doszedł do tych samych odkryć co jego zachodni koledzy, niewiele wiedząc o ich twórczości.

W 1942 roku trafił na front. Podczas walk na Ukrainie (okolice Krzywego Rogu) został ciężko ranny, a następnie zdemobilizowany z powodu inwalidztwa. W 1944 roku rozpoczął naukę w Instytucie Medycznym w Stalinabadzie (obecnie Duszanbe – stolica Tadżykistanu). Rok później przyjechał do Moskwy na rehabilitację. Rozpoczął studia na wydziale rzeźby monumentalnej Wyższej Szkoły Artystyczno-Przemysłowej im. Stroganowa, którą ukończył w 1953 r. W latach 1954–1963 działał w grupie artystycznej „LeSS” (razem Władimirem Lemporem i Nikołajem Silisem). Mieszkając w Moskwie, stale spotykał się z oficjalną krytyką, oskarżeniami o formalizm i pacyfizm. Za życia Wadim Sidur nie miał możliwości wystawiania swoich prac w ZSRR. Dzięki staraniom niemieckiego sławisty Karla Eimermachera swoje prace zaprezentował na ponad 30. wystawach za granicą. Jego twórczość zyskała szeroką sławę w Niemczech. W 1977 roku brał udział w Biennale Dysydentów w Wenecji we Włoszech. Na początku lat 70. stworzył serię rzeźb GROB-ART („Sztuka trumien”). Artysta zgłębia w niej koszmarny strach i przemoc, przedstawiając świat jako makabryczną kryptę splecionych ciał. Rzeźby powstały z resztek cywilizacji, gruzów budowlanych – przerażającej metafory istnienia po zniszczeniu wszystkiego i wszystkich. Spuścizna artysty obejmuje ponad 500 rzeźb, prawie tysiąc rycin i rysunków, a także poezję i prozę. Jego kompozycje rzeźbiarskie zostały zainstalowane w wielu miastach Europy i Ameryki. W 1989 r. w Moskwie powstało Muzeum Wadima Sidura.

Andrzej SIKORA

Ur. w 1953 roku. Nauki pobierał w LO w Kazimierzu nad Wisłą, następnie w PSKOiB (Państwowe Studium Kulturalno-Oświatowe i Bibliotekarskie) w Krośnie oraz WSP w Rzeszowie – wydział: Nauczanie Początkowe. Współorganizator Koła Dziennikarzy Studenckich przy tygodniku „Podkarpacie” w Krośnie (1973 r.). Współpracował z periodykami: „Podkarpacie”, „LOS”, „Nowiny Rzeszowskie”, „Wspólnota Opolska”, „TygiEL”, „Ostoja”, „Samorządowiec”, „Regionalista”. Od roku 2002 mieszka i pracuje na terenie lubelskiego Powiśla. Członek Zarządu Oddziału na Wychodźstwie SDP-Lublin.

Zbigniew Tomasz SZMURŁO

Ur. 1958 r. w Ciechanowie – elblązanin z wyboru. Absolwent Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Nowym Wiśniczu (1978) – ceramika artystyczna. Studia: Uniwersytet Jagielloński, Uniwersytet Gdański (dyplom „Twórczość Wadima Sidura” 1988). Doktorat nauk humanistycznych w zakresie nauki o polityce uzyskany na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie na podstawie dysertacji „Zależności, wpływy, oddziaływania kultury i polityki w Armenii”, 2010. Filolog rusycysta, tłumacz języka rosyjskiego, politolog, armenolog, publicysta, dziennikarz, wykładowca akademicki. Twórczość

naukowa oraz krytyczno-artystyczna. Artysta plastyk, członek honorowy Związku Artystów Plastyków Armenii i Związku Plastyków Arcachu – Republiki Górskiego Karabachu. Uprawia malarstwo, grafikę, rysunek, ceramikę artystyczną i fotografię. Prace w zbiorach w Polsce, USA, Norwegii, Szwecji, Armenii, Kazachstanie, Mołdawii, na Łotwie i Litwie. Udział w wielu wystawach zbiorowych i indywidualnych w Polsce i za granicą. Współinicjator ustawienia w Elblągu (2005) drugiego w Polsce, po krakowskim, chaczkaru – ormiańskiego krzyża wotywnego upamiętniającego m.in. genocyd (ludobójstwo) Ormian dokonane w latach 1915-1921 na terenie Turcji.

Bartłomiej Henryk TOSZEK

Ur. 1972 r. – prawnik, dr hab. nauk o polityce, prof. Uniwersytetu Szczecińskiego; pracował i kierował komórkami organizacyjno-prawnymi w Zachodniopomorskiej Izbie Rolniczej, Zachodniopomorskim Urzędzie Wojewódzkim i Urzędzie Marszałkowskim Województwa Zachodniopomorskiego, był przewodniczącym Rady Nadzorczej Polskiego Radia Szczecin S.A. i dyrektorem Agencji Rynku Rolnego OT w Szczecinie; obecnie zatrudniony w Instytucie Nauk o Polityce i Bezpieczeństwie US, jest przedstawicielem Województwa Zachodniopomorskiego w sieci regionalnych punktów oceny wdrażania polityk Unii Europejskiej przy Komitecie Regionów UE; w swoich badaniach naukowych koncentruje się na systemach politycznych podmiotów subnarodowych oraz przekształceniach ustrojowych i polityce zagranicznej Wielkiej Brytanii; autor i współautor wielu monografii m.in.: „Proces integracji Wielkiej Brytanii ze Wspólnotami Europejskimi w latach 1961-1975” (Toruń 2009), „Od wizji do rzeczywistości. Dziesięć lat dewolucji w Walii” (Warszawa 2011), „Reforma dewolucyjna w programach głównych partii politycznych w Walii w latach 1997–2011” (Toruń 2016) oraz ok. 100 artykułów naukowych.

Paweł WARCHOŁ

Ur. w 1958 w Krakowie. Artysta grafik, rysownik. Absolwent Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Nowym Wiśniczu (1979). W 1984 r. ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, Zamiejscowy Wydział Grafiki w Katowicach, a w 2010 r. uzyskał tytuł doktora na Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Od 1985 r. mieszka i tworzy w Oświęcimiu i w Krakowie. Jest twórcą wielu cykli rysunkowych, wykonywanych tuszem na kartonach m.in. „Holzmachiny”, „Oratio”, „Warchoły”, „Pancerniki”. Prace prezentował na licznych wystawach indywidualnych m. in: w Berlinie, Norymberdze, Münster, Dachau, Haidelbergu, Barcelonie, Budapeszcie, Pilźnie, Ostrawie, Oberwart, Żylinie, Ceględzie i Nagykorosi. W Polsce m. in. w Warszawie, Toruniu, Szczecinie, Lublinie, Wrocławiu oraz wielokrotnie w Krakowie, Katowicach, Bielsku-Białej i w Oświęcimiu. Jego rysunki były ekspozowane na ponad 500 wystawach w kraju i za granicą. W tym na wszystkich najważniejszych wystawach, biennale i triennale rysunku na świecie, gdzie były nagradzane i wyróżniane.

Lucjan WESOŁOWSKI (LUCYAN)

Ur. 1954 r. w Łodzi. Absolwent wydziału filologii polskiej Uniwersytetu Łódzkiego. Poeta i muzyk – kompozytor i multiinstrumentalista. Jego muzyka instrumentalna została nagrana na 28 CD, wydanych ponad 40 razy w Polsce, we Włoszech, na Węgrzech i w USA. Autor muzyki do 8 spektakli teatralnych oraz ścieżek dźwiękowych do programów TV i 6 DVD z kursami jogi, wydanych w USA. Gra na gitarze, sitarze (indyjski instrument strunowy), gitarze basowej, fletach bambusowych i prostych, bębnach afrykańskich i arabskich (djembe, darabuka) oraz na różnych etnicznych instrumentach strunowych (buzuki, saz, oud, czonguri, panduri, esraj itd.). Komponuje i wykonuje piosenki (główna nagroda na festiwalu „Śpiewajmy Poezję” w Olsztynie w roku 1984). Uczestnik Interdyscyplinarnych Spotkań Twórczych (IST) w Galerii EL we wrześniu 1986 r. Ponad rok spędził w ośrodkach jogi i buddyjskich w Indii, Niemczech, Włoszech i Polsce. W roku 1983 założył zespół „Orientacja na Orient”, wykonujący głównie jego muzykę, opartą na motywach orientalnych. Zespół istnieje do dziś, ukazały się 2 kasety z jego muzyką. Wraz z różnymi zespołami wystąpił wielokrotnie na różnych festiwalach, m.in. 4 razy w Niemczech, w Wlk. Brytanii, Irlandii, na Węgrzech i w Polsce. W roku 1993–2014 mieszkał we Włoszech. Założył tam zespół „The Lucyan Group”, wykonujący utwory Wesołowskiego oraz mantry indyjskie, który istniał w latach 1994–2005. Od roku 2009 prowadzi w Polsce zespół o tej samej nazwie, wykonujący podobny repertuar. W roku 1991 został członkiem honorowym włoskiego stowarzyszenia muzykoterapeutów „Societa’ Italiana di Musicoterapia Immaginativa”. Prowadzi warsztaty rozwoju osobistego. Autor książek: „Ptakom śpiewam o wolności” (2018), „Moje ABC duchowości” (2020) i „Przez obłoki snów” (2020), wydanych przez wydawnictwo „Miniatura”. Publicysta portalu „Przegląd Dziennikarski”.

Bohdan WROCŁAWSKI

Ur. w 1944 r. w Milanówku – poeta, pisarz, dramaturg, animator kultury. Debiutował jako poeta w 1963 roku. W 1967 roku ukazała się jego pierwsza książka poetycka „Linia Krat”. Opublikował wiele tomów wierszy, zdobywając uznanie krytyki i liczne nagrody literackie. Jest także autorem piosenek literackich. Przez kilkanaście lat występował na scenie, prowadził popularny kabaret literacki *Ostatnia Zmiana*. Pisze sztuki sceniczne dla dzieci. W 2006 roku na „Światowych Dniach Poezji” otrzymał nagrodę poetycką UNESCO za tom wierszy, zatytułowany „Inny smak księżycy”. Od września 2010 roku redaktor naczelny portalu *pisarze.pl*.

Najważniejsze publikacje: „Linia Krat”, Wydawnictwo Morskie 1967; „Wypalanie wnętrza”, Wydawnictwo Morskie 1977; „Powiększony o czas powrotu, powiększony o czas czekania”, Wydawnictwo Morskie 1978; „Dworzec Podmiejski”, Wydawnictwo Pojezierze 1983; „Podróże w obecność”, Wydawnictwo Łódzkie

1984; „Poker” (zbiór opowiadań), Wydawnictwo Morskie 1984; „Wiersze”, Spółdzielnia Wydawnicza „Anagram”, 2000; „*Cyrograf milczenie*”, Spółdzielnia Wydawnicza „Anagram”, 2003; „Inny smak księżycy”, Wydawnictwo IBiS 2006; „Skazany na peryferie”, Wydawnictwo Pisarze.pl 2018, „Wiersze wybrane”, Wydawnictwo Pisarze.pl 2023.

Janusz Donimir WROCŁAWSKI

Ur. w 1966 r. w Elblągu – redaktor naczelny kwartalnika „TygiEL”, wizjoner, publicysta i przedsiębiorca, który z pasją eksploruje pogranicza kultury, duchowości i nowoczesnych technologii. Twórca śmiałych idei, poszukiwacz głębi ludzkiej świadomości, znawca hipnozy i mistrz słowa. Łączy tradycję z przyszłością, zadając pytania, na które inni boją się odpowiedzieć. Nieustannie poszukuje nowych ścieżek, by inspirować, prowokować do myślenia i przesuwając granice poznania. A przy tym wszystkim – człowiek niezwykle skromny.